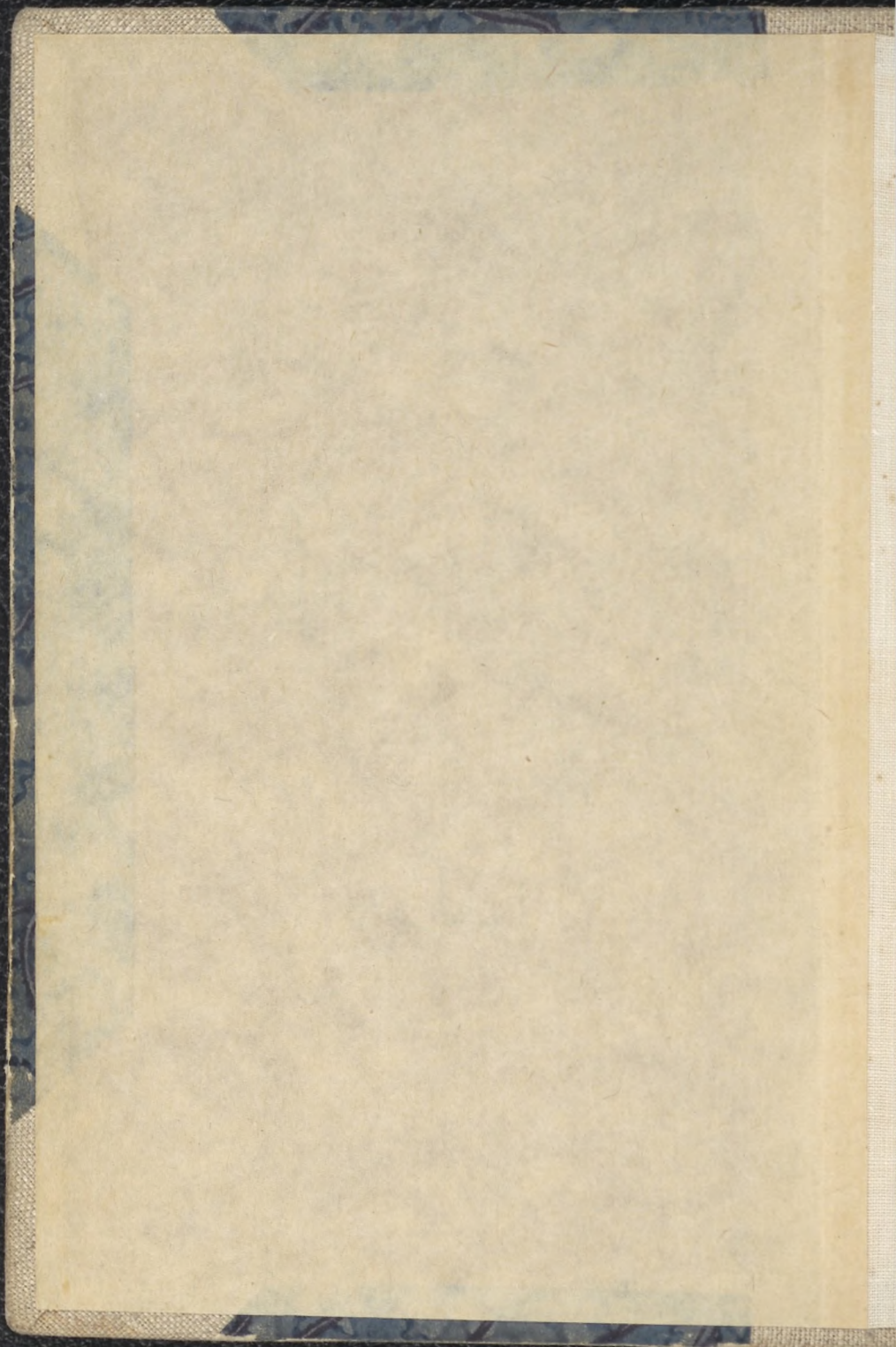


360



1870-1871

MEMORANDUM OF J. A. HORN

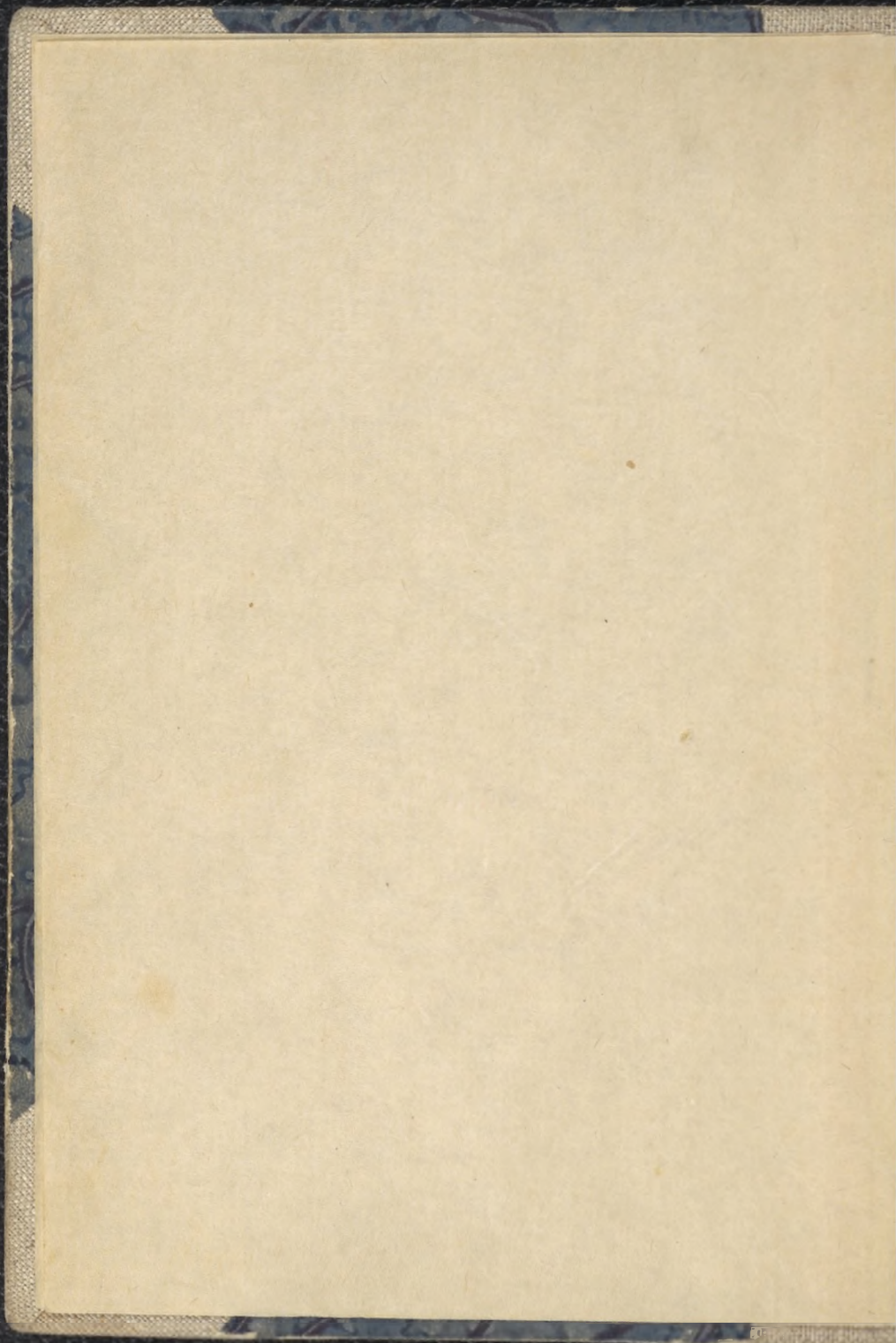
FOR THE YEAR

1870-1871

6-11-71

MEMORANDUM OF J. A. HORN
FOR THE YEAR 1870-1871
1870-1871

MEMORANDUM OF J. A. HORN
FOR THE YEAR 1870-1871



381,360

A

TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

PROKURATOR ALICJA HORN

TOM PIERWSZY

WYDANIE TRZECIE

678

BIBLIOTEKA
Guzów

3

1

1



WARSZAWA — 1939

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”



II 381.360

Zakłady Graficzne „FENIKS”, Warszawa

ROZDZIAŁ 1.

Wyskoczył z tramwaju i szybko nastawił kołnierz palta. Siekl drobny deszcz zmieszany ze śniegiem, od Wisły ciągnął przejmujący chłodem wiatr.

Nie znał wcale tej dzielnicy miasta. Gdy przed kilkunastu laty mieszkał w Warszawie, Żolibórz jeszcze nie istniał. Na tem miejscu rozciągały się obie pagórki, teren Cytadeli.

Pomimo dość wczesnej pory ulica była pusta. Zbliżył się do latarni i jeszcze raz rzucił okiem na notatkę:

— Dębowa 26.

Stracił dobre pięć minut na wypytanie jakiegoś lęklivego przechodnia o kierunek, w którym ma iść, by odnaleźć ulicę Dębową. Nie zdziwił się zaniepokojeniu zaczepionego. Wiedział, że swoim wyglądem nie mógł wzbudzić zaufania. Zniszczone i zabłocone ubranie na szerokich barach i od tygodnia nie ogolona twarz.

Z chaotycznych informacji przechodnia wynikało, że trzeba skrócić wprawo, później będzie tor, za torem czerwona kamienica, później nalewo i trzecia czy druga uliczka znowu naprawo.

Mruknął: — dziękuję — zapchnął zmarznięte dłonie głęboko w rękawy i ruszył szybkim krokiem.

Wiedział, że nie zbłądzi. Miał wrodzony instynkt orientacji w nieznanym terenie. Prosto jakiś węch przestrzeni, który nie zawodził go nigdy, czy to w setkach obcych miast, czy na karkołomnych bezdrożach gór, czy w zawiłych labiryntach oceanicznych portów...

Gdy zawrócił naprawo, wiatr znowu uderzył mu

w oczy prysznicem ostrych, jak igły, kropelek i wdarł się pod płaszcz. W chwili, gdy przystanął, wyminął go w szalonym pędzie ogromny czarny samochód. Do jego uszu doleciał jakby stłumiony krzyk, następnie już całkiem wyraźny brzęk stłuczonej szyby i auto zniknęło na zakręcie.

Odwrócił głowę: — ulica była pusta. Po obu stronach stały zrzadka małe domki o ciemnych oknach.

— Oho — mruknął do siebie — jakaś grubsza robota.

Na zakręcie przy świetle latarni ujrzał kilka kawałków grubego szkła. Machnął ręką i ruszył dalej. Po kilku minutach odnalazł ulicę Dębową, jeszcze mniej zabudowaną niż inne, i zatrzymał się przed dużą białą willą.

Wysokie żelazne sztachety, a za niemi niewielki ogródek. Nacisnął klamkę furtki. Była zamknięta. Zadzwoił i czekał. Z przyzwyczajenia rozglądał się uważnie. O kilkanaście metrów dalej była w sztachetach brama wjazdowa, tuż za nią stało kilka zabudowań gospodarskich. Wyglądały mizernie przy okazałej dwupiętrowej willi. W oknach było ciemno. Musiały być szczelnie zasłonięte, lub też mieszkańcy już spali.

Powtórnie nacisnął guzik dzwonnka i teraz dopiero zauważył tabliczkę przy furtce:

DR. KAROL BRUNICKI
Prof. Uniwersytetu Warszawskiego.

Tymczasem jakieś boczne drzwi willi otworzyły się z hałasem i po chwili za furtką ukazała się krępa, niemal kwadratowa postać z kijem w ręku:

— Czego tam? — rozległ się chrapliwy głos.

— Ja do pana profesora, proszę otworzyć.

Krępy człowiek zbliżył do sztachet brodatą twarz, obrzucił przybyłego nieufnym spojrzeniem i wzruszył ramionami:

— Pan tu nikogo nie przyjmuje, tylko w klinice.

— Wiem, ale proszę powiedzieć panu, że przyszedł... Fakir.

— Jak?

— Fakir.

Służący niezdecydowanie zawrócił ku domowi, lecz po paru krokach zatrzymał się:

— Fakir?... Niby z cyrku?

— Nie z cyrku, do diabła! Proszę powiedzieć: — Fakir, profesor będzie wiedział.

Uplęło sporo czasu, zanim brodacz wrócił, tym razem frontowymi drzwiami. Bez słowa wy dobył z zadraża pęk kluczy, otworzył furtkę, przepuścił przybyłego i starannie ją zamknął.

Kilkoma schodkami wchodziło się na ganek. Dwoje grubych drzwi, opatrzonych wielu zamkami i zasuwami, prowadziło do niedużego przedpokoju. Ściany wyłożone dębową buazerją lśniły czystością, jak i podłoga. Miłe ciepło uderzyło w wilgotną od deszczu twarz.

— Proszę wytrzeć nogi — warknął służący, spośledba przyglądając się gościowi. Gdy ten możliwie najstaranniej oczyścił obuwie, brodacz otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, mruknąwszy coś, co miało oznaczać zaproszenie, sam zniknął.

Był to bardzo duży pokój, rodzaj hallu, gęsto zastawionego mnóstwem miękkich mebli, o ścianach pokrytych dywanami. Daleko w rogu paliła się mała lampka pod rubinowo czerwonym abażurem. Dzięki temu pokój tonął w półmroku i przybyłego ogarnęło wrażenie, że oprócz niego jest tu jeszcze ktoś, czyje oczy bacznie go obserwują.

Wrażenie to wciąż rosło i stało się tak dokuczliwe, że nie mógł go nie sprawdzić. Wstał i kilku szybkimi krokami po miękkim dywanie dotarł do najciemniejszego kąta pokoju.

Z rogu szerokiej kanapy żarzyły się dwa zielone punkty: — kot. Leżał tam nieruchomo ogromny czarny kot.

Skrzywił się. Nie znosił tych zwierząt. Już chciał wrócić na swoje miejsce, gdy na fotelu tuż obok dostrzegł drugiego kota.

Wzrok pomału przyzwyczaił się do czerwonego zmroku i z najwyższem zdumieniem odkrywał niemal na każdym fotelu, na każdej sofce, na każdym stosie ozdobnych poduszek — koty. Ogromne tłuste, opasłe koty.

— Psiakrew — zaklął przez zęby — cóż za ohydna menażerja.

W tej chwili w drzwiach ukrytych za portjera szcęknął zamek i na progu stanął szczupły niski człowiek w czarnem ubraniu. Jego ręka niezwykle drobna i uderzająco biała wyciągnęła się z wolna do kontaktu i jaskrawe światło zalało pokój.

Przyglądali się sobie w milczeniu.

— Jak się masz, Fakir, — odezwał się wreszcie gospodarz i jego wąskie usta wygięły się w nikłym uśmiechu — cieszę się, że cię znowu widzę.

Przybyły wyciągnął rękę i mocno potrząsnął wąską dłonią profesora:

— Żle się mam, — odparł głosem niskim — dlatego masz przykrość mnie oglądać, kochany Karolu.

Spojrzał prosto w grube szkła profesora, z których obserwowały go bacznie małe czarne oczy, i dodał:

— Pozwolisz usiąść?

— Ależ proszę cię, drogi Fakirze, wybacz moje roztargnienie.

Przysunął gościowi fotel i wówczas zaleciała od niego mdła woń chloroformu.

— Oderwałem cię od pracy — zauważył Fakir siadając.

— O, bynajmniej.

— Myślałem. Pachniesz chloroformem. Chętnie zapaliłbym papierosa.

— To jeszcze z kliniki — odpowiedział twardo profesor — w klinice wszystko cuchnie chloroformem.

Wydobył dużą złotą papierośnicę i podał Fakirovi.

— Tak, — odezwał się ten po chwili — bogaty jesteś... Bardzo bogaty.

— Bardzo — obojętnie powtórzył profesor — cóż chcesz, nie umiem trwonić pieniędzy.

— Bardzo ci współczuję — roześmiał się gość. — I wciąż obdzierasz pacjentów?

— Nie. Od kilku lat już praktyki nie prowadzę.

Olbrzymi bury kot ciężko zeskoczył z kanapy i zaczął się ocierać o nogi swego pana.

— Polubiłeś koty — zauważył mężczyzna, nazywający się Fakirem — czy interesują cię jako psychiatrę? Nie rozumiem, jak można trzymać w domu tyle tego obrzydlistwa!

Profesor nie odpowiedział i wciąż wpatrywał się w gościa.

— Dawno nie widzieliśmy się — odezwał się wreszcie — chyba z dziesięć lat czy więcej... Aleś się nie postarzał. Oczy ci się jarzą, nozdrza rozdymają się... Widocznie służy ci twój tryb życia...

— Jednak czterdziestka ma swoje prawa. Wiesz, na skroniach posiwiały mi włosy.

Profesor uśmiechnął się ironicznie:

— To cię chyba nie martwi. Kobiety to lubią... A trochę szronu na włosach dodaje ci pozatem pewnej powagi, solidności, co — jak sądzę — jest rzeczą nie do pogardzenia w twoich, że tak powiem, interesach.

Przybyły obrzucił gospodarza ponurem spojrzeniem:

— Zimno mi jest — powiedział — wypiłbym kieliszek wódki.

— Niestety, nie mam w domu... Chyba... mógłbym ci służyć spirytusem?...

— Daj.

Profesor wrócił po chwili z dużą apteczną butlą. Od jego ubrania znowu zaleciał nieznośnie słodki odór chloroformu.

- Głodny jesteś? — zapytał.
- Wszystko jedno — odparł Fakir — teraz chcę się rozgrzać.
- Nalał sobie pełną szklaneczkę i wypił duszkiem.
- Tegie masz gardło — zauważył profesor.
- Daj mi jeszcze papierosa — strasznie czuć cię tym chloroformem.
- Wydaje ci się — skrzywił się gospodarz — no, więc mów: — dawno wróciłeś do Warszawy?
- Dziś.
- Zamierzasz długo tu popasać?
- Nie wiem jeszcze, zobaczę.
- A... a nie obawiasz się, że mogą cię poznać?...
- Gość wzruszył ramionami.
- Wątpię. Tyle lat... — zaciągnął się dymem.— Nie słyszałeś nic o niej?...
- Nie. Pewno już dorosła, zamaż wyszła.
- Psiakrew....
- A tyś sobie zwichnął życie. Kiedyś wówczas uciekł zagranicę, myślałem, że jednak jakoś staniesz na nogi. Ale kto raz znajdzie się na równi pochyłej...
- Dajmy temu spokój — przerwał Fakir. Nalał sobie nową szklaneczkę i wychylił ją jednym łykiem.
- Skąd przyjechałeś? — zapytał profesor.
- Z całego świata.
- Musiało ci już być w tym całym świecie zaciasno, skoro zaryzykowałeś wrócić?
- W głosie profesora zabrzmiała nutka złośliwości.
- Słuchaj, Karolu — warknął gość — nie poto przyszedłem do ciebie, żebyś drwił ze mnie. Widzisz... ja bardzo mało mam do stracenia!...
- Wzrok profesora prześlizgnął się po wysokierozczole, zaciśniętych szczękach, szerokich barach i sprężystej postaci gościa.
- Uspokój się — odezwał się głosem cichym — wiesz, że się ciebie nie boję, jak i to, że... Twoja zaś moralność i twoje zatargi z kodeksem karnym nie mnie nie obchodzą. Jestem wyższy ponad... nie dlate-

go bym z tytułu dawnej przyjaźni czuł względem ciebie jakieś zobowiązanie, lecz poprostu z... wyrachowania.

— Nie rozumiem ciebie.

— Mniejsza o to. Nie zależy mi na tem, byś rozumiał. Zatem — czego chcesz odemnie? Pieniądzy?

— Tak. Oddam, gdy będę miał. Ale to nie wszystko.

— O!?... — zdziwił się profesor.

— Nie przerażaj się. Chodzi o drobiazg. Miałem przed paru miesiącami pewną przygodę i zobacz...

Rozpiął kamizelkę i koszulę, odsłaniając szeroko sklepioną klatkę piersiową z małą różową blizną tuż nad obojczykiem.

— Widzisz — ciągnął — tu trafiła, a teraz obsuwała się, aż tu, pod pachę i zaczęła mi zawadzać.

Wąskie wypielęgnowane palce profesora namacały nieduży twardy przedmiot pod samą skórą.

— Rewolwerowa?

— Tak, — potwierdził Fakir — próbowałbym sam skórę przeciąć, ale używając tylko jednej ręki, nie dam rady. Nie chcę zaś iść do żadnego szpitala, czy pogotowia ratunkowego... Jeżelibyś był tak łaskawy...

— No, dobrze — wycedził, ociągając się profesor — ja jednak nie mam wprawy... Hm... mój pomocnik lepiej to robi. Zaczekaj.

Znikł za drzwiami.

Fakir wstał i, omal nie nadepnawszy na kota, podszedł do lustra, by skonstatować, że wygląda fatalnie. Nieogolona twarz i zapadłe oczy, zaciasne i połatanie ubranie....

— Przedewszystkiem odpocząć, trzy, cztery dni odpocząć w takiej ciszy, jak tu, na tej Dębowej.

— Już jesteś przed lustrem? — usłyszał za sobą głos profesora.

Odwrócił się.

— Bardzo wyczerpany jestem. Nie zazdroszczę ci tego domu, ale tej ciszy, jaka tu panuje.

— Tak, to najcichsza dzielnica w Warszawie, mieszkają tu ludzie pracy i nauki.

— Tak wygląda — uśmiechnął się gość — ale wyobraź sobie, że na samym wstępie doznałem rozczarowania. Minęło mnie auto, w którym kogoś gwałcono, czy zarzynano...

— Jakto, co ty mówisz? — zerwał się profesor — to niemożliwe!

— No, powiadam ci. Ktoś darł się z auta i nawet szybko wybił. Na własne uszy słyszałem, a nawet widziałem kawałki szkła na jezdni.

— A nie zauważyłeś przypadkiem, jak wyglądał ten samochód?

— Czarna duża limuzyna. Może „Delage“, może „Benz“, zresztą czort go wie.

— To dziwne — powiedział po pauzie profesor.

— Co się tak tem przejmujesz — wrzucił ramionami gość.

— No, zawszeć to nie należy do rzeczy powszednich, zwłaszcza na Żoliborzu.. Przepraszam cię na chwilę. Zdejm marynarkę i koszulę. Zaraz wrócę z narzędziami.

Znowu znikł za drzwiami i wrócił po paru minutach z dużą nikłową skrzynką w ręku. Za nim wszedł mały, chudy człowieczek w białym kitlu lekarskim, od którego ostro odbijała jego niezwykle żółta cera.

— Oto pacjent, doktorze — powiedział profesor, zawahał się chwilę i dodał: — mój przyjaciel z lat szkolnych... pan...

— Winkler — pośpiesznie podpowiedział gość.

Lekarz, na którego twarzy zarysował się uprzejmy uśmiech, zdawał się nie spostrzegać braków w stroju pacjenta. Wyciągnął rękę i odezwał się niespodziewanie wysokim i melodyjnym głosem, o wybitnie cudzoziemskim akcencie.

— Bardzo mi przyjemnie. Doktor Kunoki.

— Jakto? — zdziwił się przybyły — doktor Kunoki?... Czy pan jest krewnym tego sławnego biologa japońskiego?...

Profesor Brunicki z hałasem otworzył nikłowe pudło:

— Mój drogi, chyba nie przyszedłeś tu na wywiad naukowy. Doktor Kunoki jest właśnie tym biologiem, o którym mówisz. Siadaj tu pod lampą i podnieś rękę.

W tonie profesora brzmiało nieukrywane niezadowolenie.

Krótko ostrzyżona głowa doktora Kunoki, pokryta rzadkim niebieskawo - czarnym włosiem, pochyliła się nad pacjentem. Dotyk waty, przepojonej eterem przeszedł dreszczem po skórze, kilka błysków lancetu, kilka kropel krwi i na nikłowe wieko z brzękiem spadła mała kulka.

— Trzeba zabandażować? — zwrócił się dr. Kunoki do profesora.

— Obejdzie się — machnął ręką pacjent — niech pan będzie łaskaw poprostu zakleić jakim plasterkiem. Na mnie goi się jak na psie.

Operacja była skończona.

— Co, doktorze, — powiedział profesor Brunicki, wskazując plecy gościa, na których grały wspaniałe mięśnie — piękny okaz rozplodowca?

Uśmiech przesunął się po żółtej twarzy biologa, a jego wzrok taksatorski prześlizgnął się po oglądanym obiekcie, który ubrał się właśnie i wyciągnął doń rękę:

— Bardzo dziękuję panu.

— O, proszę. Taki drobiazg — skinął głową i zabierając pudło znikł za kotarą.

— Japończyk, a tak dobrze mówi po polsku — zauważył gość po jego wyjściu.

— Półjapończyk — odparł profesor — jego matka była Polką.



— Aha... To właśnie on odkrył te, no, jakże... elektro...

— Nerwony. Epokowe odkrycie — pokiwał głową profesor — biologja została przezeń pchnięta o olbrzymi krok naprzód.

— Słuchaj, Karolu, odkądże ty zajmujesz się biologją?

Profesor nagle drgnął. Jego blade policzki stały się niemal przezroczyste, palce zacisnęły się kurczowo.

— Odkąd?... — powtórzył ochryplym głosem — od tego dnia, kiedy jak szaleniec zacząłem chwycić się ostatniej nitki nadziei! Kiedy waliłem głową w próg wiedzy, błagając ją o potwierdzenie kłamstwa umierających ust, kłamstwa, w które wierzyć, znaczy dla mnie tyle, co żyć!...

— Karolu, czyż znowu żądasz odemnie przysięgi!?

— O, bądź przeklęta, bądź potrzykroć przeklęta!...

Profesor zerwał się i wznosił nad głową zaciśnięte pięści. Grube krople potu pokrywały jego czoło.

— Karolu, Karolu!... Przecie wiesz, że strachu nie znam! Czyż kłamałbym ze strachu?!

Profesor zakrył dłonią oczy i powiedział niemal szeptem:

— Można też kłamać z... litości...

Opadł na fotel i znieruchomiał.

Zaległa cisza, tylko z kąta dolatywało mruczenie kota.

Pierwszy odezwał się profesor:

— Powiedziałeś, że cię nienawidzę. To prawda. Nienawidzę cię bardziej, niż sobie to możesz wyobrazić. Ale... zbyt głęboko tkwisz w mojej ranie, byś mi nie był najbliższy... Związała mnie z tobą... Ach, dajmy temu spokój... Twój niespodziewany przyjazd roztrząsał mi nerwy...

Profesor przetaił szkła i sięgnął do kieszeni:

— Potrzeba ci pieniędzy. Ile?

- Narazie... tysiąc wystarczy.
— Proszę.
— Dziękuję, Karolu. Mam nadzieję wkrótce ci oddać.
— Mniejsza o to. Cóż zamierzasz robić?
— Jeszcze nie wiem. Rozejrzę się. Narazie kilka dni w łóżku w hotelu.
— A dokumenty masz?
— Mam. Nazywam się teraz Jan Winkler... Ale już późno.
— Pierwsza — potwierdził profesor, spoglądając na zegarek. Gość wstał.
— Dowidzenia, Karolu.
— Zaczekaj... chwilę. Nie chciałbym, byś odszedł tak zaraz... Nie proponuję ci, byś zamieszkał u mnie. Z wielu względów jest to niemożliwe..
— Ależ, Karolu, ja bynajmniej nie miałem zamiaru...
— Nie — przerwał profesor — wiem, że nie chciałbyś tego. Ale widzisz, nie znaczy to, byś nie miał mnie odwiedzać... Jestem piekielnie samotny, przeraźliwie samotny... Nie spytałeś, ani słówkiem, nie wspomniałeś o nim, a przecie może cię obchodzić jego los.

Fakir zmarszczył brwi:

— Mówisz o swoim synu?

— Mówię o synu Wandy.

Zaległo milczenie. Profesor Brunicki wpił się wzrokiem w twarz gościa i zaczął mówić jakimś bezbarwnym, monotonnym głosem:

— Dorasta... Duży już jest... W ramionach niemal już całkiem tak szeroki, jak... ty... Ma takie same jasne, płowe, włosy i takie zmysłowe usta... I nozdrza rozdęte i oczy, ogromne niebieskie, oczy o fenomenalnych ciemno-złotyż żrenicach... Żaden okulista takich nie widział... A ja przecie znam aż dwie pary takich fenomenalnych oczu... Nie, nie dwie... to jest ta sama para...

Profesor pochylił się ku gościowi i przez zaciśnięte zęby wyrzucił:

— Właśnie tak połyskują ciemnem złotem!...

— Przestań! — odezwał się cicho gość, odwracając głowę. — Znęcasz się nad sobą i nademną.

— Nieprawda! Nieprawda! — zawołał w podnieceniu Fakir i uderzył pięścią w stół. — Przysięgam ci, że nieprawda...

— Uspokój się — pokiwał głową profesor — posłuchaj: widuję go co roku. Co roku odbywam tę... krzyżową drogę i co roku wracam bez... Ach, mój drogi, to jakaś szatańska karuzela wspomnień. Iście szatańska! O, to już nie jest mały Boh, z którym bawiłem się w Indjan, ba, to już nawet nie kolega Fakir, ten prowodyr klasy, który swemi pięściami bronił mnie i zasłaniał. Nie... to już prawie Bohdan Drucki, zwiety Bohdan Drucki, który...

Profesor przełknął ślinę i wstał. Zataczając się, szedł jak lunatyk, a stanawszy w środku pokoju dodał szeptem:

— No, a za lat kilka, za lat kilkanaście... Jan Winkler. Nie, nic nie mów, musisz to rozumieć, że przecie jestem tylko człowiekiem, któremu natura dała te pięć czy więcej zmysłów i ograniczony rozmiarami czaszki mózg, któremu kazała bardziej wierzyć im, niż opętańczym imaginacjom, niż przysięgom przyjaciela, niż samarytańskiemu kłamstwu umierających ust, ust, chociażby droższych niż życie, niż świat, niż wszechświat!...

— Karolu!

— Poczekaj. Nie posądzaj mnie o rozstrój umysłowy. Za chwilę znów będę sobą. Ale tylko pomysł: lata, długie lata duszę się swoją tragedją. Ty jesteś ostatni, z którym mógłbym o tem mówić, lecz, niestety, ty jesteś jedynym. Nie obawiaj się, za chwilę znowu będę sobą, jakiego mnie znasz od dziecka. Zimnym, wyrachowanym, nieugiętym, zamkniętym człowiekiem cha, cha, cha... bez... serca!... Takim, co

to bez drgnięcia powieki potrafiłby zabić ciebie, gdyby potrafił jednocześnie zabić i jego... syna Wandy... Tak, Bohdanie, tak...

— Karolu! — zabrzmiał po pauzie cichy głos gościa — drogi przyjacielu, nie możesz pojąć, jaką męką jest nie mieć nawet prawa na jedno słowo współczucia...

— Nie mówmy już o tem — sucho przerwał Brunicki — dość. Zmęczony jesteś. Idź już. Jutro musisz zmienić sobie opatrunek. I nie zapominaj o mnie... Tembardziej, że będziesz mi potrzebny..

— Ja? — zdziwił się Drucki.

— Tak — po chwili wahania odparł profesor — jesteś silny, śmiały i, jak sam to stwierdziłeś, nie wiele masz do stracenia...

— Nie rozumiem?!

— Idź już, nic pilnego. A co do pieniędzy, proszę, nie krępuj się. Ile razy będą ci potrzebne.. No, dowidzenia.

Podali sobie ręce i gość ruszył do drzwi, lecz zrobił nieuważny krok i nadepnął na wylegującego się na dywanie kota. Przerażliwe miauczenie było na to odpowiedzią i nagle ze wszystkich kątów wysunęły się zaniepokojone krzykiem jednego inne koty, tłuste, ogromne, opasłe.

— Psiakrew — zaklął winowajca alarmu — po co u djaska trzymasz tyle tych kotów. Musisz majątek wydawać na żywienie tego stada. Czem ty je karmisz?

— Mięsem — skrzywił się gospodarz.

Drucki wzdrygnął się. Przyszło mu na myśl, że sam jest wielkim kawałem mięsa.

— Dowidzenia.

— Dowidzenia.

W przedpokoju, skulony na krześle siedział brodacz.

— Niech Antoni wypuści pana — odezwał się doń profesor. — Dowidzenia, Fakirze!...

Po chwili Drucki szedł szybkim krokiem pustymi ulicami. Gdy znalazł się na rogu za torem, przypomniał sobie czarną limuzynę i brzęk rozbijanej szyby.

Pamiętał dobrze, że kawałki szkła leżały pod tą właśnie latarnią. Nachylił się i przyjrzał się uważnie: mokry asfalt i ani śladu szyby.

— Solidna robota — mruknął do siebie i otulił się jak najszczelniej.

Siekł drobny deszcz, zmieszany ze śniegiem, od Wisły ciągnął przejmujący chłodem wiatr.

ROZDZIAŁ 2.

Bohdan Drucki zamieszkał w „Hotelu Odeskim“ przy ulicy Długiej. Był to mały i brudny hotelik, pełny za dnia nieznośnej woni przypieczonej cebuli, a nocą krzyków, awantur i bijatyk.

Oprócz właściciela, starego żyda i jego półzidjo-calego syna Nuchima, dwudziestoletniego wyrostka o spleaszzonej czaszce, stałym mieszkańcem hotelu był tylko jeden Drucki, którego obecność zaznaczona została, zgodnie z przepisami policyjnymi, na czarnej tablicy w kantorku, gdzie koszlonymi wypisano: — Jan Winkler.

Pozostali klienci hotelu, stanowiący główne źródło jego egzystencji, rekrutowali się z tych, którzy poszukiwali dachu nad głową na jedną noc, lub poprostu na parę godzin, co nazywało się tu „na wizytę“.

Drucki odpoczywał. W ciągu trzech dni jedynym jego łącznikiem ze światem był Nuchim, przynoszący bułki, szynkę i dzbanek z białą kawą, czasem gazety i papierosy.

Gorączka zwolna ustępowała. Żelazny organizm wracał do dawnej sprawności, blizna goiła się szybko. Druciki jednak nie wstawał z łóżka. Miał to szczęśliwe usposobienie, że potrafił równie łatwo zmusić swój mózg i mięśnie do długotrwałego i najwyższego wysiłku, jak i do zupełnej bezczynności.

Stary żyd z obojętną podejrzliwością patrzył na swego lokatora. Jego powierzchowność i dziwactwo leżenia w łóżku opłacone wprawdzie zostały dobrą gotówką, jednakże nie wyglądało to wszystko na rzecz w zupełnym porządku.

Dopiero czwartego dnia właściciel „Hotelu Odeskiego“ zmienił zdanie. Nastąpiło to zaś dlatego, że jego syn otrzymał od lokatora list do zanieśienia na Nowolipie do Borysa Załkinda.

Co ten obdartus Winkler może mieć za interes do samego Borysa Załkinda, do takiego bogacza?

Jakież było zdumienie ojca, gdy Nuchim powrócił z ustną odpowiedzią, że Borys Załkind zaczął się bardzo śmiać, jak list przeczytał, za przyniesienie dał całe dwa złote i powiedział, że sam przyjdzie do pana Winklera o ósmej wieczór.

Stary zdecydował, że tak ważną wiadomość musi osobiście zanieść lokatorowi.

Kłaniał się bardzo nisko, wypytywał, czy czego szanownemu panu nie trzeba, wyraził swoją radość z zaszczytu, że gości u siebie znajomego pana Załkinda i usiłował wywiedzieć się skąd pan Winkler zna „tego Amerykańca“?

Jedyną odpowiedzią na te wszystkie zabiegi, było krótkie: — „nie pański interes“ i zapowiedź:

— A jak będzie u mnie pan Załkind, to uważajcie, żeby mi nikt pod drzwiami nie podsłuchiwał, bo to niezdrowo. Rozumiecie? Bardzo niezdrowo!

Stary żyd o tyle znał się na ludziach, że nie żądał bliższych wyjaśnień. Zresztą podsłuchiwanie nie zdałoby się na nic, bo w numerze szóstym mówiono po angielsku.

Załkind przyszedł punktualnie. Był to człowiek wyraźnie chromający na lewą nogę, która w dodatku swem skrzypieniem zdradzała protezę. Jego drapieżna twarz z dużą blizną przez policzek i świszczący głos sprawiały raczej przykre wrażenie, jak i ruchliwość małych czarnych oczu.

Klnąc strome schody wszedł na drugie piętro i zapukał we wskazane drzwi, potem zamknął je za sobą i z pośpiechem zbliżył się do łóżka:

— Halo, kapitanie, co za radość, że pana widzę! — zaświszczał, wyciągając rękę.

Drucki z uśmiechem podał swoją:

— Nie spodziewał się pan, co?

— Ale co panu jest, kapitanie? Chory pan? I w tym parszywym hotelu? Dawno pan w Polsce?

— Pomału, mister Jack, bo doprawdy nie zdołam panu na wszystko odrazu odpowiedzieć.

— Ach, kapitanie, czyż nie widzi pan, jak się cieszę! Cóż za piękny dzień w moim życiu! Myślałem, że pana już nigdy nie zobaczę. Ileż to lat? Chyba cztery?

— Pięć — poprawił Drucki.

— Pięć lat! I jakże New York? Czy wciąż spirytus jest takim dobrym interesem?

— Nie wiem. Cóż pan myślisz, Jack, że ja wciąż siedziałem w tej dziurze. Zaraz po panu djabli mnie stamtąd wynieśli.

— Dokąd?

— Fiu, fiu!... Zadługo byłoby opowiadać. Londyn, Marsylja, Konstantynopol, Berlin, Paryż i znowu Australja, i Chiny i Brazylja... Tak, Jack, nie umiem siedzieć na miejscu.

Załkind przysunął swoje krzesło do łóżka i cmoknął:

— Piękne życie, ciekawe życie, ale co pan z tego ma?

— Wolność, Jack, wolność.

— Rozumiem, to duża rzecz, wolność. Ale najwię-

cej wolności ma ten, co ma pieniądze. Im więcej pieniędzy, tem wolniejszy.

— No, pan ma ich dosyć! — zaśmiał się Drucki.

— Co to znaczy dosyć? Mam ich bardzo dużo, ale dosyć? Czy może być dosyć pieniędzy? Tak, jak panu, kapitanie, nigdy nie dosyć włóczęgi po świecie, to pan musi rozumieć, że mnie nigdy nie dosyć pieniędzy. To jest taka sama pasja, jak i każda inna.

— To prawda.

— No, widzi pan. A tylko ja nie mogę w swojej głowie pomieścić, dlaczego większa jest przyjemność podróżować bez grosza w kieszeni, zamiast wygodnie, nic nie robiąc, kajutą pierwszej klasy?

— Jak miałem na to, to i pierwszą klasą jeździłem.

— Co znaczy, jak miałem? Gdyby pan chciał kapitanie, pan miałby na całe życie! Czyż nie proponowałem panu spółki? Miałby pan dziś tyle, co ja, bo, obaj melibyśmy więcej jeszcze, dużo więcej. Z pańską głową! Ba! z pańską odwagą!

Drucki usiadł na łóżku i klepnął go wesoło po ramieniu:

— Ale ostre były czasy, co Jack?

— Ostre. Co tu gadać. Mówią, że ludzie mojej rasy są tchórzliwi, a to nieprawda. Przecie jestem żydem z krwi i kości, a sam pan widział. Dobrze były czasy, na każdym kroku ryzykowało się życie, ale spirtus i piwo — to był interes wart takiego ryzyka.

— No, a jakże tam noga?

— W porządku. Tylko podniebienie dokucza. Tak mi ten rudy rozwalił. I wie pan co, kapitanie, że ja do śmierci nie zapomnę tego, co było w Chicago. Nie dlatego, że mnie pan życie uratował...

— Dajmy spokój — przerwał Drucki — niema co wspominać.

— Nie dlatego, że opiekował się pan mną, nie dlatego, że oddał pan mnie moje pieniądze, mój cały majątek... Nie... Ale nie zapomnę do śmierci tego, że nie

ruszył pan Luby!... Tak... leżałem wówczas, jak kupa ścierwa, mówić nie mogłem, ruszyć się nie mogłem, ale widziałem, jak ona patrzyła na pana! I cóż ona była dla pana? Nic, ot, ładna żydóweczka... A co ja byłem dla pana?... Ot, zdychający pies, co go pan dla własnej fantazji wyratował! A co pan zrobił? Przyszedł pan do mnie i powiedział: — nie bój się o Lubę, nie tknę jej i nikomu tknąć nie dam... Tak pan powiedział, bo czuł pan...

Nie dokończył. Podniósł głowę wysoko i zagryzł wargi. Z czarnych, jak węgle oczu z wolna spłynęły po twarzy drapieżnego ptaka dwie łzy.

— Tam do diabła, stary, — zawołał Drucki — co by powiedzieli na Broadway'u, gdyby zobaczyli, że Czarny Jack rozkleja się, jak małpa od cebuli! No! stary!

— Nie, kapitanie, nie! Ja tego panu nigdy nie powiedziałem, ale teraz musiałem. Bo jak tu wszedłem, jak zobaczyłem, że pan tu w nędzy i chory, a po mnie dopiero teraz posłał... To ja chcę, żeby pan wiedział, że ja mam takie psie prawo, żebym dla pana zrobił, co mogę, żebym nawet oddał wszystko, co mam!...

— Uwaga, Jack — z żartobliwą powagą ostrzegł Drucki — uwaga, bo mogę pana przytrzymać za słowo!

— Niech pan nie myśli, kapitanie — z dumą odparł żyd — że słowo kupca Załkinda chociaż o jeden cent mniej jest warte od słowa Czarnego Jacka.

Roześmieli się obaj. Załkind wypytywał Druckiego o stan zdrowia, chciał koniecznie sprowadzić lekarza. Wreszcie oświadczył, że natychmiast zabiera go do siebie, bo mu wstyd, żeby kapitan mieszkał w tej dziurze.

Ten jednak stanowczo zaprotestował. Owszem, przeniesie się, nawet napewno, ale nie do Załkinda.

— Widzi pan, ja jestem taki zatwardziały samotnik. Jak tylko wydobrzeję i oporządę się, będę

musiał poszukać jakichś interesów. I właśnie wiedząc, że pan jest dla mnie życzliwy...

— Życzliwy?!

— Mniejsza o wyraz. Dość, że chodzi mi o to, żeby coś robić.

Załkind uśmiechnął się z zażenowaniem i zrobił niewyraźny ruch ręką.

— Drogi kapitanie Winkler, co tu ja mogę wymyślić? Mnie nawet jakoś głupio, ale ja tu, w kraju, to jestem bardzo solidny kupiec. Ja mam kasy ogniotrwałe, ja trzymam stróżów nocnych...

Drucki wybuchnął śmiechem:

— Cóż do pioruna! Posądza mnie pan o zamiar zorganizowania bandy!? Cha... cha... cha.... Panie Załkind... Ja też chcę być solidny! Czy pan przypuszcza, że ja do solidnych rzeczy się nie nadaję? Że mnie, choćby czasami nie można zaufać?...

Załkind złapał go za przegub ręki:

— Już! Już rozumiem. Chwileczkę... Ha, czy ja panu nie ufam! Sobie więcej nie ufalbym... Chwileczkę! Muszę się zastanowić...

Wbił oczy w podłogę i zmarszczył czoło:

— Handel, to nie dla pana, kapitanie...

— A, nie dla mnie.

— Mam też fabrykę trykotaży, ale to też nie dla pana. Hm... lasem handluję... O, to wymaga dużo ruchu, podróży, wyjazdów, trzeba sprytu i prezencji... Mam w Białowieży nawet jedną ciężką sprawę z niejakimi Fajersonami. Zrobili mi machlojkę z kontraktem. Rzec nie sądowa, tylko na własną gorącą robotę. Pan dałby im radę. Chodzi o okrągły miljon. Coby pan na to powiedział?

Drucki zastanowił się i zaprzeczył ruchem głowy.

— Dlaczego nie?

— Chcę trochę posiedzieć na miejscu. Później owszem...

— Kapitanie — zakonkludował Załkind — co ja panu powiem: niech się pan nic nie martwi. Już ja

coś na mur dla pana znajdę. Dla pana z pod ziemi wykopię! Niech pan tylko przeniesie się z tego hotelu i dba o zdrowie. Zdrowie — to grunt.

Umówili się w ten sposób, że nazajutrz Drucki przyjdzie do Załkında na kolację. Zjedzą we dwójkę, bo Luba z dzieckiem siedzi w Rabce, więc będą mogli swobodnie pogadać.

Z tem się rozstali.

Drucki nazajutrz obudził się wcześniej rzeźki i wyspany.

Wyszedł na miasto w świetnym humorze i zaczął wędrowkę po sklepach: — ubranie, buty, palto, kapelusz, bielizna, zegarek, rękawiczki, inne drobiazgi, potem kąpiel w łaźni na Krakowskiem i tamże zabiegi fryzjerskie.

Wesołe usposobienie nie opuszczało go ani na chwilę. Bawił się znakomicie sensacją, jaką wszędzie w eleganckich sklepach wywoływała jego powierzchowność, tak niezrozumiała przy jednoczesnej wybredności gustów i umyślnie nadrabianej wielkopańskości.

Wreszcie ubrany i wyświeżony opuścił łaźnię, na pytanie służącego, co ma zrobić z pozostawioną garderobą, poradził odesłać ją do muzeum i wyszedł na miasto.

Jakże innym teraz czuł się na tychże ulicach człowiekiem. Aż sam się temu zdziwił: Przecie tyle razy w tenże sposób zmieniał skórę! W New Yorku, gdy wracał z morza, w Sidney, po wędrownkach złotych, po wyjściu z więzienia w Lizbonie, po awanturze w Stockholmie — i jakoś nigdzie w sklepach nie zdziwiono się obdartemu człowiekowi, kupującemu drogie przedmioty, nigdzie na ulicy nie oglądano się za oberwusem tak, jak tutaj, w Warszawie.

Zresztą może i sam innemi oczyma patrzył na ten tłum, którego teraz czuł się członkiem równo-uprawnionym... Ach, no i kobiety!...

Jeszcze przed dwiema godzinami nie spostrzegali go wcale, ba, sam ich też nie zauważał, a teraz...

Szedł elastycznym krokiem, jak na paradzie i czuł, że ściąga na siebie spojrzenia tych istot tak powabnych, tak znanych, a wciąż zaciekawiających i upragnionych.

— Do diabła! Wciąż jestem młody — pomyślał z zadowoleniem, przykrytem nitką dobrotliwego upomnienia.

Istotnie, był młody. Gdy usiadł przy stoliku w restauracji i ujrzał swe odbicie w lustrze, aż zdziwił się swej młodości. Dzięki piekielnej mordędzie ostatnich dwóch miesięcy schudł, a jego smagła cera od słonego wiatru morskiego nabrała połysku bronzu. Gdyby nie siwe skronie, nie mógłby temu pełnemu życia panu w lustrze dać ponad trzydziestkę.

Jadł obiad z apetytem, rozmyślając o swej sytuacji. Po tylu latach mogłoby go ewentualnie poznać, gdyby nie to, że nie nosi teraz wąsów, no i że wogóle bardzo się zmienił. Zresztą dokumenty obywatelstwa amerykańskiego gwarantują bezpieczeństwo.

Roześmiał się do siebie:

— Możliwy pomyśleć, że drzę o swoją skórę. Po diabła, w takim razie, zawsze lażem z głową w niebezpieczeństwa?

Zapłacił rachunek, porozmawiał wesoło z kelnerem i wyszedł.

Warszawa bardzo się zmieniła.

Wprawdzie poznawał bez omyłki ulice, ale pamiętał je całkiem innemi. W owych dawnych czasach była to niemal dziura prowincjonalna...

Zaczął padać śnieg.

Drucki wszedł do cukierni, kazał dać sobie czarnej kawy i zaczął przyglądać się publiczności.

Najwięcej było kobiet. Po dwie, po trzy przy stoliku, od poważnych podlotków aż do rozchichotanych starszych pań, bardzo mocno wymalowanych.

— Zastanawiające — pomyślał — że wszystkie,

właściwie mówiąc, są ładne i wszystkie wyglądają względnie młodo. Gdzie się podziały stare i brzydkie kobiety?... Ale i pięknych niema...

Z prawej pod filarem siedziały dwie brunetki. Mniejsza, w popielicowym futrze, żarłocznie jadła ciastka i atakowała Druckiego spojrzeniami połyskliwych oczu. Z lewej pod oknem samotna szczupła blondynka skracała sobie oczekiwanie na kogoś, kto się widocznie spóźnił, spoglądaniem to na zegarek, to na Druckiego. Tuż przed nim zajmowało większy stolik towarzystwo, złożone z dwóch panów i jednej pani w czarnem, lśniącym futrze.

Jeden, łysawy blondyn w dużych rogowych okularach, opowiadał coś monotonnym głosem, drugi, przysadkowaty starszy pan z nieznośną manierą automatycznego otwierania i zamykania żółtej czeczotkowej papierośnicy. Twarzy kobiety Drucki dojrzeć nie mógł, gdyż siedziała doń tyłem. Widział tylko promień jasnych złoto-blond włosów, wystający z boku z pod kapelusza i opartą na stole długą ładną rękę, bez pierścionków, co bardzo lubił.

Jak na złość nie obejrzała się ani razu, a tymczasem zbliżała się ósma i trzeba było jechać do Załkinda.

— Jeszcze poczekam — uśmiechnął się do siebie Drucki, konstatuując w myśli, że trzeba naprawdę być niepoprawnym kobieciarzem, żeby dla tak błahego powodu spóźnić się na ważną rozmowę.

Wreszcie postanowił użyć wypróbowanego sposobu. Wziął do rąk leżący opodal dziennik i, udając zaczytanego, zsunął na ziemię dużą szklaną popielniczkę.

Głośny brzęk tłukącego się szkła, ktoś krzyknął: „ach“!, wszystkie oczy zwróciły się na stolik Druckiego i — efekt osiągnięty: sąsiadka w czarnem lśniącym futrze obejrzała się.

Drucki drgnął i poczuł, że mu krew ucieka z twarzy.

Instynkt, wygimnastykowany w tysiącach niebezpieczeństw, a sprawny, jak automat, kazał mu natychmiast zakryć się płachtą gazety, lecz na ten raz rozkaz nie został wykonany.

Nie mógł oderwać od niej oczu.

Gdzie? Kiedy?... Przysięgnąłby, że kiedyś musiał ją znać, że te płonące czarne oczy z wspaniałym zrosniętym łukiem czarnych brwi i te złociste włosy, i te wprost nieprawdopodobnie wykrojone wargi... Kto? Kiedy?... Napewno.... Napewno....

Szukał odpowiedzi w jej wzroku: zna go?... poznaje?...

Lecz ona już odwróciła głowę i znowu z uwagą słuchała monotonnego głosu łysawego blondyna. Przysadkowaty starszy pan znowu miarowo potrząskiwał czechtkową papierośnicą.

Drucki nie był pewien. Uderzająca piękność tej kobiety musiałaby przecie głębszem, nie dającym się zakwestjonować wspomnieniem wrzucić w jego pamięć.

Udawał, że czyta, a jednocześnie myśl pracowała niustannie:

— Może ktoś podobny... Ale kto? Chyba jakaś głośna aktorka filmowa o zbliżonym typie?... Jakaś gwiazda sportowa... lotniczka... tenisistka... Zresztą, gdyby obawy były słuszne, ona poznałaby go napewno... Trudno wyobrazić, by, spotkawszy gdzieś w życiu taką dziewczynę, mógł przejść obok niej obojętnie. Wykluczone! A kobiety zazwyczaj dobrze pamiętają tych mężczyzn, którzy bodaj bez skutku zabiegali o ich względy...

A ona stanowczo nie patrzyła nań, jak na znanego sobie człowieka. W jej wzroku była odrobina roztargnienia i odrobina ciekawości, lecz ciekawości nie więcej, niż ta, z jaką wszystkie kobiety patrzą zawsze na niego.

W każdym razie rozsądek dyktował ostrożność. Należało zaraz zapłacić i wyjść. Jednakże Bohdan Drucki nie zaliczał się do tych, którym ktokolwiek,



bodaj nawet własny rozsądek, mógł cokolwiek dyktować.

Dlatego został.

Dopiero po kwadransie towarzystwo przy sąsiednim stoliku uregulowało rachunek i wstało.

Nieznajoma była wysoka, dobrze zbudowaną kobietą. Gdy przyglądał się jej sylwetce, doszedł do przekonania, że początkowo uległ złudzeniu.

Nie znał takiej napewno.

Nie zawiódł się, oczekując, że podczas wciągania rękawiczek spojrzy znowu na niego.

Jakże była piękna! Z pod zmrużonych powiek obserwował jej profil, dumny, zimny i namiętny. Wyglądała na lat dwadzieścia pięć, lecz mogła mieć więcej.

Przechodząc obok stolika Druckiego prześlizgnęła się wzrokiem po jego twarzy i znowu zbudziły się w nim wątpliwości, chociaż wyraz jej oczu dobitnie oświadczył, że patrzy na kogoś, kogo widzi pierwszy raz w życiu.

Odprowadził ją wzrokiem do drzwi, zapłacił, za kawę i za rozbitą popielniczkę i wyszedł.

Nowy świat był zatłoczony, tłumy posuwały się wolno chodnikami, jezdnią sunęła rzeka samochodów. Jaskrawe reklamy neonowe były w oczy ostremi czerwonymi linjami.

— Na Nowolipie!

Borys Załkind sam otworzył drzwi.

— Halo, kapitanie, oto znowu pana widzę w pełnej gali. Obawiam się jednak, że byłem cierpliwszy od kaczek, które w oczekiwaniu pana musiały się porządnie wysuszyć w rondlu.

Podali sobie ręce. Pokojówka w białym fartusku, dygnawszy z kokieterją, odebrała palto Druckiego.

— Czyżbym tak bardzo się spóźnił? — z udaniem przerażeniem zapytał Drucki — miałem naprawdę sprawę dość wielkiej wagi.

— Czyżby? — roześmiał się Załkind, wprowadzając gościa do jadalni. — O ile znam pański gust, kapitanie, nie sądzę, by jej waga przewyższała, powiedzmy, sześćdziesiąt pięć kilo!

Drucki zrobił skupioną minę i odparł z powagą:

— Sądzę że omylił się pan najwyżej o dwa, trzy kilogramy.

Uścisnęli sobie ręce z uśmiechem i Załkind karcąco pokiwiał głową:

— Obawiam się, kapitanie, że przez kobiety spóźni się pan o tyle do piekła, że już najwygodniejsze kotły ze smołą będą zajęte.

— No! — zawołał po polsku z wyraźnym litwackim akcentem — co się Wikcia przygląda? Proszę natychmiast podawać!

Kuszykając wokół bogato zastawionego stołu, napełnił kieliszki i podsunął gościowi krzesło.

Kolacja była smaczna i obfita, gęsto zakropiona alkoholem. Rozmowa obracała się wyłącznie dokoła wspomnień amerykańskich. Dopiero, gdy usadowili się w gabinecie w głębokich klubach, Załkind przystąpił do interesu:

— Otóż, długo myślałem, co by tu takiego wynaleźć, co odpowiadałoby takiemu człowiekowi, jak kapitan Winkler. I, zdaje mi się, że mam coś w sam raz dla pana.

— Byle nie dyrekcję banku!

— I gorzej i lepiej. Interes jest taki. Pamięta pan jeszcze dobrze Warszawę?

— Ja myślę.

— Zatem wie pan, gdzie jest ulica Hortensja?

— Wiem. Mała ślepa uliczka od Szpitalnej. Prawda?

— Tak — potwierdził Załkind — otóż na tej Hortensji dwaj bracia Tinkelman i taki jeden Rybczyński założyli przed rokiem nocną knajpę. Wie pan, rodzaj amerykańskich nocnych klubów. Bar, dancing, kaba-

ret. Lokal piękny, punkt pierwsza klasa, wpakowali w to może pół miliona złotych, a może i więcej.

— I plajta?

— Plajta. Taki interes trzeba umieć prowadzić. To może być złote jabłko. Tylko pilnować je trzeba, żeby wszystko było w porządku, żeby służba nie kradła, żeby klienci nie zarywali. Trzeba wiedzieć komu dać na kredyt, komu nie, kogo przyjmować z otwartymi rękami, a kogo zrzucić ze schodów na zbitą mordę. Trzeba trzymać cały interes za pysk żelazną łapą, a żeby wyglądało, że to jest swoboda i zabawa, że klienci to tak, jak prywatni goście. Pamiętaj pan, kapitanie, knajpę Wesołego Billyna na Siedemdziesiątej czwartej ulicy?...

— Pamiętam.

— To nie była knajpa, to był kurnik, to była zwykła dziura. A dlaczego, kto mógł pchał się tam z dolarami? Dlatego, że interes prowadził Billy! Kobiety leciały na niego, mężczyźni uważali go za najlepszego kompana, wszyscy poprostu przepadali za nim. Ja nie wiem, co w nim było, ale w panu, kapitanie, jest akurat tego samego dwa razy więcej.

— Dobry chłop był ten Billy — powiedział z uśmiechem Drucki.

— Kapitanie! Ja nie mam jeszcze pięćdziesiątki, ale dużo rzeczy widziałem i jedno wiem: grunt to człowiek! Nie to ważne „jak“, „co“, ale tylko „kto“. Otóż obaj Tinkelmany i ten Rybczyński chodzą za mną już od dwóch miesięcy. Telefonują, pytają, zaczepiają. Poprostu nie dają żyć. Oni chcą, żebym ja odkupił tę knajpę. Ludzi, co mają więcej gotówki, djabelnie teraz mało, więc przyczepili się do mnie. A ja im mówię wciąż: — poco mi ten kłopot? Sam tego prowadzić nie będę, a choćby teraz i sam czort poprowadził, to i tak rady mi nie da. Zapaskudziliście firmę, pies z kulawą nogą tam nie chodzi, jak kto chce ziewać z nudów, to woli ziewać w domu.

— I gratis — dorzucił Drucki.

— Pewno. Ja im tak mówię, ale myślę, że tak nie jest. Człowiek z nerwem, i z głową, i z tem, co właśnie ma Billy, mógłby interes postawić na nogi, jeżeli włoży jeszcze z dziesięć tysięcy dolarów... No, co pan o tem powie?...

— Cóż powiem?... Chce pan, Jack, kupić tę budę i mnie zrobić dyrektorem?

— I tak i nie. Chcę kupić, ale do spółki z panem.

— Wolne żarty. Ja grosza przy duszy nie mam.

Zalkind wzruszył ramionami:

— Co pan gada, kapitanie, przecie pół godziny klarowałem panu, że pan sam, to żywy kapitał. Ja panu powiem tak. Ja zaryzykuję kupić od nich ten gips. Ale kupić na pańskie nazwisko. Pan będzie właścicielem. Postawi pan budę na nogi, to dobrze, nie — to trudno. Ale ja wierzę, że pan postawi. Rozumie pan? Taka cicha spółka: pół na pół?

Drucki wstał i pokręcił głową:

— Nie, Jack, nie jestem żebrakiem i jałmużny nie przyjmuję.

Teraz już Zalkind nie wytrzymał. Zerwał się z miejsca, zaczął biegać po pokoju, wymachiwać rękoma, targać włosy i kląć na czem świat stoi.

Jakto, jego, Czarnego Jacka, posądzają o takie rzeczy! To człowieka szlag może trafić! To lepiej wziąć nóż i odrazu go zarznąć w samo serce! Cóż to sobie kapitan Winkler wyobraża! Że kapitan nie widzi tu uczciwego interesu dla nich obydwóch, to nie dowód żeby tego interesu nie było!

Póty się pieklił i krzyczał, aż Drucki zgodził się wszczać znowu rzeczową rozmowę.

Zalkind sypał argumentami, powoływał się na znane im obu przykłady, przytaczał cyfry, kalkułowal, prosił, groził, przekonywał, wreszcie zaczął oburzać się, że kapitan tak zadziera nosa, że mógł sobie pozwolić na wielkopański gest uratowania życia i majątku parszywego Żyda, ale nie pozwala mu odwdziżyć się choćby okazaniem zaufania...

— Przestań, Jack, do diabła, histeryzować —
ryknął Drucki — przyjmuję!

Na drapieżnej twarzy Załkinda rozplynał się pogodny uśmiech. Wziął dłoń Druckiego, potrząsnął nią mocno i kuszykając poszedł do biurka.

Przez chwilę przewracał kartki książki telefonicznej, potem wziął słuchawkę i wymienił jakiś numer.

— Czy jest pan Abram Tinkelman... Pana Mieczysława tyż niema?... To poproszę pana Rybczyńskiego... To pan Rybczyński? Co jest, panie Rybczyński, kiedy panowie zapłacą mi te siedem tysięcy?... Jakto, kto? Załkind! Ja panu komornika przyszlę... Co?... Ja zdrowia z wami już nie mam... Co?... Murowane?... Nu, dobrze, tylko szkoda, że Tinkelmana niema...

Zakrył ręką słuchawkę, zrobił oko do Druckiego i powiedział po angielsku:

— Pan myśli, kapitanie, że go niema?

Drucki nie mógł powstrzymać śmiechu. Różnica między Załkindem — kupcem, a Załkindem - gangsterem była uderzająca.

Tymczasem znalazł się Tinkelman, któremu Załkind zakomunikował, że jest tu w Warszawie przejazdem jeden Amerykanin, który ewentualnie mógłby zainteresować się kupnem „Argentyny“, jednakże on, Załkind, ani myśli Amerykanina namawiać, na tę splajtowaną knajpę, ale ewentualnie można pogadać.

Umówili się na jutrzejszy wieczór w tejże „Argentynie“.

Za radą Załkinda Drucki tegoż dnia przeprowadził się do hotelu „Bristol“ i rozlokował się na noc w wygodnym, czystym i szerokim łóżku, już sam nie traktował poważnie swoich obiekcyj co do zawarcia tej oryginalnej spółki z Załkindem.

Da sobie napewno radę i pokaże Warszawie, jak ma wyglądać nocny lokal, który musi mieć powodzenie! Rekordowe!

Już zasypiając przypomniał sobie nieznaną z cukierni. Czyżby rzeczywiście nigdy jej przedtem nie widział?...

— Ale rasowa bestja....

R O Z D Z I A Ł 3

W Sądzie Okręgowym od poniedziałku panowało niebywale podniecenie.

Zaczął się od tego, że prokurator Martynowicz stanął w drzwiach kancelarji i, zwracając się do aplikanta Modronia, powiedział swoim burkliwym, a dobitnym głosem:

— Każe pan na drzwiach gabinetu po podprokuratorze Korczyńskim przybić napis: — Podprokurator Alicja Horn. — Zrozumiano?...

— Tak jest, panie prokuratorze.

Drzwi zamknęły się z lekkim trzaskiem. W kancelarji umilkły wszystkie maszyny, zaległa zupełna cisza.

— Że jak? — zapytała panna Serkowska od dziennika podawczego.

Aplikant Modroń zrobił głupią minę.

— Jak się nazywa ten nowy? — zaszczebotała panna Latosikówna z pod okna.

Modroń zirytował się, widząc wszystkie oczy wlepione w siebie:

— Co się państwo na mnie patrzycie, jak na roroga?! Tyle samo wiem, co i wy. Słyszeliście: podprokurator Alicja Horn.

— Jakże, podprokurator Alicja Horn — oburzył się stary pan Rolko — niby kobieta?

— Nie! Bazard! — wykrzywiła się doń panna Serkowska.

Niemal wszyscy wstali z miejsc i otoczyli biurko Modronia.

— Jeżeli Alicja, to juścić kobieta.

— Ale darujcie! Kto kiedy widział kobietę prokuratora!

— Jak pan powiada?

— Alicja Horn.

— Tak, tak — pokiwał głową pan Rolko — rozpuszta i tyle. Niezłe czasy, co?

— Tfy! — potwierdził wymownie łysy jak kolarz pan Garbarczyk.

— Niesłychane!

— Nie stójcie nademną, jak kat nad dobrą duszą — płaczliwym głosem prosił Modroń — jeszcze stary wejdzie.

— No, panie, ależ to poprostu skandal! Baba ma być prokuratorem?

— Świat się kończy!

— A cóż w tem złego — wzruszyła ramionami pani Więckowa — ciekawam dlaczego kobieta nie może być prokuratorem?

— Cooo? — oburzył się pan Rolko — jak pani nie wstyd, mając siwe włosy i troje dzieci, takie rzeczy opowiadać!

— Siwe włosy, to proszę pana żaden argument. A tymczasem jest faktem, że kobiety pod względem umysłu wcale nie stoją niżej od mężczyzn.

— Nie tylko nie niżej, ale właśnie wyżej — zawołała czupurna aplikantka Ciechowicka. — Właśnie wyżej. A szczególnie w Polsce. Wszyscy cudzoziemcy to mówią, że Polki są mądrzejsze o całe niebo od Polaków!

— He?... — uśmiechnął się, gładząc łysinę Garbarczyk — gdybym był o trzydzieści lat młodszy to niech mi pani wierzy, że i ja zapewniałbym panią...

Tymczasem z wszystkich wydziałów, zaalarmowanych przez pannę Serkowską, zaczęły napływać do kancelarii patroli wywiadowcze. Zrobił się harmider, że o dokończeniu dyskusji na temat mądrości płci niewieściej mowy być nie mogło.

Dopiero, gdy aplikant Modroń wykaligrafował

Kartkę i ostentacyjnie ją niosąc, wyszedł na korytarz, ruszyła za nim cała procesja.

Od tej chwili ostatnie drzwi korytarza na pierwszym piętrze stały się celem nieustannych pielgrzymek, przedsięwziętych z najodleglejszych zakątków gmachu, nie wyłączając pokojów sędziowskich, adwokackich i prasowych.

Każdy chciał się przekonać na własne oczy, że napozór niedorzeczna plotka nie jest plotką, lecz równie niedorzeczną prawdą.

Na drzwiach, przypięta pluskiewkami, wisiała tekturka z napisem: — Podprokurator Alicja Horn.

Mężczyźni wruszali ramionami, a na pytania: — czy nie wie pan, kto to jest ta Alicja Horn? — odpowiadali:

— Pojęcia nie mam, ale ręczę, że jakaś megiera.

W młodszym pokoleniu natomiast ustalilo się zdanie pany Latosikówny:

— Pewno histeryczka i do tego stare pudło.

W tych warunkach znaczną rewelacją, podważającą do pewnego stopnia ogólną opinię, była wiadomość wydobyta z wydziału personalnego Ministerstwa Sprawiedliwości:

— Alicja Horn ma lat dwadzieścia osiem.

W powodzi pogłosek przewijały się zresztą najrozmaitsze. Mówiono o kolosalnych stosunkach Alicji Horn w najwyższych sferach rządowych, o tem, że sam minister w niej się kocha, że nawet miał z nią dziecko, że jest ona nie kobietą, lecz hermafrodytą, a nawet goli się codzień, bo jej wąsy i broda rosną. Sędzia Pszczółkowski słyszał od kogoś, że jest to istota psychicznie zboczona, coś między sadystką a wampirzycą, natomiast mecenas Kamionka utrzymywał że w tej nominacji jest „coś“.

Na czem to „coś“ miało polegać, sam mecenas nie umiał objaśnić.

Trwało to do czwartku, do godziny dziewiątej rano, o której w poczekalni prokuratora Martynowi-

cza zjawiła się wysoka, elegancko ubrana kobieta i powiedziała woźnemu:

— Proszę mnie zameldować panu prokuratorowi. Alicja Horn.

W pięć minut potem elektryzująca wiadomość dotarła do wszystkich biur na przestrzeni całego gmachu:

— Przyszła! Jest młoda i bardzo ładna.

— Można pęknać ze śmiechu! Baba—prokurator.

— Brunetka? Pewno żydówka?

— Józef powiada, że nie wygląda na żydówkę i że blondynka.

Tymczasem prokurator Martynowicz wezwał do swego gabinetu obu wiceprokuratorów i wszystkich podprokuratorów.

— Panowie pozwolą — odezwał się suchym tonem, wskazując stojącą obok niego młodą kobietę — że ich przedstawię naszej mowej koleżance, podprokuratorce Alicji Horn.

Nastąpiło kilkanaście uścisków długiej pięknej ręki przy akompaniamencie wymamrotanych nazwisk.

— Koleżanka Horn — odezwał się prokurator Martynowicz — obejmie dział podprokuratora Korczyńskiego, który został przeniesiony do Lwowa. Usilnie i stanowczo proszę panów o ułatwienie pracy nowemu członkowi prokuratury. Doszło do moich uszu, że fakt nominacji kobiety wywołał tu niemądrą sensację i głupie gadania, których nie cierpię i nie ścierpię. Oczekuję od panów zdecydowanego przeciwstawienia się tym nastrojom i wierzę, że dzięki takto wi i poczuciu obowiązku porządek zostanie natychmiast przywrócony. Dziękuję panom.

W ciągu minuty gabinet się opróżnił.

— Czy będę mogła zaraz przystąpić do pracy — zapytała Alicja Horn.

— Naturalnie. Znajdzie pani wszystko w zupełnym porządku. Korczyński należał do najsystematyczniejszych moich podwładnych. Zresztą aplikant, pan

Modroń zaznajomi panią szczegółowo z rozpoczętymi pracami.

Alicja Horn wstała.

— Zatem...

— Jeszcze jedno, — zatrzymał ją prokurator Martynowicz.

— Słucham, panie prokuratorze.

— Uważa pani... Nie wiem, jak to wyrazić... Hm... Jest pani kobietą i to kobietą o powierzchowności... ujmującej. Nie zniosłbym, gdyby z tego powodu w pracy urzędników płci odmiernej mogły nastąpić jakiegokolwiek zaniedbania!... Uważam, że powinna pani trzymać ich na odpowiednim dystansie. Rozumie pani o co mi chodzi?

— Rozumiem, panie prokuratorze — uśmiechnęła się Alicja, ukazując w rozchyleniu pełnych warg dwa rzędy olśniewających białych zębów.

Martynowicz spojrział na nią z nad okularów i zaczął przewracać jakieś papiery na biurku:

— Hm... Tak... To dobrze. I... tego... i nie trzeba się uśmiechać. Zatem pan Modroń — nacisnął guzik dzwonka — panią zaznajomi z tutejszym porządkiem.

Wszedł woźny i znikł, otrzymawszy polecenie poproszenia pana Modronia.

— Panie prokuratorze — odezwała się Alicja — jestem pewna, że nie dam panu powodów do niezadowolania z mojej tu obecności. Chcę pracować, widzę w zawodzie oskarżyciela publicznego szczytne powołanie i całkowicie zdaję sobie sprawę z tego, że jako pierwsza kobieta w tej roli, muszę tembardziej obserwować jej powagę.

— Tem lepiej — przytaknął Martynowicz — że porozumieliśmy się dokładnie.

Zjawił się aplikant Modroń, przedstawił się niezdarnie i niemal nie patrząc na Alicję, gdyż nie miał odwagi oderwać oczu od ust prokuratora. Po każdym zdaniu jego dyspozycji powtarzał automatyczne „tak

jest, panie prokuratorze“ i dopiero usłyszawszy ostre „no!?” zrozumiał o co chodzi.

Przeprowadził Alcję do jej gabinetu i nie mogąc pozbyć się dręczącego i — czuł to — ośmieszającego zażenowania, urywanym głosem udzielał fachowych objaśnień. Wyjmował pliki aktów, skorowidze, noty, terminarze i mówił bez przerwy.

Dopiero, gdy ona zaczęła mu zadawać krótkie, rzeczowe pytania, nieco ochłonął i ukradkiem przyglądał się jej pochylonej nad papierami głowie. Jednakże, gdy podnosiła nań swe płonące czarne oczy, pośpiesznie rejterował.

— Dziękuję panu — powiedziała po zaznajomieniu się ze wszystkim — jeżeli jeszcze będę musiała pana trudzić, znajdę pana w kancelarji, prawda?

— Tak jest, proszę pani. Moje uszanowanie.
Została sama.

Był to nieduży pokój z jednym oknem, wychodzącym na jakiś szary mur. Popielata farba ściana i żółte meble, składające się z szafy, biurka, stolika do maszyny i kilku krzeseł, robiły wrażenie oficjalnej oschłości i surowości.

Powoli zdjęła futro i mały czarny kapelusz, wyjęła z torebki wieczne pióro i usiadła przy biurku.

Nie czuła tak wielkiej emocji, jak pierwotnie przypuszczała. Wprost przeciwnie, była teraz pewniejsza siebie, niż zwykle. Wiedziała, że da sobie radę nie gorzej niż inni. Zresztą od niejednego z kolegów miała znacznie lepsze przygotowanie. Na Uniwersytecie uważano ją za fenomenalnie zdolną, prawo znała świetnie, pochłonęła setki dzieł fachowych, a dzięki doskonałej pamięci zyskała sobie w łódzkim Sądzie Okręgowym, gdzie odbywała praktykę, przydomek encyklopedji prawniczej.

W znacznej mierze przyczyniła się do tego jej niestrudzona pasja poznawania wszelkich dziedzin wiedzy, mających jakąkolwiek styczność z jurysdykcją. Jeszcze na Uniwersytecie ubocznie studjowała

chemję, psychjatrję, później w Paryżu uzupełniała swe studia, wreszcie przewertowała historję wielkich procesów i dla wprawy sporządzała akty oskarżenia tak, jak ona postawiłaby je na miejscu tamtych prokuratorów.

Z jakąż łatwością odkrywała ich błędy i niedopatrzzenia, w iluż sprawach, gdzie oskarżeni zostali uniewinnieni, można było dowieść ich winy!

Dumna była ze swej inteligencji, przenikliwości i siły wewnętrznej, wiedziała, że może nie obawiać się współzawodnictwa mężczyzn. Jakże bardzo nimi gardziła! Jakże wielkie miała prawo ich nienawidzić!

Zaczęła czytać akty. Istotnie znalazła je w zupełnym porządku.

Pierwsze dotyczyły jakiejś drobnej kradzieży i oszustwa, drugie morderstwa bez żadnych poszlak, trzecie fałszowania monet pięciozłotowych...

Spojrzała na zegarek. Była druga piętnaście. O pół do trzeciej miała naznaczoną oficjalną wizytę u prezesa Sądu.

Złożyła akty, zamknęła szafę i biurko i wyszła na korytarz.

Gabinet prezesa, jak poinformował ją spotkany woźny, znajdował się w lewem skrzydle gmachu.

Idąc po schodach i przez nieskończenie długie korytarze spotykała wciąż urzędników, urzędniczki, masę innych osób i bez trudu spostrzegła, że wszyscy obserwują ją z niesłychanem zaciekawieniem.

Udawała jednak, że tego nie zauważa.

Prezes przyjął ją natychmiast. Mógł mieć około sześćdziesiątki i miał miłą pogodną twarz.

Wyszedł na jej spotkanie i wyciągnął rękę:

— Bardzo mi przyjemnie panią poznać. Jestem Turczyński.

— Horn — odparła krótko.

— Proszę, niechże pani siada — podsunął jej krzesło — cieszę się, że wymiar sprawiedliwości zyskał nową, a tak utalentowaną współpracowniczkę.

— Pan prezes jest zbyt łaskawy — powiedziała zdawkowo.

— Bynajmniej. Słyszałem od pana ministra tyle pochwał dla pani, tyle uznania...

Podał jej pudełko z papierosami.

— Dziękuję panu prezesowi, nie palę.

— Nie pali pani?

W głosie prezesa zabrzmiało tak szczerze zdumienie, że zapytała:

— Dlaczego pan prezes przypuszcza, że muszę palić?

— Będę szczery, jeżeli pani pozwoli. Nie trzeba być szczególnie bystrym obserwatorem, by zauważyć, że naogół kobiety, obierające sobie zawód właściwy mężczyźnie, starają się doń upodobnić w ubiorze, w sposobie bycia. A przyzna pani, że już po kobiecie, która została prokuratorem można się spodziewać conajmniej palenia cygar — zakończył żartobliwie.

— Słusznie, panie prezesie, ale tylko o tyle, o ile kobieta — jak to bywa najczęściej — wybiera sobie fach tradycyjnie męski, właśnie w celu upodobnienia się do mężczyzny.

— Więc pani?...

— Ja zaś przypuszczam, że w tem ich ustosunkowaniu się do kwestji jest mimowolne zaakceptowanie anachronizmu, że tylko mężczyzna jest zdolny być samodzielną jednostką. Schylają tem samem czoło przed szacownym przeżytkiem konwenansu, z którym pozornie walczą, a naśladując mężczyzn po prostu ośmieszają się.

Prezes spojrział na nią uważnie:

— Zaciekawia mnie pani. Przyznać muszę, że poraz pierwszy spotykam się z podobnym punktem widzenia u niewiasty, która właśnie... Czy zechciałaby pani rozwinąć swój pogląd?

— To wcale nie jest skomplikowane, panie prezesie. Sądzę, że kwestja płci nie może odgrywać roli w jakimkolwiek zawodzie. Jeżeli nawet chodzi o pracę

fizyczną, widzimy u ludu miliony kobiet przystosowanych do niej świetnie.

— Bezwątpienia.

— Z drugiej strony mężczyźni w pracach, od dawna uznanych za typowo kobiece, bynajmniej nie nabywają cech kobiecych. Widziałam na Zachodzie mężczyzn, dojących krowy, szorujących garnki, cerujących pończochy itp. i wcale nie zauważyłam, by używali pudru, nosili kokieteryjne błyskotki, czy chodzili powiewnym krokiem.

— Kapitalne! — podniósł brwi prezes Turczyński — zatem pani zdaniem, płeć nie wpływa na rodzaj upodobań i uzdolnień?

Alicja Horn uśmiechnęła się:

— Wpływa tylko sugestja tradycji. Jestem głęboko przeświadczona, że kobieta zupełnie dobrze może wykonywać zawód dosłownie każdy, nie tracąc ze swej kobiecości. O sile mego przeświadczenia świadczy chyba najlepiej fakt, że obrałam zawód prokuratora.

— Zdziwiający! I nie obawia się pani, że pełnienie tego zawodu wymagać będzie od pani bezwzględności, surowości, czasem nawet pewnego okrucieństwa?...

— Okrucieństwo, panie prezesie, jest bliższe psychice kobiety, niż mężczyzny.

Prezes potrząsnął głową:

— Tak, to racja. Jednakże nie rozumiem, niech mi pani wybaczy otwartość, nie rozumiem dlaczego pani została prokuratorem? Istotnie robi pani wrażenie bardzo kobiecej, a u kobiety inteligentnej i świadomej swoich celów, decydują zawsze przy wyborze zawodu pobudki ściśle osobiste...

Alicja uśmiechnęła się blado:

— Jestem kobietą.

Zapanowała cisza.

— Bardzo panią przepraszam — odezwał się pre-

zes — nie miałem doprawdy zamiaru. — Niechże mnie pani nie uważa za niedelikatnego natręta.

— Broń Boże — zaprotestowała żywo.

— Byłoby mi przykro, gdyby odrazu w pierwszym dniu znajomości wyrobiła sobie pani złą opinię o mnie.

— Pan prezes jest zbyt uprzejmy dla mnie, ale jeżeli chodzi o znajomość, to ja znam pana od dawna. Nie raz i nie dziesięć byłam na procesach, w których pan prezes przewodniczył...

— Tak?... I jakież pani odniosła wrażenia?

— Wrażenie... dobroci — odpowiedziała po chwili wahania.

— O?! To niedobrze — uśmiechnął się z udawanym zmartwieniem — z punktu widzenia prokuratorki musiała mnie pani potępić z kretesem, co?

Roześmieli się oboje, a prezes rzucił luźno:

— Swoją drogą w każdym z ludzi tkwi kawałek aktora, chciwego pochwalnych recenzyj, nawet w takim starym, bardzo starym prezesie Sądu... No, ale ja panią nudzę, o, już po trzeciej — wstał i podał jej rękę. — Bardzo pani dziękuję. Rzadko się miewa tak miłe i interesujące oficjalne wizyty. W każdym razie życzę pani powodzenia.

— Dziękuję panu, panie prezesie.

— Pan prokurator Martynowicz jest trochę szorstki, ale zaliczam go do ludzi godnych szacunku. Mam nadzieję, że będzie pani miała dobre stosunki. Dowidzenia pani.

— Dowidzenia, panie prezesie.

Korytarze w powrotnej drodze wydały się Alicji znacznie krótsze. Wizyta u prezesa Turczyńskiego wprowadziła ją w doskonały humor.

— Za kilka dni będę się tu czuła zupełnie swobodnie.

Przed drzwiami swego gabinetu spotkała aplikanta Modronia. Miał dla niej jakieś papiery. Nie prze-

glądając, schowała je w biurku, nałożyła kapelusz i futro i wyszła.

Napadało dużo śniegu i obszerny dziedziniec promieniał białością.

Była to doskonałem usposobieniu, jednakże wystarczył pierwszy rzut oka na ulicę, by czoło jej spochmurniało: po przeciwległym chodniku przechadzał się doktor Czuchnowski i wlepił swoje okulary krótkowidza w bramę Pałacu Paców.

Oczywiście nie zauważył jej i miała wielką ochotę poprostu wyminąć go, chociażby za karę, że przylaź tu wywietrzać swój sentymentalizm starej ciotki. Jednak zatrzymała się, a gdy podbiegł, i całując ją w rękę, pochylił swoją szeroką, łysiejącą blond głowę, roześmiała się:

— Robisz na mnie wrażenie kaczuki, hodującej kurczęta, to jest nie, naodwrot, kury, hodującej kaczkę!

— No i jakże, Alu, powiedz wszystko, dobrze?

— Źle.

— Co ty mówisz?! — przeraził się — dlaczego?!

— Dlatego, żeś tu przyszedł. Co za pomysł! Jestem zła na ciebie. Ładna historia! Fatyganci sterczą przed Sądem, wyczekując, aż wyjdzie prokuratorka.

— Alu, nie masz racji...

— Mój drogi — przerwała — nie jestem pensjonarką, ani panną sklepową. Nie znoszę tego. Ładną opinię wyrobią mi te twoje wystawania.

— Przecie, jako twój narzeczoną, chyba mogę...

— Ach, mój Władku, dziś instytucja narzeczeństwa straciła już nawet swoje dwuznaczne znaczenie, przynajmniej w opinii ogółu.

— Pozatem, możesz przecie powiedzieć, że jesteśmy spokrewnieni. Ostatecznie...

— Po pierwsze dziesiąta woda po kisielu, a po drugie, czy ty naprawdę tak mało mnie znasz, że

możesz przypuszczać, bodaj przez jedną chwilę, że ja będę się przed kimkolwiek tłumaczyć?!

Skręcili na Krakowskie Przedmieście.

— Wogóle, mój drogi, nie znoszę czułości. Już samo to, że pozwoliłeś sobie na ten wybryk świadczy, że stanowczo nie odpowiadamy sobie sposobieniami.

— Alu, przecież nie możesz robić mi zarzutów z tego, że chciałem jak najprędzej dowiedzieć się, jak...

— Właśnie z tego robię ci zarzut. Nie rozumiesz tego?!

Była już poirytowana i wsiadając do tramwaju, umyślnie takie zajęła miejsce, że Czuchnowski nie mógł z nią rozmawiać o rzeczach intymnych. Gdyby nie zdrowie Julki, kazałaby mu wysiąść.

— Jakże Julka? — zapytał pochylając się Czuchnowski.

— Zrana miała 37 i pięć. Chciała nawet wstać i iść do szkoły.

— Broń Boże!

— To też nie pozwoliłam. Obawiam się o jej nerki. Już po szkarlatynie przed trzema laty omal nie zapadła na nie. A teraz jeżeli to grypa, to też często rzuca się na miedniczkę.

— A spała dobrze?

— Gdzież tam. Znasz ją przecie. Do trzeciej w nocy kuła fizykę.

— Nie powinnaś ma to pozwalać. Dziewczęta w jej wieku łatwo zapadają na błednicę.

— Mówiłam jej, ale ona ma swój stały argument: — matura. Jak zrobi maturę — powiada — będzie miała czas na wylegiwanie się i wysypianie.

Przy Topolowej wysiedli. Czuchnowski próbował powrócić do przerwanej rozmowy, lecz Alicja z miejsca przerwała.

— Nie nudź. Wiem, co mi jeszcze mógłbyś powiedzieć i wcalem tego nie ciekawa.

Ulica Topolowa wychodziła na lotnisko, iskrzące się różowym w zachodzącym słońcu śniegiem.

Weszli na trzecie piętro. Alicja otworzyła drzwi z zatrasku.

— Nie masz pojęcia, jak kocham to twoje mieszkanko — odezwał się Czuchnowski — za każdym razem, gdy tu się znajdę, mam uczucie przybicia do portu.

— Och, jakież kwieciste porównanie! Ale jeżeli już tak chcesz, to port ten ma zamało doków.

— Bo to też jest port... kameralny.

— Alu! Alu! — rozległ się z głębi mieszkania głos dziewczęcy.

— Zaraz, mała!

— Dzień dobry, panno Julko! — zawołał Czuchnowski.

— Dzień dobry doktorowi!

— Nie pójdę do niej, póki ręce mi się nie rozgrzeją — powiedział.

— Alu! — krzyczała Julka. — Czy już wpakowałaś kogoś do więzienia?

— Nie wrzeszcz, bo gardło cię będzie bolało! Zaraz Władek przyjdzie do ciebie. Ja muszę zajrzeć do kuchni.

W małej kuchence krzątała się stara Józefowa, mrużąc swoje wieczne pacierze. Alicja nie zapytała o nic, wiedziała bowiem, że Józefowa i tak nic nie odpowie, póki danej modlitwy nie skończy. Pogodziła się od dawna z tym zwyczajem staruszki i sama zajrzała do garnków.

Zupa pomidorowa była już w porządku, ale sztu-fada musiała się jeszcze poddusić, licząc na oko, z pół godzinki. Kompot stygł na oknie, a stojące obok talerze z resztką rosółu i kośćmi kury świadczyły, że Julka już jest po obiedzie.

Alicja weszła do swego pokoju, poprawiła włosy przed lustrem, lekko przypudrowała nos i poszła do Julki.

Czuchnowski siedział przy niej na łóżku i liczył puls.

Julka wyciągnęła wolną rękę i — żeby doktorowi nie przeszkodzić, posłała Alicji milczącego buziaka.

Wyglądała znacznie lepiej, niż rano. Oczy jej błyszczały i miała zarumienione policzki.

— Jakaż ona śliczna — pomyślała Alicja, przyglądając się jej promieniejącej twarzyczce półdziecka — półkobiety.

— Hm... — odezwał się Czuchnowski — panienska nocami nie śpi, a później jest pogorszenie.

— Ależ ja czuję się świetnie! — zaoponowała Julka.

— No, jeszcze zobaczymy, co nam termometr o tem powie. Tylko, panno Julko, proszę trzymać dobrze.

— Smakował ci obiad? — zapytała Alicja.

— Wyborny!... No więc opowiedz!... Taka jestem ciekawa. Jak cię tam przyjęto? To musieli mieć sensację! No, więc?...

— Nic nadzwyczajnego. Prokurator przedstawił mnie kolegom, później złożyłam wizytę prezesowi Sądu.

— Sympatyczni?

— Owszem.

— A masz swój pokój?

— Mam. Nieduży gabinecik.

Julka wydeła wargi.

— Niedobra jesteś, Alu. Zbywasz mnie półsłówkami. I to tak zawsze!! Ja ci zawsze mówię o sobie wszystko, wszystko! I co robię i co myślę, a ty nigdy!... Traktujesz mnie, jak smarkatą...

Alicja z uśmiechem pogładziła kasztanowate włosy dziewczyny:

— Więc cóż ci mam powiedzieć?

— No, chociażby to, czy są tam jacy przystojni panowie?...

— Ho, ho!... — oburzył się doktor — co też pamięnkę interesuje!

— Też!... — wzruszyła ramionami Julka.

— Uwaga — przytrzymał ją — termometr!

— Więc, wyobraź sobie — powiedziała Alicja, — że jest tam jeden taki młokos, aplikant, co wywraca do mnie oczy. Reszta, to starsi i poważni ludzie.

— Och, jestem pewna, że oni wszyscy tam w tobie zakochają się!

— Nie pleć głupstw, Julko.

Dziewczynka zrobiła do Alicji oko i powiedziała umyślnie żalonym tonem:

— Biedny doktorek, będzie usychał z zazdrości.

Czuchnowski chrząknął i poprawił swoje rogowe okulary, co było tak wymowną ilustracją jego zakłopotania, że Julka pożałowała swej złośliwości i pogłaskała go po policzku.

— Chyba już można wyjąć termometr — zauważyła Alicja — chcę dowiedzieć się, jaka temperatura, bo muszę zdążyć przebrać się przed obiadem.

— Trzydzieści osiem i dwie kreski — sprawdził doktor — oto skutki uczenia się po nocach!

Wydobył z kieszeni lekarską słuchawkę:

— No, panienko, proszę zdjąć koszulkę i usiąść.

— Zaczekaj — zatrzymała ją Alicja — nim wyjdę. W sąsiednim pokoju jest zimno i mógłby cię powiew zaziębić.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, Julka powiedziała:

— Nie gniewa się pan na mnie, doktoru?

— Ależ za co? No, jazda, moja panno.

Usiadła i ściągnęła koszulę.

Stanowczo nie wyglądała na typ skłonny do gruźlicy. Łagodna spadzistość ramion, prawidłowo osadzona szyja, dostatecznie rozwinięta klatka piersiowa. I ostatecznie dość mięśni. Szczupłość zwykła u siedemnastoletniej dziewczyny.

Zaczął opukiwać szczyty. Jego dwa palce prze-

suwały się cal po calu po ciepłej jedwabistej skórze, trzeci uderzał w nie, jak młotek. Dźwięk był czysty i pełny. Oparł niechcący dłoń na małej jędrnej piersi. Julka drgnęła i zarumieniła się, on jednak tak był pochłonięty badaniem, że tego nie zauważył.

Opukał plecy i wziął słuchawkę:

— Teraz posłuchamy, co nam powie stetoskop. Proszę głęboki oddech... tak... teraz znowu... tak... jeszcze... No, doskonale... A jak tam serduszko... Proszę nie oddychać...

— Wolne — roześmiała się Julka.

— Co?

— No, serduszko!

— Nie rozumiem? — podniósł głowę i spojrzał na nią.

— Pytał pan, jak tam serduszko, więc powiedziałam, że wolne.

— Aha, — zaśmiał się i dopiero teraz spostrzegł, że ta mała go kokietuje. — Ważniejsze to, że płuca są wolne — dodał.

Miał przytem tak speszoną minę, że Julka postanowiła jeszcze bardziej go zmieszać.

— Doktorku — zaszcebiotała — proszę mi powiedzieć, czy jestem dobrze zbudowana?

— No, owszem, zupełnie normalnie.

— Nie, nie o to mi chodzi. Ja pytam, czy ładnie?

— Eee — nie znam się na tem. Proszę się odwrócić.

Przyłożył słuchawkę do jej pleców.

— Ale przecież doktorek ma...

— Cicho! Proszę odychać głęboko... jeszcze... tak... wciągnąć powietrze... dobrze...

Złożył stetoskop i schował do kieszeni.

— Mogę nałożyć koszulkę? — zapytała z figlarną minką.

— No... można, już po auskultacji, ale jeszcze nie wszystko. Proszę się położyć na brzuszku.

— O, będzie doktorek mnie bić?

— Należałoby — mruknął i pomyślał, że Julka jest dziś strasznie rozbrykana.

Odsunął koldrę i lekko naciskając mięśnie w okolicach nerek, zapytał:

— Boli?

— Nie.

— A tu?

— Też nie... — jej głos wydobywał się z poduszki, w którą wcisnęła twarz — nigdzie mnie nie boli! Pan chce mnie udusić w tej poduszce.

— Władku! — rozległ się w sąsiednim pokoju głos Alicji — skończyłeś?

— Już, za chwilę.

— No, więc idź umyć ręce. Obiad na stole.

— Sekundka.

Julka nakładała koszulę i borykając się z rękawem, zapytała:

— Więc nie powie mi pan, czy jestem ładnie zbudowana?

— Powiem co innego — zirytował się — mała zrobi siusiu i napełni tem buteleczkę. Zabiorę do analizy.

Pokazała mu język.

— A, doskonale — ucieszył się tym dowodem poskromienia krnąbrnej pacjentki — proszę, proszę pokazać języczek.

— Nie pokażę!

— No? Jeszcze nie skończyliście? I jakże — stanęła na progu Alicja.

— W porządku. Dzięki Bogu nic groźnego, zwykłe zaziębienie i mała grypka. Wczoraj obawiałem się, że może być gorzej. O ile się nie mylę...

— Dobrze, opowiesz mi przy obiedzie. Idź teraz myć ręce.

Gdy wyszedł, Alicja usiadła na łóżku Julki, która zarzuciła jej ręce na szyję:

— Alu! Pojęcia nie masz, co ja wyprawiałam!... A nie będziesz się gniewać?... Wyobraź sobie kokie-

towałam doktora! Miał taką głupiutką minę! Zapytałam go, czy jestem ładnie zbudowana... No, nie śmieję się ze mnie!... Alu!...

— I cóż on na to?

— Wyobraź sobie powiedział: niech mała zrobi siusiu do analizy! Jak on mnie traktuje! Oczywiście, pokazałam mu język!

Alicja, śmiejąc się, przytuliła Julkę i ucałowała serdecznie.

— Nie dokazuj zanadto, kochanie, bo ci gotowa gorączka podskoczyć — powiedziała wstając.

— Alu, zaczekaj, muszę ci coś bardzo ważnego powiedzieć, coś strasznie ważnego!

— No?

— Nie masz pojęcia, jak ja ciebie kocham! Więcej, niż cały świat!

Alicja zawróciła od drzwi i pocałowała ją w wyciągnięte usteczka.

Nic nie odpowiedziała. Przecie sama kochała Julkę, jak siostrę. Cóż znaczą węzły krwi? Kwestja przypadku i tyle... A ta obca dziewczyna, ta dziewczyna, z krwi bardziej obcej, niż można sobie wyobrazić, samą swoją egzystencją przypominająca brata... Głos naprzykład ma zupełnie taki, jak Paweł... A przecież jest jej najbliższa... Rzeczywiście na całym świecie nie ma nikogo bliższego...

— Alu, o czym tak myślisz?...

— O wszystkim potrosze, kochanie

— A zupa stygnie! — rozległ się z drugiego pokoju głos Czuchnowskiego.

Trzeba było siadać do stołu.

ROZDZIAŁ 4.

Akty sprawy Walerjana Traczyka miały wiele braków. Policja nie zadała sobie trudu odszukania owej kobiety, która zaalarmowała nocnego dozorcę,

nie zdjęto odcisków palców z elektrycznej latarki, którą niewątpliwie w chwili popełnienia zbrodni miał w rękę przestępca, a sędzia śledczy uznał za wystarczające alibi dla Wieczorka świadectwo jego siostry.

Sporządzenie aktu oskarżenia na tych podstawach byłoby poprostu niechlujstwem.

Podprokurator Alicja Horn zadecydowała odeślanie sprawy, celem uzupełnienia śledztwa, skończyła pisanie i odużyła pióro.

Zbliżała się już czwarta.

Pracowała dziś bez wytchnienia, niemal nie podnosząc głowy z nad stosu papierów. Roboty było bardzo dużo. Za ledwie mijał tydzień czasu, gdy pierwszy raz usiadła przy tem biurku, a już zupełnie dobrze orjentowała się we wszystkim.

Martynowicz ani razu nie zrobił najmniejszej zmiany w jej decyzjach, Modroń mówił, że wiceprokurator Mesner miał się o niej wyrazić:

— Ależ to urodzony prokurator!

Nie cieszyła się tem zbyt. Wiedziała, że tak będzie. Również i stosunki — jak przewidywała — ułożyły się dość normalnie. Nie przestała jeszcze być w Sądzie osobliwością i tematem rozmów, jednak nie patrzono już na nią, jak na raroga.

— Niech poczekają — myślała — aż wystąpię przed sądem! Wtedy im pokażę, co potrafi podprokurator Alicja Horn!

Narazie nie zanosilo się na to, jednakże w przyszłym tygodniu mogła wypłynąć sprawa Kwiatkowskiego i trzeba było pomyśleć o todze i birecie.

Zamknęła biurko i zatelefonowała do domu. Odezwała się Julka. Siedzą z doktorkiem i czekają, są strasznie głodni.

— Jedzcie obiad — powiedziała Alicja. — Mam jeszcze sprawunki na mieście i spóźnię się. A teraz poproś doktora... Dobrze, dobrze... poproś... Dzień dobry, Władku... No co? Byłeś u profesora Brunickiego? Hallo! Tylko nic więcej nie mów, jeżeli jest

tam Julka. Odpowiedz poprostu: tak, lub nie... No dobrze. Jedzcie obiad... Co? Oj, jakiś ty nudny!... Proszę, byście jedli. Przyjadę za pół godziny, może za trzy kwadranse. Dowidzenia.

Wychodząc z Sądu spotkała prezesa Turczyńskiego. Zatrzymał ją w bramie:

— No i jakże się pani pracuje?

— Dziękuję — odparła wesoło — wybornie.

— Martynowicz jest panią... ale proszę o dyskrecję!... jest panią zachwycony.

— O?! Nie wyobrażałam sobie, by pan prokurator był zdolny do zachwyków.

— Jakże! Gdy zapytałam go o panią dał upust swemu entuzjazmowi w wyrazach:—Hm... owszem...

Roześmieli się oboje.

— Upewniam panią — dodał prezes, — że jak na Martynowicza to bardzo dużo.

Pożegnała prezesa niemal serdecznie i wstąpiła do sklepu kupić togę i biret. Pomimo jej dużego wzrostu toga była zaobszerna, wzięła ją jednak i pojechała na Kruczą do krawcowej, u której i tak miała być dzisiaj dla przymierzenia sukni wieczorowej.

— Skróci pani tę togę o jakieś osiem centymetrów i rękawy trzeba zwięzić.

Krawcowa z nabożeństwem napinała szpilki.

— Do twarzy mi w tem? — zapytała Alicja, nakładając biret.

— Ach, proszę szanownej pani — klasnęła w ręce krawcowa — świat jeszcze nie widział takiego prokuratora! Skazańcy z radością będą szli na śmierć!...

Rzeczywiście, przyjrząwszy się sobie w lustrze, Alicja wyraziła zadowolenie. W tej czerni z wąskiem czerwonym oblamowaniem wyglądała wyśmienicie. Kontrast niemal złocistych włosów i soczystej świeżej cery z powagą stroju dawał efekt nieprzeciętny.

— Odeśle mi to pani do domu — powiedziała zegnając się i spoglądając na zegarek.

Wzięła taksówkę. Rzadko pozwalała sobie na ta-

kie wydatki, chociaż teraz, gdy do jej renty przyłączyła się skromna pensja podprokuratora, właściwie mówiąc, miała budżet swój pokryty ze znaczną nadwyżką.

Już na schodach usłyszała głos gramofonu.

Naturalnie! Jakżeby Władek nie wyzyskał jej nieobecności, żeby nie puścić gramofonu. Właściwie mówiąc, nie miała przeciw gramofonom, ale nie przepadała za ich „muzyką“.

Jakże śmieszną minę miał doktor, gdy przydzwigał go wtedy, gdy ona, Alicja, wydrwiła bezceremonjalnie pomysł robienia jej prezentów wogóle, a już takich w szczególności.

Tak był speszony! Biedny pocziwiec zdobył się wówczas na przebiegłość i usprawiedliwił się tem, że to prezent dla Julki.

Wybiegli na jej spotkanie. Gramofon oczywiście umilkł w połowie jakiegoś „kooooocham“, Józefowa sprzątała ich nakrycia.

— Wiesz, Alu, dostałam dziś z trygonometrii piątkę! — przywitała ją Julka.

— Jak się macie. Bardzo się cieszę, a z historii cię nie pytano?

— Wyobraź sobie... nie, nie pytano... ale wyobraź sobie, Wacka Ruszczewska rzuca budę, nie robi matury i... zgadnij?

— No?

— Wy-cho-dzi zamaż!!! Za tego pulpecikowatego bruneta, co zawsze na nią czekał pod szkołą.

Czuchnowski chrząknął znacząco. Alicja uśmiechnęła się.

— Wcale nie ładny — trzepała Julka — ale dość taki sobie bubek. I ma samochód, sześciocyndrowego Steyera, tylko, że limuzyna, co za przyjemność? Prawda? Ale Ruszczewskiej będzie w nim do twarzy, bo ma zielone oczy, a wóz zielony. Wszyscy mówią, że robi karierę.

— Wóz?

— Nie, no przecież Wacka, bo on wogóle jest bogaty.

— Wóz?

— Nie będę opowiadała — obraziła się Julka.

Alicja ucałowała ją w oba policzki.

— No już dobrze, dobrze. Chcę tylko żebyś wyrażała się dokładnie.

— Ja tam nie mam zamiaru być prokuratorem — wzruszyła ramionami.

Józefowa przyniosła zupę i Alicja usiadła przy stole.

— A czemuż panna Julka chce być? — zagadnął Czuchnowski.

— Popierwsze nie czemuż, a kimże, chcę żeby pan wyrażał się dokładnie, a podrugie nie myślałam jeszcze o tem. Mam czas.

Była trochę skwaszona i gdy tylko Alicja skończyła obiad, oświadczyła im, że musi zasiaść do robienia lekcyj.

Zostali sami. Doktor chciał już zacząć mówić, lecz Alicja go zatrzymała.

— Zaraz. Przejdźmy do mego pokoju. Julka mogłaby słyszeć.

Bardzo lubił ten pokój, w którym tak rzadko miał sposobność bywać, pokój tak niespodziewany w tem wprawdzie ładnym i wygodnym, lecz jakimś nieco sztywnym mieszkaniu. Tam wszędzie panowały barwy jasne i wszystko zdawało się lśnić, tutaj ciemnoczerwone tapety i miękkie o płynnych linjach meble, wspaniale szeroki tapczan i gruby dywan, pokrywający podłogę, a nawet dość silny zapach perfum. (Alicja sama przecie nigdy się nie perfumowała!).

Nie raz zastanawiał się nad tem. Nie umiał sobie sprecyzować wrażień, ale wydawało mu się, że powierzchowność i sposób bycia Alicji, jest jak tamte pokoje, a jej wewnętrzne życie może całkiem inne, może takie jak ten.

Lubił ten pokój, ale swobodniej czuł się u Julki, czy w jadalnym, a nawet w przedpokoju.

— Byłem u profesora Brunickiego w klinice uniwersyteckiej.

— Przyjął cię prędko?

— Tak. Przypomniałem mu, że słuchałem jego wykładów jeszcze za czasów jego docentury. Był bardzo uprzejmy. Kazał zaraz przynieść książki i szukaliśmy razem. Otóż Paweł Horn poraz ostatni był wypisany z kliniki psychiatrycznej przed trzema laty.

— Dokąd? — zapytała zimno,

— Do zakładu w Tworkach

Zaległo milczenie.

— Profesor Brunicki nie mógł sobie z początku przypomnieć o kogo chodzi, ale przeczytawszy historję choroby, przypomniał:

— Tak, tak — powiedział — już wiem. Rzeźbiarz, no to była sprawa przesądzona. Zdecydowany morfinista...

— Morfinista?!... — cicho spytała Alicja.

— Tak, ale to nie wszystko, to dałoby się wyleczyć, gdyby — jak powiada profesor Brunicki — nie kontuzja czaszki.

— Więc i ta kontuzja odzywała się?

— Tak — kiwnął głową Czuchnowski — bardzo silnie. Paraliż częściowy, zaburzenia zmysłowe, anestezyja nerwów. Musiano czasami stosować sztuczne oddychanie...

Alicja wstała i przeszła przez pokój.

— Nie pytałeś Brunickiego o przyczyny choroby?

— Pytałem. Chodziło mi w tem o Julkę. Profesor powiada, że stanowczo żadnych obciążeń dziedzicznych nie było. Kontuzja na froncie była, jego zdaniem, źródłem choroby, porażenie zaś niektórych ośrodków nerwowych wyzněło na rozwój psychostenji, a stąd morfinizm. Tedy jasną jest rzeczą, że choroba jest zupełnie indywidualna i że jego siostrze, dzięki Bogu, nic nie grozi.

— Dzięki Bogu — powtórzyła Alicja.

— Czy Paweł żyje jeszcze — ciągnął Czuchnowski — profesor Brunicki nie wie. W każdym razie już przed trzema laty, gdy go wysyłał do zakładu w Twor-
kach stan był beznadziejny... Kwestja miesięcy, lub
nawet tygodni...

Alicja oparła głowę na rękę i znieruchomiła. Doktor chciał zapalić papierosa, lecz zdawało mu się, że teraz nie wypada. Patrzył na ścianę, na której rozwieszony był szal, wyobrażający centaura o wzniesionym ogonie i amazonkę, której szerokie lędźwie gnio-
tły boki wierzchowca, stojącego dęba. Możliwe, że było to jako dzieło sztuki piękne, lecz Czuchnowskiego uderzyła w tem jakaś poprostu nieprzyzwoitość. Nie dlatego, że amazonka była naga, ale wogóle.

— Głupota jest największą zbrodnią — powiedzia-
ła jakby do siebie Alicja i wstała.

— Cóż — dodała po chwili — świat żyje głupotą. Nie wszyscy chwytają za rewolwer. Niektórzy, jak Paweł, popełniają samobójstwo... Gardzę nimi, nienawidzę ich!... Topielcy, co idąc na dno wpijają się w dusze innych, by ich też pociągnąć...

Położyła rękę na ramieniu Czuchnowskiego i zacisnęła palce:

— Ale są tacy, którzy się wciągnąć nie dadzą. Myślisz, że mam dla Pawła współczucie? Może litość? Nie, postokroć nie, tylko nienawiść za niego, i za siebie, i za nasze zmarnowane szczęście...

— Owszem, rozumiem ciebie... — zaczął niepewnym tonem Czuchnowski.

— Nie rozumiesz! Nie możesz zrozumieć, by ktoś potrafił zrobić tragedję z niepopelnionej winy kochanej i kochającej kobiety, by zdając sobie sprawę z bezpodstawności, z głupoty swoich pretensyj do losu, druzgotał życie sobie i jej, by z krzywdy, jaka spotkała ją w dzieciństwie, z krzywdy, ze zwykłej krzywdy, wyciągnąć obłądną żądę zniszczenia najlepszych, naj-

piękniejszych uczuć. O!... nigdy mu tego nie przebaczę! Nigdy!...

Jej oczy wbijały się w oczy Czuchnowskiego, zdawała się do niego mówić, on jednak odczuwał, że jest tylko przypadkowym świadkiem tego wybuchu.

— Ani razu — odezwał się cicho — nie wspominałaś mi dlaczego właściwie rozeszliście się z Pawłem?
Alicja drgnęła.

— Co?...

— Nie mówiłaś nigdy, dlaczego rozeszliście się z Pawłem.

— Rozeszliście się? — zapytała z ironją. — Nie, mój poczciwy przyjacielu, nie rozeszliśmy się. Porzucił mnie! Słyszysz?! Porzucił! Zaraz nazajutrz! Po jednej jedynej nocy, strasznej nocy!...

Zakryła twarz rękoma i pochyliła głowę.

Doktór siedział bezradny. Mój Boże! życie oddałby za to, gdyby mógł wyrwać z niej ten ból, którego tajemnicy nie znał. A pytać więcej nie śmiał.

— Przeklęty, niech będzie przeklęty! — wymówiła przez zaciśnięte zęby.

— Alu! Alu! Uspokój się! — prosił Czuchnowski — pomyśl, może on już nie żyje...

— Więc niech pamięć jego będzie przeklęta!

— Alu zapomnij o nim. Zobaczysz, znajdziesz wtedy, z czasem, przebaczenie w sobie... Masz teraz mnie...

Niespodziewanie podniosła nań oczy i roześmiała się nerwowo:

— Aha! Ciebie!...

Czuchnowski skurczył się w sobie. Tyle lekceważącej pobłażliwości brzmiało w jej głosie.

— Oczywiście, mam ciebie — mówiła, nie zmieniając tonu — zapewniam cię, że wystarcza mi to w zupełności. Ale wyobraź sobie, że kiedy Pawła spotkałam, miałam lat dziewiętnaście. Wówczas jeszcze, mój drogi, byłam niemądra, byłam tak niemądra, jak wszystkie kobiety, wówczas wierzyłam, że szczęściem mo-

jem nie jest mieć kogoś, lecz należeć do kogoś, być jego własnością. A teraz... mam dwadzieścia osiem lat, zrewidowane poglądy, no i... ciebie.

Znowu się zaśmiała:

— Tak, drogi Władku, pod dobrym adresem skierowałeś swoje pocieszenie. Ale ostrzegam cię przed zwracaniem się z tem do inych kobiet, które jeszcze nie wyzbyły się.. ambicji niewolnictwa.

Była znowu opanowana i spokojna:

— No, ale do rzeczy. Tedy Profesor Brunicki nie wie o panu Pawle Hornie?

— Nic poza tem, że umieszczony został w zakładzie w Tworkach.

— Spodziewam się, żeś napisał do zarządu zakładu z zapytaniem?

— Tak, zaraz po wyjściu z kliniki wstąpiłem na pocztę i wysłałem list. Na odpowiedź podałem swój adres, bo sądziłem, że byłoby ci przykro...

— Wszystko jedno — wzruszyła ramionami — zresztą nie mnie przecie zależy na pośpiechu.

— Jesteś dziś bardzo niedobra dla mnie, Alu — powiedział pocichu.

Pogłaskała go po łysiejacej głowie:

— Widzisz — uśmiechnęła się — to dla równowagi: — ty jesteś dla mnie zadobry. Aha! Dzwonił do mnie twój przyjaciel...

— Łęczycki?

— Łęczycki. Umówiliśmy się, że pójdziemy do teatru na Shawa, a później na kolację do „Savoyu“.

Musisz więc pójść do domu przebrać się

Czuchnowski zrobił płaczliwą minę:

— Znowu! Już trzeci raz w tym miesiącu! Ja tak nie znoszę knajpy!

— Możesz nie iść.

— Jakto mogę? Nie mogę. A pomyśl tylko: ty zrana masz Sąd, ja szpital, Łęczycki swoją kancelarię. Znowu zaciągnie się do drugiej, czy trzeciej...

— Oj, jakiś ty nudny. Patrz, już za dwadzieścia siódma. Spóźnisz się do teatru.

Westchnął i wstał :

— Mam przyjechać po ciebie?

— Nie — potrząsnęła głową — spotkamy się w westibulu. Kup bilety w jakimś szóstym rzędzie. Tylko bądź łaskaw pamiętać, że ja płacę za siebie.

Nie odprowadziła go do przedpokoju, lecz wprost poszła do Julki.

Dziewczyna podniosła z nad książki uśmiechnięte oczy:

— Poszedł doktorek?

— Tak. Jakże się czujesz?

Julka wstała i przeciągnęła się:

— Trochę jestem zmęczona. Tak sobie myślałam, że po maturze, jeżeli ty dostaniesz urlop, pojedziemy naprzykład na Hel! To byłoby cudownie. Jeszcze nigdy nie widziałam morza.

— Zobacysz je jeszcze nie raz — przytuliła ją Alicja.

— Na wsi też przyjemnie, ale u obcych... Jaka szkoda, Alu, że ani ty, ani ja nie mamy krewnych na wsi.

— Wogóle nie mamy nikogo — powiedziała Alicja — jesteśmy same.

Dziewczyna przytuliła się do niej mocno:

— Mnie to wystarcza, Alu, mnie naprawdę to wystarczy, to jest bardzo dużo.

Zegar wybił siódmą.

ROZDZIAŁ 5.

Wentylatory huczały ogłuszająco, przez rozsunięte zasłony okien sączyło się mgliste światło grudniowego poranka.

Kelnerzy poprzebierali się już w swoje marynarkowe ubrania, tylko barman, chudy pan Grabowski

paradował jeszcze za ladą amerykańskiego baru w malowniczym stroju kaubojskim z jaskrawą chustką na szyi.

Zamykał szafki i szuflady, pobrzękiwał kluczami, zsuwał z ręcznie brudne szklaneczki i kieliszki do dużej blaszanej wanienki, trzymanej przez pyzată pomywaczkę w białym kitlu.

Pomocnicy portjera zabrali się z rozmachem do porządkowania, zsunęli stoliki i pokryli je wkrótce rogatym lasem odwróconych do góry nogami fotelików.

Dziewczęta już się rozeszły. Na wysokim stołku przy barze siedziała sama panna Kazia, (signorita Fiametta — tango akrobatyczne) i pudrowała autentyczny argentyński nossek.

Nie spuszczała jednak oka z korytarza, a właściwie z oszklonych lagrowem szkłem drzwi, na których przybita była tabliczka — Dyrekcja.

Już od kilku dni narażała się przez to na żarciki i kpinki całego personelu, jednak nie dawała za wygranę.

I teraz kelnerzy, nakładając palta i rzucając swoje stereotypowe „szanowanie“, zerkali na nią porozumiewawczo, a barman zapytał:

— Panno Kaziu, czy mi się zdaje, czy pani czeka na tramwaj?

— Co? Na tramwaj? A to pan Zygmunt nie wie, że tramwaj z mądrymi rozbił się i wszyscy nogi połamali? — odcięła się z miejsca.

— Ja tam nie jeżdżę z mądrymi. Nogi mam całe.

— To widać — powiedziała znacząco.

Grabowski nie mógł jednak dać się „zjeść“. Brzęknął kluczami i zareplikował:

— Widać, nie widać, a pani, panno Kaziu to faktycznie marzenia ściętej głowy, można powiedzieć. Już znaliśmy takich, co gwiazdy po niebie łapali, a jak co do czego, to szlus i żadnej perspektywy, można powiedzieć!...

Nagle drzwi w korytarzu otworzyły się i wybiegł kasjer Justek:

— Panie Grabowski! Pan dyrektor prosi:

— Już idę!

Wytarł ręce serwetą, wyciągnął z szuflady szczelnie zapisany arkusik i zapukał do drzwi.

Krótkie „wejść“ i znalazł się w gabinecie.

Dyrektor oczywiście siedział na biurku. Zawsze tak: albo na biurku, albo na parapecie okna, albo na wątku sofy. Właściwie niewiadomo poco przy biurku stał fotel. Od chwili nabycia „Argentyny“ przez Winklera nikt go jeszcze nie widział siedzącego w tym fotelu.

Teraz palił papierosa i kiwając nogą słuchał sprawozdania kipera:

— ...Dwadzieścia sześć węgierskiego, jedenaście malagi, sto czternaście Cordon Rouge, dwie Cordon Vert, trzydzieści siedem Clicot i osiem „Cristal“...

Panna Tecia, szybko przesuwając wałek maszyny odstukiwała wymieniane przezeń cyfry w odpowiednich rubrykach.

— To wszystko, stary — zapytał dyrektor.

— Daj Boże codzien tyle — roześmiał się kiper.

Dyrektor uderzył go po ramieniu:

— Furda, bracie, zobaczysz, wyciągniemy jeszcze dwa razy tyle! No panie Grabowski, jakże tam?

— Pierwsza klasa, panie dyrektorze, siedem tysięcy dwieście czterdzieści trzy!

— Rozpijas pan ludzi, niech pana drzwi ścisną! No, wal pan na maszynę.

Odwrócił się i podszedł do dużego stołu, na którym piętrzyły się stosy banknotów, plon dzisiejszej nocy. Kasjer Justek segregował je z niezwykłą wprawą i układał po sto sztuk.

— Powinno być trzydzieści dwa z pagórkim — powiedział dyrektor.

— Będzie — lakonicznie potwierdził kasjer i pomyślał:

— Jak teraz zupełnie inaczej się pracuje, wszystko wiadomo, żadnych kłótni... Ma łeb do interesu!

Tymczasem Grabowski skończył i ukloniwszy się wyszedł. Maszynistka wyjęła z „Royalu“ gotowy arkusz i podała dyrektorowi:

— Czy nie będę popołudniu potrzebna? — zapytała spuszcżając oczy.

Drucki obejrzał się, a widząc, że Justek ich nie widzi pogładził ją po śniadej buzi:

— Nie, mała, dziękuję — powiedział z uśmiechem — tylko wykaz pani zrobi.

— No, to dowidzenia, panie dyrektorze, — westchnęła panna Tecia.

— Dobranoc, mała, proszę spać dobrze i niech się aniolki przyśnią!

Wspięła się na palcach i pocałowała go w usta, akurat w chwili, gdy Justek podniósł głowę.

Zaczerwieniła się i wybiegła. Przechodząc koło baru zmarszczyła brwi: — ta mała Kazia zawsze tu czatuje. Obrzydliwa kokota!

Postanowiła nazajutrz wypytać portjera, czy dyrektor wyszedł z nią, czy sam.

A Drucki jeszcze nie myślał o wyjściu. Najpierw sprawdził wraz z Justkiem kasę, później pożegnał go, otworzył pancerną szafę i poukładał pieniądze.

Zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie wynika z trzymania w interesie tak dużej gotówki. Cała służba o tem, wie, a pokusa robi złodzieja. Cóż mógł na to poradzić? Banki otwierają się dopiero o dziewiątej, nie mógł zaś od siebie wymagać wyrzekania się dwóch godzin z tej i tak niewielkiej porcji sześciogodzinnego snu, na jaki sobie pozwalał.

Później oczywiście będzie lepiej, ale teraz, na początku, musi sam wszystkiego dopilnować. Trzeba ludzi nauczyć porządku, wprowadzić z jednej strony surowy rygor, a z drugiej zachęcić wszystkich do pracy.

Schował klucze do kieszeni i wyszedł na korytarz. Najpierw zajrzał do kuchni, gdzie kończono właśnie

szorowanie blach i zmywanie naczyń, wszedł do piwnic, by zobaczyć, czy wszystko jest pozamykane, zgromił gospodynię za niezgaszenie światła w lodowni i pochwalił za zmniejszenie się liczby tłuczonych szkieł.

Pogawędził z kuchcikami, uszczypnął w policzek tęgą kawiarkę i poszedł na salę. Wentylatory już zamknięto, kurze były starte. Służba wielkimi płachtami płótna pokrywała meble.

— A ty mała czego tu jeszcze siedzisz? — zdziwił się ujrzawszy Kazię.

— Ja, ja... tego — zająknęła się — ja czekałam...

— Na co czekałaś?

— No, ma... pana dyrektora...

— O co chodzi, słucham?

Signorita Fiametta milczała. Drucki doskonale wiedział o co jej chodzi, lecz umyślnie zapytał:

— Co, może pożyczka?

— Eee... nie... panie dyrektorze.

Była bardzo ładna i miała coś pikantnego w małych ruchliwych chrapkach. A że swoje tango akrobacyjne tańczyła prawie nago, wiedział, że była wspaniale zbudowana i wygimnastykowana, jak cyrkówka.

Jeżeli dotychczas nie zainteresował się nią, to tylko dlatego, że wszyscy mówili, że Kazia żyje z fortan-cerzem Izmańkowym, a przytem sam był bardzo zajęty.

— No, więc cóż? — zagadnął.

— Eee.. pan dyrektor udaje, że nie wie..

— że czego nie wiem? — drażnił ją Drucki.

— No, że pan dyrektor mnie się podoba...

— Oooo!...

— Ja wiem, że pan dyrektor wszystkim bardzo się podoba. Przecież nie potrzebuję tego mówić. Połowa tych bab, co teraz drzwiami i oknami wałą do naszej budy, to wszystko dla pana dyrektora

Drucki roześmiał się.

— Niech pan Dyrektor nie śmieje się ze mnie, pan sam wie, że kobiety na pana lecą...

— I ty, mała, też?...

— Też.

Znowu zaśmiał się, chociaż nieco zaskoczyła go ta prosta odpowiedź.

— I niech pan nie myśli, że lecę na pańskie pieniądze — wydeła pogardliwie wargi — forsę to ja mogę mieć jeszcze więcej niż mnie potrzeba... Pan dyrektor sam widzi, że najbogatsi goście rozbijają się o mnie. Ale pan mnie się tak podoba, bo pan jest morowy chłop i wogóle...

— Uważaj mała, bo mnie wbijesz w dumę. No pogadamy jeszcze kiedy o tem, a teraz czas spać.

Dziewczyna spuściła głowę:

— Nie podobam się panu — powiedziała cicho.

— Ale cóż znowu, tylko trzeba iść spać, późno już.

Chwyciła go za rękę:

— Panie dyrektorze, niech pan do mnie pojedzie na śniadanie.

— Ale mnie czas do łóżka, moja mała

— U mnie też jest łóżko, panie dyrektorze!... No, panie dyrektorze.

Był naprawdę nieco zmęczony i trochę go zirytowała natarczywość tej tancerki. Dlatego powiedział złośliwie.

— że jest to wiem, ale czy czasem nie zajęte?

Natychmiast puściła jego rękę i odwróciła głowę.

— Ot, jak... —szepnęła — cóż.. wolno panu tak mi napluć w oczy... wolno... jestem taka, że ze mną tak należy...

Zrobiło mu się przykro.

— Sza, mała, — powiedział — nie chciałem ci nic przykrego mówić, zażartowałem, no już, uśmiechnij się, no szybko! Dobra jest! A jeżeli mnie jutro zaprosisz na śniadanie, to chętnie przyjadę. Bardzo chętnie! Ale dziś nie mogę. No, pa mała!

Pogładził ją po policzku i odwrócił się:

— Jaworek! — krzyknął — moje futro!

Od drzwi jeszcze kiwnął dłonią uśmiechniętej Kazi i wyszedł.

Mróż był tęgi, śnieg chrząścił pod nogami. W tak-sówce, do której wsiadł Drucki na roku Szpitalnej, zawarczał motor i szofer stracił dobre trzy minuty, zanim wóz ruszył.

W hotelu było, jak codzień o tej porze, jeszcze zupełnie cicho. Drucki wziął letnią kąpiel, wytarł się ostremi ręcznikami, aż się zaróżowiła skóra, wypił kieliszek konjaku, nastawił budzik na dwumastą i położył się do łóżka.

Zasnął natychmiast. Jego zdrowy organizm działał sprawnie na rozkaz i po pięciu godzinach pokrępiącego snu z równą łatwością gotów był do życia najbardziej intensywnego.

W ciągu godziny załatwił się z goleniem, myciem i garderobą i zadzwonił do Załkinda:

— Czy jest pan Załkind?

— A kto mówi? — zapytał kobiecy głos.

— Tu Winkler.

Odpowiedzią na to był wielki pisk w słuchawce.

— Cóż u licha — pomyślał Drucki.

— Kapitanie! Kapitanie! — wołał radosny głos kobiecy. — To ja! Luba! Dzień dobry, drogi kapitanie! Jakże się cieszę!

— Pani Luba?! Aha! To świetnie! Dziś pani przyjechała?

— Dziś, dziś rano, drogi kapitanie! Borys, Borys! Kapitan dzwoni! Co za szczęśliwy przyjazd, kapitanie, to dla mnie dobra wróżba: pierwszy telefon, jaki odebrałam to od pana! Właśnie od pana!... Popatrz, Borys, jakie szczęście! Myślałam, że z radości zwarzuję, jak tylko dowiedziałam się, że pan przyjechał do Polski!...

W słuchawce rozległ się głos Załkinda:

— Ona mi nie chce słuchawki oddać, co pan, kapitanie, wyprawiasz z moją rodzoną żoną!

— Niech pan zaraz przyjeżdża do nas, natychmiast niech pan przyjeżdża — krzyczała Luba.

— Teraz nie mogę, moi kochani, ale na szóstą, siódmą oczywiście przyjadę. Jakże zdrowie, pani Lubo? Pomogła Krynica?

— Ach, co tam zdrowie, żebym ja wiedziała, że kapitan jest w Warszawie, to więcej mnie pomogłoby niż Krynica. I pana widywałam i zdrowa byłabym i po czterdzieści pięć złotych dziennie nie płaciłabym za pesjonat i kurację. Ale pan mnie nie pozna, ja teraz to już stara baba, dzieciata baba, ja tak zbrzydłam od naszych amerykańskich czasów, że pan mnie nie pozna...

— Nieprawda — wtrącił się znowu głos Załkinda — nic nie zbrzydła, jeszcze wyładniała...

— Oj, co ty mówisz, Borys! Niech pan jego nie słucha, bo pan będzie myślał, że ja nie zeszeptniałam i jeszcze się rozczaruje. A pan jeszcze mego małego nie widział, mojej pociechy najśłodszej!...

Wreszcie Załkind zdobył słuchawkę i Drucki mógł mu powiedzieć, że kasa wczorajsza znowu podskoczyła, że interes idzie doskonale i że za miesiąc „Argentyna“ będzie napewno najpopularniejszym nocnym lokalem stolicy.

— Żeby pańskie słowa w złoto się zamieniły, kapitanie — odparł Żyd — a nawet nie potrzebują się zamieniać, bo co one innego, jak właśnie najczystsze złoto?

Spojrząwszy na zegarek, Drucki szybko pożegnał Załkinda i wybiegł na ulicę.

Kazał jechać na plac Unji Lubelskiej, skąd o trzy kroki było do Uniwersyteckiej Kliniki Psychiatrycznej.

— Czy zastałem pana profesora Brunickiego? — zapytał odźwiernego.

— Owszem. A pan prywatnie, czy względem...

— Prywatnie.

Odźwierny zawołał chłopca i Drucki dał mu swój bilet wizytowy.

Po chwili profesor sam wyszedł na korytarz.

— Proszę — powiedział krótko.

Podali sobie ręce.

— Przyszedłem, Karolu, oddać ci mój dług i podziękować za pożyczkę. Pozwolisz? Czy może jesteś zajęty?

— Proszę cię, siadaj.

Profesor przyjrzał się mu uważnie:

— Widzę, że prędko dałeś sobie radę w Warszawie. Powodzi się nieźle?

Drucki skinął głową:

— Dziękuję ci. Dobrze. Jestem współwłaścicielem „Argentyny“.

— Argentyny? Co to takiego? Firma?

Drucki roześmiał się:

— Człowieku! Gdzie ty mieszkasz? Przecie wszystkie pima pełne są ogłoszeń „Argentyny“, na ulicach mamy kilkanaście reklam świetlnych, tysiące plakatów!... „Argentyna“ to nocny lokal, bar, dancing...

— Aha! Nie wiedziałem. Nigdy nie bywam w restauracjach, a tembardziej w nocnych.

Drucki wzruszył ramionami:

— źle robisz.

— Jak to rozumiesz? — zapytał profesor.

— Poprostu. Wyglądasz na piekielnie wyczerpanego, zmęczonego, zdenerwowanego do ostatnich granic. Nie można przecie żyć samą pracą. Jako psychjatra wiesz najlepiej, że rozrywki są równie konieczne...

Brunicki machnął ręką:

— To nie dla mnie.

— Dlaczego?

— Nie bawią mnie te rzeczy.

— Rozumiem cię — rzekł po chwili — rozumiem raczej twoją niechęć, twój brak zainteresowania dla zabaw ludzi przeciętnych...

— Przeciętnie szczęśliwych — poprawił profesor i gorzki uśmiech wykrzywił mu usta.

— A jednak — upierał się Drucki — jednak stanowczo cię namawiam: spróbuj. Chyba nie wątpisz, że jestem dla ciebie więcej niż życzliwy?

Profesor Brunicki spuścił głowę:

— No... tak... tak myślę?

Tyle było męczarni w jego głosie i postaci, że Drucki uczył w piersiach niemal fizyczny ból:

— Karolu — zawołał — Karolu! Kochany przyjacielu! Och, żebym umiał wyrwać z ciebie to straszne cierpienie! Pół życia oddałbym za to!

Profesor chwycił go za rękę:

— Tak, tak i ja tak myślę — powiedział z błyskiem w oczach — i ja myślę, że powinienes mi pomóc!

— Gdybym umiał! Gdybym mógł!

— Możesz.

— Ja? — zdziwił się Drucki.

— Możesz, Bohdanie, możesz i powinienes mnie pomóc.

— Ale w jaki sposób?

Profesor zniżył głos:

— Jest tylko jedno lekarstwo na moją tragedję: odpowiedź, odpowiedź nauki, potwierdzająca odpowiedź. Dla zdobycia jej gotów jestem na wszystko... Rozumiesz? Na wszystko, nie wyłączając nawet... zbrodni!

— Jakto?

— Nie dam ci jeszcze teraz żadnych bliższych wyjaśnień. Chcę tylko wiedzieć, czy byłbyś gotów na ryzyko...

Drucki ze zdumieniem patrzył mu w oczy.

— No słowem, czy potrafiłbyś popełnić...

— Zbrodnię?

— Więc tak — wyszeptał profesor — zbrodnię. Drucki włożył ręce w kieszenie spodni i wstał. Na

jego czole nabrzmiały grube sznury żył. Brwi się ściągnęły.

— Milczysz? — zasyczał profesor — widzisz, milczysz, tak wygląda twoje „pół życia...“ Cha... cha... cha... Potrafisz wciąż ocierać się o kodeks karny, ale teraz...

— Dość! — przerwał Drucki — przestań. Masz moją rękę.

Profesor łapczywie uchwycił obu rękoma dłoń Druckiego.

— Słowo? — zapytał cicho.

— Słowo! Zatem mów.

— Jeszcze nie teraz — powiedział Brunicki — lecz wkrótce cię będę potrzebował. Nie pytaj o nic.

— Jak chcesz. Wiedz tylko, że nie cofnę się. Masz mnie do swojej dyspozycji.

Zadzwoił telefon.

— Hallo — odezwał się profesor.

—

— Aha, dziękuję panu...

—

— Nie, mnie to nie jest potrzebne. Ale niech pan zadzwoni do doktora... zaraz, mam tu gdzieś jego kartę wizytową... a, jest. Niech pan zadzwoni do doktora Władysława Czuchnowskiego. Telefon 187-27. Będzie panu wdzięczny.

—

— Nie, zresztą nie wiem. Niech pan poprosto powie, że otrzymaliśmy informacje, że ten... no, jakże Horn umarł.

—

— Dobrze. A jeżeli chce wiadomości bardziej szczegółowych, niech się sam do nich zwróci. Dowidzenia. Dziękuję panu, zaraz, zaraz, niech pan jeszcze wyjrzy przez okno, czy już jest mój samochód przed kliniką?... Jest? No to dziękuję panu. Dowidzenia.

Położył słuchawkę i przetarł czoło dłonią.

— Rzeczywiście, jestem bardzo wyczerpany. Mo-

że i masz rację, że trzeba mi jakichś nowych wrażeń.

Drucki wziął go pod rękę:

— Posłuchaj mnie, Karolu. Dobrze ci radzę. Przyjdź kiedy do mojej „Argentyny“.

— Wystraszę ci publiczność swoją mina — uśmiechnął się profesor.

— Niech cię to nie martwi.

— Może i wybiorę się kiedykolwiek.

— No, a teraz spieszysz do domu?

— Tak...

Zawahał się i nie patrząc na Druckiego zapytał:

— Możebyś zjadł ze mną obiad?

— Ależ z przyjemnością. Jeżeli nie zrobi ci to kłopotu, Karolu.

— Bynajmniej. Zatem chodźmy.

Drucki widział wewnętrzną rozterkę profesora i gwałt jaki ten musiał sobie zadać, by zdobyć się na to zaproszenie. Udawał jednak, że niczego nie spostrzega.

Przed kliniką stała wielka, czarna limuzyna.

— Cóż za wspaniały wóz! — zawołał Drucki i nagle wydało mu się, że już kiedyś to auto widział.

— Podoba ci się? Owszem... To mój najświeższy nabytek.

Szofer, tęgi drab w niedźwiedziem futrze wyskoczył i otworzył przed nimi drzwiczki. Profesor zwrócił się do niego:

— No, jakże motor?

— Jak dotychczas, proszę pana, pracuje doskonale, ale po trzech dniach trudno zmiarkować.

— Kupiłem okazjnie, używany ale jeszcze w bardzo dobrym stanie — powiedział Brunicki, sadowiąc się obok Bohdana — znasz tę markę?

— „Reenclar“?

— Tak, ośmiocylindrowy.

— Dobry wóz, ale kosztowny w eksploatacji — zaopiniował Drucki — mój znajomy, pewien brazylij-

ski plantator kawy, który zmieniał wozy, jak rękawiczki, był zdania, że „Reenclar“ jest wręcz bezkonkurencyjny.

Rzeczywiście auto pomimo bardzo silnego mrozu ruszyło z miejsca lekko i cicho i szło jak lalka.

W niespełna kwadrans byli na miejscu.

Willa profesora Brunickiego teraz, przy dniem świetle, zdała się jeszcze większa niż wówczas w nocy.

Gospodarz wyjął klucze (furtka widocznie nawet w ciągu dnia była zamykana) i po chwili znaleźli się w przedpokoju. Na ich widok z krzesła porwał się służący, ów brodacz o ponurej twarzy.

— Mamy gościa na obiedzie — odezwał się profesor — zadzwoni do pana doktora i możesz podawać.

Znaleźli się w obszernym hallu, znanym już Druckiemu z poprzedniej wzyty.

Wciąż te koty!

Niemal na każdym meblu było ich pełno. Czarne, bure, białe, angory, sjamskie, syberyjskie — wszystkie ogromne, leniwe, spasioe.

Brunicki przeprosił gościa i znikł za drzwiami osłoniętymi grubą kotarą.

Zaczynało się ściemniać. Drucki wziął do ręki książkę, leżącą na stole, zaledwie do połowy rozciętą i chciał ulokować się w fotelu przy oknie. W tym celu zamierzał spędzić zeń wielkiego, szarego kota. Zwierzę jednak ani się ruszyło i już miał je trzepnąć książką po łbie, gdy wrócił profesor:

— Chodźmy do jadalni — wskazał Druckiemu białe drzwi nalewo — co to, przeglądałeś tę pracę? Bardzo zajmująca, wprost rewelacyjna... Obserwacje Scheringa nad wpływem hormonów zwierzęcych na rozwój roślin.

Z hallu przechodziło się przez gabinet, utrzymany w stylu gotyckim, bibliotekę, od wysokiego sufitu, aż do podłogi pokrytą półkami, pełnemi książek i wchodziło się do małej białej jadalni.

W środku okrągły stół z trzema nakryciami, pod ścianą miski kredens i kilka krzeseł.

— Daruj Karolu — odezwał się Drucki — ale dalebóg nie mam pojęcia o tych rzeczach. No, wiem, że hormony, to jest wydzielina gruczołów... Hm, wyobrażam to sobie jako... witaminy organizmu ludzkiego, czy zwierzęcego...

Drzwi naprzeciw uchyliły się cicho i wszedł doktor Kunoki.

Uprzejmie przywitał się z Druckim:

— Jakie skutki mojej operacji?—zapytał swoim melodyjnym głosem — zagoiła się prawidłowo?

— Dziękuję, panie doktorze, zagoiło się doskonale.

Brodacz zjawił się z tacą. Przed Brunickim i gościem postawił miedziane rondelki z jakimś zapiekanem mięsem, przed Japończykiem kilka małych salatek z jarzynami.

— Pan jest jarozsem, doktorze? — zainteresował się Drucki.

Dr. Kunoki uśmiechnął się:

— Zadużo miałem do czynienia z mięsem, bym je lubił jadać.

— Właśnie — chrząknął profesor — mówiliśmy z panem... Winklerem o hormonach z powodu obserwacji Scheringa.

— Ach, więc pan się tem zajmuje? — zainteresował się dr. Kunoki.

— Niestety, doktorze, jestem kompletnym laikiem, kieruję się w tych kwestjach, jak w lesie, wyłącznie intuicją.

— Nie umniejszaj roli intuicji — odezwał się profesor — odgrywa ona w nauce olbrzymią i twórczą, najbardziej twórczą rolę.

— Wie doktor — zwrócił się do Japończyka — że pan Winkler przed chwilą powiedział, iż wyobraża sobie witaminy, jako hormony roślinne. Ciekawe, co?

— Nie maltretujcie mnie panowie — roześmiał się Drucki — odrobinę łaski dla profana!

Doktor Kunoki podniósł oczy na sufit i wycierając końce palców o serwetkę powiedział:

— Profany?! Jakże wiele zawdzięczałaby im mądrość oficjalnej nauki, gdyby zdobyła się na rozsądek!

— To brzmi jak paradoks w ustach uczonego — zauważył Drucki.

— Nie panie — pokiwał głową dr. Kunoki — mówię poważnie. Oficjalna nauka przez całe wieki zamykała sobie pogardą dostęp do wielkich prawd, tkwiących często w najciemniejszych napozór zabobonach różnych ludów.

— Chyba pan doktor nie chce powiedzieć — zdziwił się gość — że teraz nauka „nawraca się“ na te zabobony?

— Nie nawraca się — powiedział profesor — lecz częstokroć spostrzeża ich słuszność. Nie zmienia to faktu, że niektóre są wręcz absurdalne.

— Mądry Wolter — odezwał się doktor, nakładając sobie małą porcyjkę brukselki — podrwiwał z murzynów, którzy zjadają surową wątrobę zabitego lwa, sądząc, że w ten sposób podnoszą swoją odwagę. Tymczasem okazuje się, że wątroba produkuje niezwykle czynny hormon, który powoduje niezmiernie szybki wzrost czerwonych ciałek krwi.

— A czy to wpływa na zwiększenie odwagi? — zapytał Drucki.

— Pośrednio tak. W medycynie już dziś hormon wątroby skutecznie zwalcza najostrejszą anemię.

— Zdumiewające! W jakim sposobie dzicy na to wpadli.

Profesor podniósł brwi, a doktor rozłożył ręce:

— To już dziedzina intuicji, przypadku lub też czynników w połączeniu z doświadczeniem wielu setek pokoleń.

Brodacz podał zupę.

— Takich zabobonów jest więcej — ciągnął Japończyk — naprzykład czarownicy niektórych plemion słowiańskich i fińskich leczyli liszaje i brodawki tak zwanymi „zamawianiami“, a dziś sugestja jest w tych wypadkach powszechnie stosowana przez lekarzy i z równym skutkiem. Na południu Rosji chłopci, a w Pałagonji Indjanie leczą różne dolegliwości, dając chorym surowe nerki, lub śledzionę bydłącą, czyli organy, zawierające swoiste hormony, używane już teraz przez oficjalne lecznictwo.

— Fenomenalne! — zdumiewał się Drucki.

— Mój drogi — dodał profesor — a czyż nie słyszałeś naprzykład, że i nasz lud od wieków za najwłaśniejszy środek na osłabienie uważa srom zajęczy, lub bobrowy?

— Owszem, nieraz obijało mi się o uszy, że wiejscy znachorzy skupują to od klusowników.

— Otóż środek ten jest prymitywem szczepień stosowanych przez Woronowa, który okólną drogą doszedł do starej prawdy, uważanej za przesadę. Jak tu, tak i tam chodzi o wprowadzenie do organizmu hormonów, wydzielanych przez gruczoły seksualne.

— Zatem — zawyrokował Drucki — nauka powinna poświęcić więcej uwagi przesądom ludowym i zbadać ich wartość.

Profesor Brunicki uśmiechnął się blado i spojrział znacząco na doktora.

Druckiego nagle uderzyła myśl

— A zapatrzenie?

Już chciał to powtórzyć głośno, gdy wstrzymało go niejasne uczucie, że należy przemilczeć.

— Są jednak, jak słusznie powiedział profesor — odezwał się dr. Kumoki — zabobony wręcz niedorzeczne. Takie nawet, które zalecają środki wręcz przeciwnie działające, niż się pragnie. Naprzykład w wiekach średnich w Lombardji znachorki wymyśliły napój miłosny, którego recepta rozpowszechniła się wkrótce w całej Europie, a nawet zawleczone została do Amery-

ki. Kobieta dając ten eliksir do wypicia młodzieńcowi, rzekomo miała w nim wzbudzić gorącą miłość.

— Jakież zioła?...

— Nie. Napój składał się z wody źródlanej, czerpanej z różnemi, oczywiście, zakłęciami i z krwi menorrhagii.

— Tam do djabła! — zaklął Drucki — tem chyba można na tamten świat wyprawić!

— Nie — zaprzeczył Japończyk — ale spowodować pewne zaburzenia można. Godne zaś uwagi jest to, że krew ta właśnie zawiera w sobie ogromne ilości hormonu zwanego follikuliną. Otóż hormon ten aczkolwiek u kobiety wywołuje kwałtowny popęd seksualny, na mężczyznę działa wręcz odwrotnie. Powoduje mianowicie zanik gruczołów rozrodczych, a nawet występowanie drugorzędnych cech płciowych kobiecych.

— Oczywiście — dodał profesor Brunicki — tylko przy zastrzykach follikuliny osobnikom męskim dają się skonstatować te objawy. Czy podana z pokarmem follikulina działa równie silnie, dotychczas nie stwierdzono.

— Tak — kiwnął głową doktor Kunoki — ale follikulina nie podlega działaniu zasad i kwasów, zatem możemy przypuszczać, że w żołądku, ani w jelitach się nie rozkłada. Co więcej, należąc do grupy wyższych alkoholi, zostaje szybko wessana do krwi.

— No dobrze — roześmiał się Drucki — zatem stosując ten hormon można bez operacji produkować eunuchów?

— Tak.

— Fenomenalne!

— Doświadczenia wykazały, że u niektórych gatunków zwierząt, jak naprzykład u kogutów już po tygodniowym stosowaniu follikuliny zaczyna zanikać grzebień, odpowiednie organy, zdolność piania, a rodzą się natomiast instynkty kurze, jak chęć wysiadywania jaj.

— A u ludzi? — zapytał Drucki.

Japończyk spojrział na profesora i wzruszył ramionami.

— Na ludziach nie wolno dokonywać doświadczeń... Prawo zabrania.

— Jednakże...

— No tak, niektórzy lekarze próbują pocichu w swoich klinikach i szpitalach mniej niebezpiecznych dla zdrowia pacjenta eksperymentów, lecz zawsze ryzykują, że znajdują się za kratkami.

Profesor Brunicki oparł głowę na rękę i powiedział:

— Ludzie żądają od medycyny cudów, a swojemi mądrymi ustawodawstwami uniemożliwiają jej studia nad organizmem człowieka. Nie tak dawno przecie doktor Francksham został skazany na dziesięć lat więzienia za to, że w swojej klinice w Melburnie, mając pacjenta dzikiego krajowca, w dodatku bandytę, ośmielił się robić na nim doświadczenia naukowe...

Doktor Kunoki zaśmiał się ironicznie i dodał:

— I to doświadczenia niezwykłej doniosłości!

— Skoro zagrażały życiu pacjenta... — odezwał się Drucki.

— Pacjenta? Pacjent został starannie wyleczony z krzywd, jakie mu zrobił zbrodniczy lekarz, potem stanął przed sądem za bandytyzm i w trzy dni go powieszono. Zresztą, nie tylko człowieka tknąć nie wolno. Raz po raz jakieś idjotyczne stowarzyszenia podnoszą gwałt w obronie szczurów, królików i świnek morskich. Głupota jest wieczna.

— W obu narodach, do których należę — z niezmiennym uśmiechem mówił dr. Kunoki — tak w japońskim, jak i polskim, tradycja bohaterstwa każe poświęcać często życie tysięcy żołnierzy dla dobra ojczyzny. Ale gdy chodzi o dobro całej ludzkości, o zdrowie i życie wielu pokoleń nie wolno nauce zażądać od kilku czy kilkunastu zaledwie jednostek bohaterstwa, poddania się doświadczeniom. W innych krajach jest zresztą to samo...

Drucki potrzęsnał głową:

— Niezwykle skomplikowane zagadnienie. Nie podjąłbym się rozstrzygnięcia w tę czy inną stronę.

Kawę pili w bibliotece, gdzie było o tyle przyjemniej, niż w hallu, że kotów tu widocznie nie wpuszczano. Rozmowa toczyła się dalej około kwestyj naukowych.

Zbliżała się już szósta, gdy Drucki wstał:

— Zanudzałem panów swoją ciekawością ignorantów. Darujcie, ale to jest piekielnie ciekawe.

— Miło nam będzie, jeżeli pan zechce częściej nas odwiedzić — zaczął Japończyk, podając gościowi rękę na pożegnanie.

Nie dokończył jednak. Gdzieś, w jednym z dalszych pokoiów rozległ się cichy dzwonek. Doktor szybko spojrział na zegarek i syknął.

Profesor zbladł, powiedział coś po łacinie i wzięwszy Bohdana pod rękę odezwał się:

— No, doktor jest zajęty, nie przeszkadzajmy mu. Czy pozwolisz, że cię odprowadzę kawałek?

— Ale proszę cię, Karolu.

Pożegnali się na najbliższym postoju taksówek i Drucki pojechał na Nowolipie.

Mieszkanie Załkinda wyglądało dziś, jak kwaciarnia, ogromne kosze chryzantem, wielkie pęki purpurowych róż, wspaniałe orchideje, istne krzaki białego bzu — i stojąca nieruchomo w środku salonu Luba, wiotka, piękna, egzotyczna, pachnąca...

Szedł ku niej i widział tylko jej wpółotwarte oczy i lekko drgające usta z czarnym meszkiem na górnej wardze...

Leniwie wyciągnęła do niego obie ręce i nic nie powiedziała.

— Luba! Jakaż pani jest cudna — wybuchnął — to jest nieludzkie być aż tak śliczną! Widzę, że cała Warszawa ogolociła się z kwiatów dla pani, ale niema tak pięknych na świecie, jakie ja pragnąłbym pani dać!

Teraz dopiero zdobyła się na uśmiech:

— Kapitanie...

Jej głos drgał wzruszeniem.

— Kapitanie... Jakże mi dobrze, że widzę panz i że... pan mnie widzi... Kwiaty, to od Borysa, zawsze mnie tak psuje na powitanie...

Teraz dopiero Drucki zauważył Załkinda, siedzącego w fotelu i wpatzonego w żonę, jak w słońce.

Mocno podał mu rękę, mówiąc:

— Jack! Słuchaj pan! Nigdy nie zostawiaj mnie sam na sam z twoją kobietą!

Borys roześmiał się wesoło:

— Nie boję się, kapitanie, nie nastraszy mnie pan sobą.

— Do djabła, czyż jestem takim starym koniem!?

— Starym... przyjacielem — podchwycił Załkind.

— Ależ ona wypiękniała! Pani Luba! To tak ma wyglądać poważna matka dzieciom? — wołał żartobliwie — nie, stanowczo Jack za bardzo mi ufa!

— Za bardzo i mnie — roześmiała się Luba.

— No, no! Moi państwo! — protestował z oburzoną miną mąż.

— A gdzież wasz następcę tronu?

— Już śpi — rozczuliła się Luba — bardzo zmęczony był, biedactwo, ale muszę go kapitanowi pokazać, chodźmy, tylko na palcach.

Wzięła Druckiego za rękę i wszyscy troje przeszli do dzieciennego pokoju. W białym łóżeczku spał snem sprawiedliwego szczupły czarny, jak smoła, chłopak.

— Ładny? — zapytała matka.

— Bardzo — potwierdził Drucki.

— A podobny i do mnie i do Luby, prawda? — odezwał się Załkind.

Bohdan chciał się przyjrzeć lepiej, więc Luba zapaliła jeszcze jedną lampę.

— Tak czoło, włosy i nosek ma po matce, a usta

I owal twarzy po ojcu — zaopinjował — uderzające podobieństwo.

— A z usposobienia — zachwycał się Załkind, — to jestem wykapany ja. Aż czasem śmiech bierze.

Pod działaniem zbyt blisko trzymanej lampy, długie rzęsy drgnęły i chłopak nagle otworzył oczy.

Były to ogromne niebieskie oczy o fenomenalnych ciemno-złoty^{ch} źrenicach.

— Śpij, maleńki, śpij — pogłaskał go ojciec i zgasił lampę — idźcie, moi drodzy, on zaraz zaśnie, skarb mój najdroższy.

Drucki przetarł czoło i szedł za Lubą, jak nieprzytomny. W głowie wirowały mu myśli.

Gdy znaleźli się w salonie uważnie spojrział na Lubę. Błady uśmiech otaczał jej usta.

— Pani Lubo... co to znaczy, co to może znaczyć?

Położyła mu obie dłonie na piersiach i powiedziała szeptem:

— Ma twoje oczy, kapitanie, ma najpiękniejsze oczy na świecie.

— Boże drogi!

— Czy żałujesz ich jemu, kapitanie?...

— Ale jak? Jakim cudem? Czyżby jakieś przekleństwo wisało nademną! Skąd to wasze dziecko ma te oczy!?

Luba złożyła ręce:

— Ze mnie, ze mnie, John...

— Ależ to jakieś czary!

— Czary — skinęła głową — pocóż rzuciłeś, kapitanie, czary na mnie, wówczas na pokładzie, kiedy drżałam, jak liść, gdy twoje ręce ścisnęły aż do straszego bólu przeguby moich...

— Szaleństwo!

— Rzuciłeś czary — mówiła coraz prędzej — potężne czary, kapitanie, wypilam wówczas twoje oczy, twoje najdziwniejsze, najpiękniejsze oczy... Tak, kapitanie, błagałam cię wówczas o ciebie całego...

— Cicho! — syknął Drucki

— Borys wie...

— Jakto wie? Czy spostrzegł to podobieństwo?

— Nie. Ale wie, że wówczas kochałam ciebie, kapitanie.

Drucki przygryzł wargę.

— Nie wiedziałam wtedy, że już noszę pod sercem syna Borysa i że dam mu twoje oczy, kapitanie.

— Ale jak? Jak!? Jakim sposobem!?

— Ludzie prości powiedzieliby, że „zapatrzyłam się“ na te oczy.

— Więc ty w to wierzysz? Wierzysz! Boże! Co za szczęście! — zawołał nagle — mam teraz niezbitą dowód dla Karola! Luba! Wiwat!

Stała zdumiona, nie rozumiejąc powodu jego radości. Z sąsiedniego pokoju rozległy się kroki Borysa.

— Cicho, Luba, kiedyś to pani wytłumaczę. No, co — zwrócił się do wchodzącego Załkinda — syn śpi?

— Śpi, moja pociecha, Luba, a może byś tak nam dała co do przegryzienia?

Drucki był w świetnym humorze. Popijając herbatę opowiadał im, jak idzie „Argentyna“, jak stale powiększa się frekwencja i kasa i jak jest zadowolony, że interes stał się złotem jabłkiem.

— Naprawdę moglibyście przyjść kiedy, ręczę, że zabawicie się wesoło — mamawiał.

— Nie, kapitanie, — potrząsnął głową Borys — ja nie lubię obnosić po lokalach swego kalectwa. Ale, jeżeli pan chce zabrać Lubę, to i owszem. Niech się rozerwie.

Drucki zrobił gest oburzenia:

— To już skandal! Człowieku, znęcasz się nademną! Jak można wymyślać tak wyrafinowane tortury. To tak, jakbyś pan pijakowi dał butelkę najlepszego koniaku i powiedział: „Wiem, że mi go nie wypijesz, ale możesz go nosić w kieszeni!“

Śmieli się wszyscy, później Luba opowiadała, jakie miała powodzenie w Rabce, a następnie w Krynicy, wreszcie Drucki wstał:

— No, czas mi do pracy! Jadę.

Nie zatrzymywali go, wiedząc, że kapitan Winkler tego nie lubi.

— Dziś nie pojedę z panem — powiedziała na pożegnanie Luba, — ale innym razem nie uda się kapitanowi mnie tak łatwo pozbyć.

— To trudno! Już jakoś przecierpię.

Wybiegł na ulicę i znowu z całą wyrazistością uprzytomnił sobie, że nareszcie zdobył możność udowodnienia Brunickiemu, że Piotr słusznie nosi nazwisko Brunickich!

Zatrzymał się i zdjawszy kapelusz z głowy podrzucił go w górę:

— Hurra! — krzyknął. — Hurra!

Przechodnie czempredzej schodzili mu z drogi.

— Hurra!...

Na rogu stała taksówka. Drucki ostatni raz podrzucił kapelusz i wpakowawszy go zawadjacko na bakier, zapytał szofera:

— Wolny?...

Szofer spojrzął nań nieufnie i odwrócił głowę:

— Wolny, ale motor zepsuty — odezwał się po chwili wahania.

— Bierzesz mnie pan za warjata? Nie bój się pan! Już mi lepiej! A tu oliwa do motoru — wyjął kilka drobnych banknotów i wetknął w rękę taksia-rzowi.

— Jazda, panie gazda! Dobry dziś mam dzień.

Usiadł i zatrzasnął drzwiczki.

— Do „Argentyny“ Hortensja.

Samochód ruszył.

ROZDZIAŁ 6.

Sala Sądu Okręgowego pełna była po brzegi. Publiczność szczerlnie zajęła ławki, przy stole prasy brakło miejsca i niektórzy sprawozdawcy stojąc robili notatki.

Za stołem sędziowskim ustawiono dużo krzeseł zajętych teraz przez wielu sędziów, nie biorących udziału w rozprawie, członków prokuratury, wyższych urzędników z Ministerstwa Sprawiedliwości i wybitnych prawników.

Dziś z miejsca oskarżyciela publicznego po raz pierwszy przemawiać miała kobieta — podprokurator Alicja Horn.

Sensacja ta była spotęgowana samym faktem, że sprawa Zygmunta Orczyńskiego po trzech dniach rozprawy przedstawiała się również zagadkowo, jak i w samym początku śledztwa. Przewód sądowy nie zdołał ustalić ani winy oskarżonego, ani jego niewinności i wyrok równie dobrze mógł opiewać na długoterminowe, może nawet dożywotnie więzienie, jak i uwolnić od kary tego przystojnego o tragicznym wyrazie twarzy młodego człowieka.

Przewodniczący rozprawie prezes Turczyński odezwał się krótko:

— Głos ma pan prokurator.

Alicja Horn wstała. Salę zaległa zupełna cisza. Ogarnęła wzrokiem gęsto stłoczone głowy, setki par oczu wpatrzonych w nią, rozciekawionych, chciwych, natrętnych.

Nie miała jednak tremy.

Gdy odezwała się, głos jej zabrzmiał czysto i metalicznie:

— Wysoki Sądzie! Jeden z panów obrońców nie bez słuszności zaznaczył, że brak w tej sprawie jakichkolwiek dowodów winy oskarżonego Orczyńskiego. Istotnie nie mamy dowodów materialnych, nie mamy też naocznych świadków zbrodni. Jedynym dowodem jest psychika oskarżonego, jedynym świadkiem strasznego czynu jest on sam. Świadek ten odmawia nam zeznań, któreby były dostatecznie wiarygodne. Musimy zatem wydobyć je wbrew jego woli.

— Przewód sądowy dał nam możliwość poznania tego człowieka. Wiemy, że w życiu był zawsze zimny.

wyrachowany, że głównym motorem jego działań był pieniąż. I nagle przed czterema miesiącami zmienia się nie do poznania.

Dlaczego?... Dlaczego spotkawszy na swej drodze naiwną, ubogą dziewczynę, dziewczynę, nie odznaczającą się ani urodą ani inteligencją, oświadcza się jej i robi wszystko, by ślub przyśpieszyć? Nie z miłości przecie, bo wiemy, że ani na chwilę nie zerwał z kochanką. Nie z miłości, bo sam w dniu ślubu kpi z „sentymentalnego osła Borkiewicza“ w rozmowie z Puzzkowskim. Nie z miłości, bo matka zamordowanej miała przecie jej list pełen rozpacz, list, który w niewykryty sposób zaginał właśnie, po wizycie Orczyńskiego w domu teściowej.

— Oczywiście mógł nie wiedzieć o miljonowym spadku amerykańskim, lecz tylko mógł! A to jeszcze nie znaczy, że nie wiedział! Pocóż upierał się przy sporządzeniu interczy ślubnej? Jeżeli chodziło mu o zabezpieczenie żony na wypadek własnej śmierci, wystarczyłoby zwykły testament. Lecz Orczyński, człowiek zamożny, żąda interczy, która gwarantowała mu dziedziczenie majątku żony, nie posiadającej jeszcze wówczas nic poza drobną hipoteką i skromniutką biżuterją. Oskarżony Orczyński nie należy do ludzi, którzy nie wiedzą co i poco robią.

— Wysoki Sądzie! Niepodobna sobie wytłomaczyć też pobudek, dla jakich ten człowiek, nienawidzący manifestowania czułości, człowiek nie utrzymujący życia towarzyskiego, nagle po ślubie zaczął demonstracyjnie obnosić się ze swemi uczuciami do żony, składać wraz z nią wizyty u najdalszych znajomych i obsypywać żonę, niekochaną żonę, podarkami, podczas gdy nawet dla kochanki zdobywał się tylko na jeden prezent w roku!

— W aktach sprawy znajduje się list oskarżonego do dyrektora firmy, której był prokurentem. W liście tym Orczyński, usprawiedliwiając się z tego, że tak długo załatwia umowę na dostawy, pisze:

„...nie umiem nic robić na aby zbyć. Mój system polega na dokładnem zbadaniu terenu, poznaniu ludzi, ustawieniu figurek na szachownicy, na drobiazgowem opracowaniu planu i na wyczekaniu najodpowiedniejszego momentu. Wówczas dopiero działam. Dzięki temu nawet w drobnych tranzakcjach zawsze wygrywam, a tu przecie chodzi o przeszło trzysta tysięcy. Gruby kusz, wart miesiąca solidnej roboty“.

— Wysoki Sądzie, tutaj kusz wynosi półtora miliona złotych i wart był czterech miesięcy solidnej roboty!...

Przez ławy publiczności przeszedł głośny szmer. Adwokaci pochylili do siebie głowy i coś szeptali.

Podprokurator Alicja Horn zrobiła pauzę i zaczęła znowu.

— A robota to była precezyjna. Oskarżony zmienił mieszkanie nie dla własnej profesji, lecz za radą lekarza. Opowiadał wszystkim, że lekarz stanowczo radził jego żonie przenieść się na przedmieście, gdzie jej wątle płuca nie będą narażone na wchłanianie takiej ilości kurzu. Prawda. Doktor Baranowski potwierdził przed sądem tę swoją radę, lecz stanowczo utrzymywał, że nie było potrzeby wynoszenia się na przedmieście i że tylko na pytanie Orczyńskiego powiedział: — owszem, radziłbym, jeżeli to państwu różnicy nie zrobi.

— I oto oskarżony Orczyński, mieznoszący jazdy tramwajami, a żałujący sobie na taksówki, sprzedaje swoje mieszkanie na Senatorskiej i kupuje inne aż na Wierzbnie. On, nie cierpiący chodzenia po schodach, dla niekochanej żony, dla drobnego niedomagania jej płuc decyduje się na mieszkanie aż na piątym piętrze! Kiedy właściciel kamienicy proponuje mu także mieszkanie na drugim, Orczyński upiera się przy piątym. Czystsze powietrze — powiada. Zamieszkuje w niewykończonym domu, naraża się na wiele, bardzo wiele niewygód. Zapytuję, cóż go tam pociąga?...

Zniżyła głos i skandując każde słowo, odpowiedziała na swoje pytanie:

— Pociąga go czarna przepaść windy... Pociągają go otwarte, niczem nie osłonięte paszcze framug wiodących do pustej czterdziestometrowej studni, zakończonej betonowym dnem! Jeżeli ktoś znajdzie się na progu czarnego otworu na piątym piętrze, wystarczy lekko go pchnąć! Niema dlań ratunku! Napelni czarną studnię rozpaczliwym krzykiem i runie wdół, a na twardym dnie betonu legnie krwawą miazgą!

— Oskarżony słyszał ten krzyk, oskarżony widział tę miazgę już wtedy, gdy klęczał na stopniach ołtarza!

Podniosła rękę do góry i zawołała przejmującym głosem:

— Wśluchiwał się w jej głos, przysięgający mu miłości i głos ten zmieniał się w jego uszach w krzyk śmierci, patrzył na biel ślubnej sukni i widział krew! Człowieku! Tyś już wtedy był mordercą!...

Salę zalegała śmiertelna cisza.

Oskarżony zerwał się z ławy, na twarzy białej jak papier wystąpiły krople potu. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, wyciągnął ręce, zatoczył się i upadł na ziemię...

Zemdlał.

Gdzieś z kąta rozległ się spazmatyczny śmiech, Ktoś krzyknął: — Boże!... Kilka osób zbliżyło się do zemdłego, skropiono mu twarz wodą.

— Zarządzam przerwę piętnastominutową — zabrzmiał drżący głos przewodniczącego.

Sąd wyszedł. Sala opustoszała. Oskarżonego wyniesiono do pokoju dla podsądnych, dokąd też zaraz udali się adwokaci.

Pozostała tylko Alicja Horn. Coś notowała na wąskim pasku papieru. Mechanicznie wstała, gdy ostro zabrzmiał dzwonek.

Sędziowie zajęli swoje miejsca, wprowadzono oskarżonego. Wciąż był blady, lecz z twarzy jego

znikła już maska bólu. Usta zaciśnięte były ironicznym uśmiechem.

— Wysoki Sądzie! — zabrzmiał znów metaliczny głos podprokuratora Alicji Horn — przewód sądowy wykazał, że oskarżony Orczyński wprawdzie nigdy nie był karany, lecz zamieszany był wielokroć w sprawy wręcz brudne. Nadto szereg małych i nikczemnych podłostek, z których zawsze umiał się wykreścić, ukazuje nam jego spryt, precyzyjny chłód, spryt o zawsze rozległej maszynerji.

Mówiła dalej o zeznaniach świadków, o protokule wizji lokalnej, o sposobie reagowania oskarżonego w różnych wypadkach i w danym.

Głos jej napelniał metalicznym drganiem salę. Wszystkie oczy przyłgnęły wzrokiem do jej pięknych, nieprawdopodobnie bogatych rysunkiem ust, z których padały słowa bezlitosne, ciężkie, zabójcze.

Ci, którzy poto przyszli na rozprawę, by przyrzec się tej kobiecie, podobno niezwykle pięknej, widzieli teraz przed sobą jakąś groźną i daleką boginię.

Czuchnowski, zaszyty w kącie, dosłownie drżał całym ciałem. Napelniło mu pierś jakieś przerażenie, jakiś lęk, jakby chęć ucieczki od nowego wizerunku tej, którą tak kochał. Kurczył się za każdym razem, gdy głowa Alicji odwracała się ku sali i kiedy przesuwwały się po ławach publiczności płomienne, czarne oczy.

Zachwyt i strach zawarły się w mózgu Czuchnowskiego w niedający się rozerwać węzeł.

Tymczasem Alicja kończyła swą mowę krótkim wywodem prawniczym, żądała zastosowania paragrafu 455-go kodeksu karnego, a wobec niezwykle obciążających okoliczności uwzględnienia artykułu 15-go przepisów przechodnich.

Czuchnowski odetchnął, gdy usiadła.

Zaczęły się mowy obrońców.

Jeden z sąsiadów Czuchnowskiego zwrócił się doń szeptem:

— Przepraszam pana, ale czy pan nie wie, jaką karę przewidują te paragrafy?

— Nie wiem — odparł doktor.

Pochylił się ku nim jakiś pan w średnim wieku:

— Paragraf 455 za morderstwo żony przewiduje od dziesięciu do piętnastu lat ciężkiego więzienia — objaśnił — a piętnastka z przepisów przechodnich to podwyższenie kary aż na dożywocie, albo nawet na tamten świat!

Jakaś pani informowała sąsiadkę, że wie od policjanta, że oskarżony, jak go ocucili z omdlenia wcale nie chciał z nikim gadać, nawet do swoich adwokatów nie odezwał się słowem.

Czuchnowski przecisnął się i wyszedł na korytarz zapalić papierosa. Gdy wrócił na salę, mówił już drugi adwokat. Później krótko replikowała Alicja.

Z kolei oskarżonemu przysługiwało prawo ostatniego słowa.

Wstał zimny, spokojny, opanowany, podniósł głowę i powiedział cicho i dobitnie:

— Przyznaję się do popełnienia morderstwa na osobie mojej żony Felicji. Proszę o karę śmierci.

Zapanowało głuche milczenie. Niespodziewane przyznanie się winowajcy zrobiło wstrząsające wrażenie, które odbiło się na wszystkich twarzach.

Tylko podprokurator Alicja Horn siedziała nieruchomo. Nie była zaskoczona: jedyny świadek zbrodni musiał przemówić i przemówił.

Sąd udał się na naradę. Oskarżonego wyprowadzono. Salę napełnił gwar rozmów.

Jeden z obrońców zbliżył się do Alicji:

— Niebezpiecznym jest pani przeciwnikiem. Pani mowa była imponująca. Bałbym się dostać do rąk pani.

Uśmiechnęła się doń niemal zalotnie:

— Czyż moje ręce są tak okropne?

Adwokat spojrział na jej długą rasową rękę o

subtelnych, lekko zaróżowionych palcach i potrzęsając głową:

— Pani wie, że są piękne. Zapięknę jak na prokuratora.

— A jednak boi się ich mecenas?...

Zajrzał jej w oczy i westchnął:

— Boję się. Robią na mnie takie wrażenie, jak wzrok węża na...

Szukał porównania.

— Na gazellę? — odpowiedziała.

Machnął ręką:

— Gdzież tam, poprostu na starego muła.

Alicji skłonił się woźny i zameldował, że pan prokurator Martynowicz prosi do siebie.

Na korytarzu ujrzała w tłumie doktora Czuchnowskiego. Był skulony i blady. Niedostrzegalnie wzruszyła ramionami i udała, że go nie widzi.

Czuchnowski spostrzegł ją, gdy już znikwała za drzwiami. Spojrzał na zegarek i mruknął:

— Z Łęczyckim to tak zawsze. Umówi się i nie przychodzi.

Mylił się jednak, bo mecenas Łęczycki z grubą teką przepychał właśnie swój równie gruby tułów wśród publiczności, szukając doktora.

Okazało się, że bronił właśnie w Apelacyjnym i sprawa przeciągnęła się dłużej niż przypuszczał:

— Ale nie żałuję tego, bo wygrałem gruuby proces. Kapnie mi z tego paręnaście tysięcy. No, cóż jesteś taki przybity, Władku? Czyżby twoja naręczona zblamowała się?

Czuchnowski nie odpowiedział.

— No, nie martw się, stary — pocieszał go Łęczycki — o ile wiem z gazet i od kolegów sprawa tego Orczyńskiego była jasna: żadnych dowodów, uniewinnienie murowane. Ale to nic. I tak musimy dziś oblać debiut pani Alicji, no i moją wygraną. Kiedy wyrok?

— Nie wiem. Ma być wkrótce.

Istotnie nie upłynęło wiele czasu a dzwonek za-
wiadomił wszystkich, że sąd wchodzi.

Sala zapełniła się znowu po brzegi.

Wśród zupełnej ciszy przewodniczący odczytał
wyrok: — dożywotnie ciężkie więzienie.

Oskarżony nie drgnął nawet.

Wychodząca publiczność napełniła kurytarze
gwarem głośnych dyskusyj.

Przyjaciele czekali na Alicję — tak, jak było
umówione — na dole w sieni.

Łęczycki wypytywał o szczegóły rozprawy, do-
któr niechętnie opowiadał. Zdumienie adwokata nie
miało granic.

— Żebym wiedział, psiakość — klął z zacięciem
— tobym postarał się o przesunięcie mego terminu.
Coś niesłychanego! Żeby taki cyniczny numer zem-
dlał! Psiakość! W jej przemówieniu musiało być, do
djaska, wiele ekspresji, hm sugestywności...

— I okrucieństwa — cicho dodał Czuchnowski.

— Ach, ty sentymentalny staruszk, — roze-
śmiał się mecenas — przecież to był zbrodniarz!

— Tak, bez kwestji.

— I stało się zadość sprawiedliwości! Z tego, co
mówisz, miarkuję, że gdyby nie mowa pani Alicji,
wypuszczonoby łotra na wolność.

— Ja nic nie mówię — bronił się Czuchnowski—
ja sam nie wiem właściwie... Ale mnie w tem wszy-
stkiem coś poprostu przeraża.

— Furda, chłopie!...

— Ja rozumiem... ale...

— Mój drogi Władku, jakże ty możesz być leka-
rzem?! A jak trzeba pacjentowi nogę uciąć, to co?
Albo, dajmy na to...

Nie dokończył.

Po schodach szybkim elastycznym krokiem scho-
dziła Alicja.

— Jestem głodna — powiedziała wesóło, witając

się z nimi — zabieram was do siebie na obiad, a właściwie na kolację. No chodźcie.

Wyszli na ulicę.

— Winszuję pani — mówił mecenas — sukces niezwykły, jak na debiut. Co mówię, niezwykły! Tryumf, zwycięstwo na całej linii! Serdecznie winszuję.

— Straszne jednak to — ze smutkiem westchnął doktor Czuchnowski — że człowiek do końca życia będzie gnił w więzieniu.

— Zwarzowałaś?! — spojrzał nań z irytacją mecenas Łęczycki.

— Władek, mecenasie, — lekceważącym tonem powiedziała Alicja — powinien zostać franciszkaninem.

— Po pierwsze — irytował się Łęczycki — nie będzie do śmierci gnił w więzieniu, bo przychodzą wciąż różne amnestje, przychodzą redukcje kary za przyzwoite odsiadki ciupy i t. d. Więc posiedzi jakieś dziesięć lat i już. A po drugie, mój drogi, cóż do ciężkiego pioruna! Szuja ostatniego gatunku, padalec, ohydny zbrodniarz!... Gdyby go na pal wbito, jeszcze nie byłoby dla niego dość. Sam zresztą prosił o karę śmierci.

— Ale przecież przyznał się — oponował Czuchnowski.

— Tak, przyznał się, lecz tylko dzięki pani Alicji. Gdyby go nie zdemaskowała, pewno zostałby wogóle uwolniony.

— Nie przeczę. Lecz to właśnie mnie przybija, że dzięki Alicji.

Alicja wybuchnęła śmiechem, Łęczycki zaś zatrzymał się na środku chodnika i rozłożył bezradnie ręce.

— Panowie — powiedziała Alicja ze złośliwym błyskiem oczu — dla uczczenia mojej pierwszej wiktorki mam zamiar spędzić dziś wieczór wesoło.

— Bravo! — zawzięcie przytaknął Łęczycki —

brawo pani Alicjo. Tem lepsza zdarza się racja biby, że i ja dziś właśnie wygrałem piękny proces.

Czuchnowski nie odezwał się ani słowem.

Pojechali taksówką. Podczas drogi Alicja opowiadała mecenasowi o przebiegu rozprawy o gratulacjach, jakie złożyli jej koledzy i o pochwalę prokuratora Martynowicza.

Julki jeszcze nie było w domu. Odrabiała dziś lekcje z dwiema koleżankami. Zaraz po obiedzie wyszła i miała wrócić przed dziewiątą. Dowiedzieli się tego z kartki, zostawionej na stole. Józefowa bowiem kończyła właśnie popołudniową porcję pacierzy i za skarby świata nie powiedziałyby ani słowa.

Jej zwiotczałe i pomarszczone wargi poruszały się drobnym, falującym ruchem mówiąc nabożne słowa, ale gdy podawała obiad z jej złośliwych spojrzeń nie trudno było odgadnąć niezadowolone z powodu tak znacznego spóźnienia się pani na obiad. Jakże — pieczeń wyszła, a jabłka w cieście wystygły.

Nie zepsuło to natomiast apetytu ani Alicji, ani Łęczykiemu. Tylko doktor był pochmurny, co zdawało się napełniać jego narzeczoną tem zajadlejszą wesołością.

Zanim wypili kawę była już ósma.

Na kolację iść stanowczo się nie oplacało.

— Wiecie co? — zaproponował Łęczycki — pani Alicja przebierze się, my obaj na szczęście jesteśmy w czarnych marynarkach, pojedziemy do kina na Marlenę Dietrich, a później na lumpę do „Argentyny“! Co?...

— Dobry pomysł. Film podobno wyborny, a o tej „Argentynie“ słyszałam, że tam świetnie się bawią.

— A ja słyszałem — odezwał się Czuchnowski — że właśnie piekielne nudy.

— Były! Były, przyjacielu — z miną znawcy odparł mecenas — teraz kupił tę budę jeden Amerykanin i on dopiero pokazał, jak się powinno takie rzeczy

robić. Pierwsza klasa! Amerykanie mają to wyczucie interesu!...

— Więc pojedziemy — zdecydowała Alicja — tylko zaczekamy na małą. Muszę ją ucałować na dobranoc.

Doktór niecierpliwie kręcił się na krześle, wreszcie wyrzucił z siebie:

— A mnie się zdaje, że komu jak komu, ale tobie, Alu, nie wypada pokazywać się w takich lokalach.

— A to dlaczego? — spojrzała mań niechętnie Alicja.

— No w takim nocnym dancingu — zaśmiał się nieprzyjemnie — prokurator?

— Władku, nie zwracaj głowy. Jestem takim samym człowiekiem, jak i każdy inny. Mój drogi, nie sądz, że dla swego urzędu zamierzam stać się archaizmem.

— Tak — upierał się — ale właśnie dziś... po tej strasznej sprawie i po tym wyroku...

— Oj, Boże, jaki on nudny.

Mecenas klepnął go po kolanie:

— Nie bądźże ciotką, do djaska. Ministrowie chodzą do knajp...

— No dobrze, dobrze — bronił się Czuchnowski — jeżeli Alę nie razi ten kontrast nocnego lokalu z wyrokiem dożywotniego więzienia, to cóż?... Jednak nie zapominajcie, że we wszystkich niemal pismach zamieszczono jej fotografię i że zjawienie się prokuratorki Horn zwróci uwagę całej publiczności!...

Alicja skinęła głową.

— Tu masz rację.

— I tego można uniknąć — zawołał Łeczycki — w „Argentynie“ są łoże położone znacznie ponad poziomem sali i osłonięte. Możemy przejść wprost z szatni na górny korytarz.

Spojrzał na zegarek.

— Jeszcze zawczasie, ale za godzinkę zadzwonię

i poproszę o zarezerwowanie łoży. Znam osobiście tego Winklera, on mi to zrobi.

— To ten Amerykanin? — zapytała Alicja.

— Tak. Polak, ale urodzony i wychowany w Ameryce.

Wróciła Julka i ze śmiechem wpadła wprost do jadalni w botach, w futerku i w aksamitnym bereciku, w którym było jej tak ślicznie. Jej oczy iskrzyły się, zarumieniona buzia promieniała.

— Alu! Alu! — zawołała — nie masz pojęcia, co miałam za emocję! Dzieńdobry panu, dzieńdobry doktoru. Wyobraź sobie, że... ale panowie nie będą się śmiać?

— Nie będziemy, któżby się odważył?! — zapewnił z powagą mecenas.

— Otóż, ledwie pożegnałam się na rogu Śniadeckich z Kurką...

— Z kim?

— Kurka, to jedna moja koleżanka. Ledwie się z nią pożegnałam, a tu zbliża się do mnie taki młody i bardzo, no bardzo elegancki facet, w takim, wiesz, brązowym futrze, uchyla kapelusza i bardzo poważnie pyta: — czy pani nie wie czasami, która godzina? — Oczywiście, powiadam krótko: — nie wiem. — Myślę, że tak wypadło, nie?... A on wówczas, wyobraź sobie, wyciąga taki cieniutki, cieniutki złoty zegarek i powiada: — to ja pani powiem, jest za dziesięć ósma... To łotr, co?...

— No, i cóż dalej?

— Rozśmieszył mnie, bo taki sprytny. A zęby, powiadam ci miał białe, że no! Widziałam, bo uśmiechał się szelma, że mnie nabrał. I powiada: — a widzi pani, że jestem bardziej od niej uprzejmy, więcej — powiada — bo gotów jestem uprzejmość swoją posunąć aż do tego, by nie napastować już pani i odejść, ale — powiada — wiem, że pani sprawiłoby to przykrość, dlatego też poświęcę się i kawałeczek panią odprowadzę. — To bezczelny! Co?...

— A cóż ty, stałaś i słuchałaś? — z niezadowoleniem zapytała Alicja.

— Alu, jak możesz nawet tak myśleć? Wcale nie słuchałam.

Obaj panowie wybuchnęli śmiechem.

— Nie słuchałaś, ale pamiętasz każde słowo.

— No, przecie uszu sobie zatknąć nie mogłam.

— Więc cóż mu odpowiedziałas?

— Oczywiście, powiedziałam, że pójdę sama i że to jest bardzo brzydko zaczepiać kobiety na ulicy. To on powiada, że rzeczywiście, że zawsze był tego samego zdania, że takich, co zaczepiają kobiety on sam obilby laską, (wcale nie miał laski!), ale że ja przecie nie jestem kobietą, tylko aniołem (uważasz?!), a on nie jest takim, co zaczepia, tylko bardzo samotnym i nieszczęśliwym sierotą, a sierotami i wdowami trzeba się opiekować, że jeżeli go odpędzę w daleką zimną dal, to pójdzie z rozpaczy upić się, a jak tylko się upije, to go później głowa boli, a ja nie wyglądam na taką, co chciałaby cierpieć bliźniego i tak gadał, że pojęcia nie macie.

— No, ty oczywiście nie odpowiadałaś mu wcale?

— Iiii... bardzo mało.

Doktor Czuchmowski skrzywił się i powiedział:

— Bardzo źle, panno Julko. Należało zwrócić się do policjanta i poprosić, by uwolnił panią od natręta.

— Kiedy on wcale nie był taki natrętny — z oburzeniem zaprzeczyła Julka — taki przystojny brunet z małemi wąsikami. Inżynier, pracuje w fabryce czekolady! Nigdy nie wiedziałam, żeby do robienia czekolady potrzebni byli inżynierowie. Prawda.

— Rzeczywiście, poprostu kłamał.

— I ja mu tak powiedziałam, a on wówczas zaczął mi dowodzić, że są potrzebni do kontroli maszyn i do organizacji pracy i czegoś tam jeszcze i opowiadał, jak się robi czekolada i czy ja lubię czekoladę, bo jeżeli lubię, to on mi może przysłać bardzo dużo, bo jego to prawie nic nie kosztuje i odprowadził mnie

pod sam dom i chciał się przedstawić, ale ja powiedziałam, że nie i że idę tu do babci, bo babcia chora jest na tyfus i żeby poczekał kilka minut, to wyjdę i pójdziemy na spacer!

— Juleczko! — ze zgrozą zawołała Alicja.

— Poczekajże! Otóż wchodzę na schody, (a on powiedział, że dobrze, że będzie czekał, ale po tym tyfusie to mu się odrazu mina zmieniła), wchodzę na schody i patrzę przez okno ukradkiem. a mój facet wieje!... Aż się kurzy!!

Klasnęła w ręce i śmiała się do rozpuku.

— Dobrze mu dałam bobu, co?

— Tak, Julko, — odezwiała się Alicja, — ale na przyszłość stanowczo proszę cię, byś nie pozwalała się zaczepiać. Absolutnie tego sobie nie życzę. Pomówimy zresztą o tem obszerniej jutro. Jakże ci lekcje dziś poszły?

— Dziękuję, dobrze. Pytali mnie z łaciny i z matematyki. Ach, Alu, a nic mi nie mówisz, czy ten proces skończył się?

— Tak, skończył się.

— I co?...

— Został skazany na bezterminowe więzienie.

— Panno Julko — bolesnym głosem powiedział doktor — któż to widział pół godziny grzać się w futrze i w botach.

— Zapomniałam — roześmiała się i wybiegła do przedpokoju.

Czuchnowski i Łęczycki asystowali Julce przy kolacji, podczas gdy Alicja przebierała się.

Mecenas załatwił telefonicznie lożę w „Argentyne“ i o wpół do dziesiątej pojechali do kinematografu na Marlenę Dietrich.

Julka, gdy wyjeżdżali, pluskała się w łazience i pożegnali ją przez drzwi.

— Stanowczo, Alu — powiedział doktor, gdy wsiedli do taksówki — powinnaś krócej trzymać Jul-

kę. Z jej pobudliwością i temperamentem o nieszczęście, nie daj Boże, nie trudno.

— Przyznaję ci rację. Chociaż umiem docenić jej silnie rozwinięte ośrodki hamujące i roztropność, jednak przygody w rodzaju dzisiejszej nie zlekceważę.

Film rzeczywiście był interesujący i miał szereg momentów o wysokiej artystycznej wartości.

Najmniej podobał się Czuchnowskiemu:

— Nie interesują mnie postacie patologiczne — mówił — w sztuce chcę mieć ludzi żywych i normalnych.

— Przeciętnych, chciałeś powiedzieć? — zapytał mecenas.

— Chociażby, byle takich, jakich spotykamy w życiu.

Alicja wzruszyła ramionami:

— Mój przyjacielu, a czyż w życiu często spotykamy ludzi niepatologicznych? Niemal każdy ma większe lub mniejsze zniekształcenie psychiczne... Ale dajmy temu pokój. Władek jest zły — zwróciła się do Łęczyckiego — że idziemy do „Argentyny“ i dlatego wszystko mu się niepodoba.

Na Hortensję było tak blisko, że poszli pieszo. W przeciwieństwie do olbrzymich reklam neonowych, opiewających zalety „Argentyny“ na wszystkich wielkich arterjach miasta, istnienie samego lokalu na Hortensji zdradzał tylko mały szyldzik alabastrowy z rytemi na nim literami: „Argentyna“. We dnie napis ten był zupełnie niewidoczny, dopiero o dziesiątej zapalały się ukryte za alabastrem lampki kolorowe i wówczas występował napis.

Po szerokich marmurowych schodach, zasłanych puszystym białym dywanem wchodziło się do hallu, stąd zaś bocznymi schodami do łóż.

Służba witała mecenasa Łęczyckiego, jak starego znajomego. Łożę, oczywiście, zarezerwowano i to całe szczęście, bo już teraz niema ani jednej wolnej.

Orkiestra murzyńska w białych smokingach grała bostona.

Łoża była tak osłonięta, że z sali, położonej o trzy prawie metry niżej niepodobna było do niej zajrzeć. Natomiast Alicja widziała wszystko. Urządzenie sali przypominało okrągły podwórzec hiszpańskiego pałacu, łoże — okratowany balkon, porośnięty winem. Służba w strojach argentyńskich cowbojów uwijała się z brzękiem ostróg między niskimi masywnymi stolikami.

Publiczności było jeszcze nie wiele, lecz wciąż jej przybywało.

— No, jak się pani podoba ta buda — zacierał ręce Łęczycki.

— Owszem, bardzo tu miło.

Podano moc zimnych przekąsek, konjak, wermut i czerwone wino.

— Gorącej kuchni tu nie prowadzą — objaśnił mecenas — głównie ze względu na zapach potraw, ale pomimo to bywa w „Argentynie“ gorąco.

Wyjrzał na salę i dodał:

— O, niech pani zobaczy — w tej łoży nad fontanną teraz niema nikogo, ale koło pierwszej zjawi się Powiniecki. Nie było jeszcze wypadku, by nie wywołał awantury...

— Winszuję — wzruszył ramionami Czuchnowski.

— Właśnie, że bardzo się cieszę — na złość mu zaakcentowała Alicja.

— A tam — ciągnął mecenas — koło baru, widzi pani tego z gwóźdźkiem w klapie?...

— Widzę...

— To major szwoleżerów, baron Szegenyj, Węgier, ale w naszej służbie. Jak się trochę urźnie śpiewa węgierskie piosenki, a głos ma kolosalny.

— Jakto — irytował się Czuchnowski — i pozwalają tu na takie wybryki

— A dlaczegożby nie? Tybyś chciał cmentarz

zrobić z nocnego lokalu, czy trupialnię? Właśnie wybornie, że ludzie się tu bawią.

— A to kto? — zapytała Alicja.

— Który?

— Ten blondyn, co rozmawia z Węgrem.

— Aaaa!... — ucieszył się mecenas — to jest właśnie właściciel „Argentyny“ i jej główny magnes, dyrektor Winkler.

— Ten amerykańnin?...

— Tak. Podoba się pani?

— Owszem, niebrzydki. Dlaczego pan pyta?

Mecenas Łęczycki roześmiał się szeroko.

— Dlatego, pani Alicjo, że wszystkie kobiety za nim szaleją? O, niech pani spojrzy po stolikach. Widzi pani? Wszystkie główki zwrócone są w stronę tego szczęściarza.

Alicja wzruszyła ramionami:

— Przykro mi, mecenasie, że mogło panu bodaj przez chwilę wydawać się, że należę do typu kobiet, „szalejących“ za kimkolwiek. Jedzmy.

— Dobrze, jedzmy — skapitulował Łęczycki — zresztą Winkler i tak obchodząc łoże odwiedzi nas. Można konjaczku?

— Dziękuję — ponuro odsunął swój kieliszek Czuchnowski.

Alicja spojrzała nań zimno.

— Władku, jeżeli masz poświęcać się i psuć nam nastrój, to lepiej idź spać. Nie jestem przyzwyczajona do znoszenia czyichkolwiek fum.

Wypiła duszkiem kieliszek i zwróciła się do mecenasa:

— Więc powiada pan, że ten właściciel odwiedza łoże?

— Tak, proszę pani, ma taką zasadę, że wszystkich swoich gości zna osobiście. Zobaczysz pani, jaki to miły człowiek.

„Miły człowiek“ nie dał na siebie długo czekać.

Po kilku minutach kotara odchyliła się i usłyszeli za sobą niski głęboki głos:

— Dobry wieczór państwu. Czy nie przeszkodzę, jeżeli podziękuję drogiemu panu mecenasowi za popieranie „Argentyny“?

— Ależ, kochany dyrektorze, proszę, proszę — zawołał, wstając Łęczycki — czy pani pozwoli?... Pan Winkler, pani Horn...

— Czuchnowski — mruknął pod nosem doktor, podając przybyłemu rękę.

Ten, nie czekając na zaproszenie, usiadł przy stole:

— Nie nudzą się państwo? Teraz jeszcze pusta-wo, ale za pół godziny zaczynają się tak zwane produkcje artystyczne. Jak się pani podoba u mnie? — zwrócił się do Alicji.

— Bardzo... przyjemny lokal — przyjrzała się dyrektorowi uważnie i pomyślała, że już gdzieś, kiedyś napewno go widziała. Tak, tak, zaraz... było to bodaj w jakiejś cukierni.

— Wydaje mi się, że kiedyś już widziałam pana — powiedziała, jakby na usprawiedliwienie swego milczenia.

— Z całą pewnością — roześmiał się Drucki — poznałem panią już przed kwadransem, z dołu.

— W cukierni na Nowym Świecie? — zapytała — kilka miesięcy temu?

— Tak. Byłem wówczas tak niezgrabny, że strąciłem ze swego stolika popielniczkę.

— Prawda, prawda! — uśmiechnęła się — pamiętam. Nawet wówczas odniosłam wrażenie, że pańska twarz mi jest mi obca.

— Zaraz! zawołał Łęczycki — i ja pamiętam. Byliśmy wówczas w tym samym komplecie.

— Aha? — zdziwił się Drucki — więc to pan, mecenasie pstrykał wówczas czeczotkową papierosnicą?... O, jest corpus delicti!

Śmieli się wszyscy, oprócz doktora, który udawał, że zajęty jest przecieraniem okularów.

Zamienili jeszcze kilka zdań i Drucki wstał:

— Czy pozwolą państwo, że jeszcze raz ich odwiedzę?

Alicja skinęła uprzejmie głową, a Łęczycki hałaśliwie upominał go, by tylko nie zapomniął.

Widzieli go następnie, jak wchodził do 15^o ma-przeciwko, jak chodził po sali i wesoło witał się ze wszystkimi.

Tymczasem rozpoczęły się „atrakcje“.

W kolorowych reflektorach tańczyła trójka zgrabnych muskularnych chłopców, później na tańiecznym ringu zjawiała się signorita Fiametta i w nieprawdopodobny sposób wyginała niemal nagie ciało w akrobatycznym tangu. Po hucznych oklaskach znowu publiczność zapełniła ring zbitą masą, drgającą w takt „rumbę“.

Czuchnowski pod wpływem wypitego alkoholu stał się rzewny i ze łzami w oczach błagał Alicję, by mu przebaczyła. Tak gorliwie przytem zapewniał, że już będzie wesoły, że aż się całkiem rozplakał.

Alicja śmiała się serdecznie, patrząc na jego minę i na żywy kontrast w osobie Łęczyckiego, który przytupywał i z fantazją zagarniał czuprynę.

Setki różnobarwnych baloników napełniły salę. Gwar buchał z dołu, z łóż rzucano kwiaty w tańczących.

I znowu były dwa występy: trzy tancerki przebrane za myszki fleischerowskie, Mickey i przekomiczny niedźwiedź (oczywiście aktor), grający na saksofonie i tańczący taniec marynarski.

Gdy z kolei rozpoczął się dancing, w loży Alicji zjawiała się egzotycznie ubrana kwiaciarka i położyła przed nią pęk białych róż.

Czuchnowski przestraszył się, a mecenas wy dobył banknot stułotowy.

— Dziękuję — dygnęła kwiaciarka — ale to od dyrekcji.

— Jakże to — zastanowił się po jej wyjściu doktor — prezenty?

Alicja odsunęła kwiaty, lecz mecenas podał je jej znowu:

— Niechże pani weźmie, tu jest taki zwyczaj, że paniom rozsyła się kwiaty.

Alicja wzięła róże i powiedziała:

— Wspaniałe. A pachną! Ten pański znajomy, mecenasie, zrujnuje się, jeżeli wszystkim paniom rozsyła takie luksusowe kwiaty.

— Niema o tym wy — usłyszała za sobą niski głos — rodzaj i piękność kwiatów dostosowuję bowiem zawsze, proszę pani, do urody moich klientek.

Przyjrzała mu się. Wyraz twarzy miał poważny i rzeczowy, taki, jakby załatwiał w tej chwili handlowy interes. Nie zauważyła nic, co wyglądałoby na pufałość ze strony tego amerykańnika i dlatego powiedziała.

— Dziękuję panu. Przepiękne róże. Dużo też pan rozsyła takich bukietów co wieczór?

— Takich? — zrobił minę, jakby się namyślał — hm... o ile mnie pamięć nie zawodzi... odkąd wprowadziłem ten zwyczaj, taki jest pierwszy...

Alicja nic nie odpowiedziała, natomiast Łęczycki, lubiący stawiać rzeczy konkretnie, zaopiniował:

— Wcale się temu nie dziwię. Do djaska! Niech się panu nie zdaje, dyrektorze, że powiedział pan komplement o jotę lepszy, niż zrobiliby to pierwsze z brzegu lustro.

Straszny hałas w łoży nad fontanną i wybuch ogólnego śmiechu na sali odwrócił ich uwagę.

Widok był niezwykły: — elegancki, młody człowiek w smokingu, trzymany za nogę przez kilka osób, a zwieszony przez parapet łoży głową w dół, usiłował dosięgnąć do strumienia fontanny trzymanym w rękę damskim pantofelkiem i nabrać wody.

Tylko Alicja zauważyła, że dyrektor Winkler wybiegł.

Tymczasem po kilku nieudanych próbach młodzieńcowi udało się zaczerpnąć wody i ogłuszające brawa zagłuszyły orkiestrę.

— Idjota! — skrzywił się Czuchmowski.

— Szampana! — zawołał Łęczycki.

— Szampana! — powtórzyła Alicja.

— Państwo rozkażą? — skłonił się kelner, podając kartę.

— Pozwoli pani, droga pani Alicjo — pochylił się ku niej z miną znawcy mecenasa — że wypijemy „Nexy“ sec?

— Doskonale!

— Zamrozić butelkę „Nexy“ — kiwnął na kелnera, a gdy ten ukłoniwszy się wychodził, zatrzymał go. — Czekaj pam! Zamrozić dwie! Jak szaleć, to szaleć!

W płaskich kryształach zapienił się pachnący p'yn. Na sali nagle zapanowała cisza i usłyszeł głos dyrektora Winklera:

— Proszę państwa! Dzisiaj bawimy się w koty!

— Co? co?... — rozległy się pytania.

— Bawimy się w koty! Nie jest to mój wynalazek, ale przecie tak dobry, jakby był mój własny!

— Bravo! Bravo! — posypały się oklaski. — Jakto w koty?

— Proszę państwa! W Jacht - Klubie na Filipinach jest zwyczaj, że orkiestra gra pewne tango, a wszyscy obecni miauczą!

— Bravo! Bravo! Miauczeć!

— Proszę państwa! Tylko miauczeć w rytmie! Kto wykaże najwięcej muzykalności, oryginalności i znajomości prawdziwej kociej muzyki otrzyma ten oto order Złotego Kota pierwszej klasy! Uwaga! Zaczynamy.

Orkiestra uderzyła mocnym akordem i popłynęła cichą, namiętą melodją.

— Miauuu — odezwał się cieniutki głosik kobiety.

— Mjau! — odpowiedział mu przy końcu frazy chrapliwy głos męski.

Buchnęła fala śmiechu, lecz amatorzy miauczenia opanowali sytuację. Kto żyw rozdierał się wniebogłosy, prychał, furczał, orkiestra zeszła do roli dyskretnego akompanjamentu, wśród miauczących stopniowo następowała selekcja i zabawa szła coraz sprawniej.

Czuchnowski zdjął okulary i szeroko otwartymi oczyma krótkowidza ze zdumieniem obserwował salę. Łęczycki literalnie wisiał na parapecie i miauczał, jak opętany. Alicja też wyjrzała wdół.

W środku ringu na taborecie stał Winkler i z pasją dyrygował, niczem kapelmistrz. Właśnie w chwili tej spojrzął ku ich łoży i przywitał utkwione w sobie oczy Alicji łobuzerskim uśmiechem i przeciągłym koloraturowym miauknięciem.

Cofnęła się i przyciskając do ust zmiętą serwetę zamiauczała. Nie mogła wytrzymać! Nastrój udzielał się przemocą. Roześmiała się sama z siebie: — miauczący prokurator! A to ładna historia! Wypiła kieliszek szampana duszkiem. Trochę kręciło się jej w głowie. Co za pyszna zabawa!...

Tango się skończyło, lecz na gremjalne, a hałaśliwe żądanie publiczności powtórzono je jeszcze raz poczem przez aklamację przyznano order Złotego Kotta ogromnemu siwemu panu, jak się okazało, angielskiemu dyplomacie, który rzeczywiście był mistrzem w tym koncercie.

Aktu dekoracji dokonała z wyboru odznaczona młodziutka, miniaturowa brunetka — jak objaśnił Łęczycki — żona znakomitego automobilisty Winiarskiego. Musiała wspiąć się na palce, by dosięgnąć bu-tonierki laureata.

Ten wygłosił krótkie przemówienie po angielsku i z dostojną miną zajął miejsce przy swoim stoliku.

Zagrano bluesa i ring znowu zapelnil się tańczącymi.

Alicja spojrzala na zegarek i z zalem stwierdzila, że już czwarta.

Czas było jechać do domu.

Uregulowali rachunek, przyczem Alicja wyjątkowo zgodzila się nie zapłacić swojej trzeciej części. Łęczycki upierał się, że on funduje, a jeżeli nie pozwolą mu zapłacić całości, przyniesie mu to pecha w sądzie.

— Jak Boga kocham — zaklinał się — ile razy nie obleję wygranego procesu, tyle razy przegrywam następną sprawę, jak amen w pacierzu!...

Była w tak świetnym humorze, że nie spierała się o to.

Odwieźli najpierw zasypiającego Czuchnowskiego, później mecenas odprowadził Alicję.

— No, pani Alicjo, — powiedział z przechwałką, zegnając ją przed bramą — warto było pójść do „Argentyny“. Co?

— Bardzo wesoło spędziłam czas. Oddawna nie bawiłam się tak dobrze.

— Ba! Ten Winkler umarłegoby rozruszał! Bajeczny, prawda?

— Dobranoc, mecenasie, — podała mu rękę — dziękuję i dobranoc.

Na palcach przeszła do swego pokoju, szybko zebrała się, zapaliła gaz w łazience, umieściła róże w kryształowym wazonie i po chwili wahania postawiła je przy łóżku.

Już świt był na dworze.

ROZDZIAŁ 7.

Wprost z dworca profesor Karol Brunicki pojechał na wykład.

Pomimo zmęczenia, wywołanego długą podróżą, mówił, jak zwykle, głośno, dobitnie, akcentując defi-

nicje i robiąc krótkie pauzy przed użyciem własnych argumentów.

Gdy skończył, czuł się tak wyczerpany, że zażył proszek kamfory dla wzmocnienia serca. Jednakże już po chwili telefonował do Bristolu.

Odpowiedziano mu, że pan Winkler jest w swoim numerze, ale zapewne śpi. Pomimo to kazał się z nim połączyć.

— Tu mówi Karol, obudziłem cię?

— Nie, jak się masz! Wróciłeś?

— Wróciłem i chciałbym cię prosić, byś wpadł do mnie.

— Do kliniki? — zapytał Drucki.

— Nie, do domu. Może na obiad?

— Zgoda.

Drucki odłożył słuchawkę i westchnął z ulgą.

— No, nareszcie przyjechał.

— Kto przyjechał? — zapytała z za parawanu Tacia.

— Pewien mój przyjaciel. Ale pośpiesz mała.

— Kiedy mi podwiązka pękła.

Drucki roześmiał się.

— Pękła? No, chodź tu, może wspólnymi siłami łatwiej zaradzimy katastrofie. Chodź.

Była w króciutkiej jasnozielonej kombinezce i nieporadnym gestem wyciągnęła ku niemu urwany koniec podwiązki. Wyglądała przy tem tak dziecinnie i ładnie, że powiedział:

— Wiesz, mała, żałuję, że już jest tak późno.

— Mój kochany, mój najśłodszy.

Posadził ją sobie na kolanach i zabrał się do reparacji uszkodzenia. Tymczasem Tacia ocierała twarz o jego policzki i szeptała w kółko

— Kochany, jedyny, kochany.

Biła od niego świeżość i wciąż jednakowe silne pragnienie.

Drucki odezwał się:

— Słuchaj, mała, albo daj spokój, albo do końca świata nie naprawię ci tej podwiązki.

— Ach, jak to byłoby cudownie!

— Niby co?

Różowym paluszkiem przesunęła mu po kolanach.

— To, żebym mogła tu siedzieć do końca świata. Tylko ja! żeby mój pan był tylko dla mnie i żeby te obrzydliwe baby nie wywracały do niego oczu. A zwłaszcza ta mała Kazia...

— Podaj mi agrafkę — przerwał Drucki — musi być w tem okrągłym pudełku.

Sięgnęła i mówiła dalej:

— Taka obrzydliwa kokota. Jak ona nawet śmie podnosić oczy na mego pana! Taka, co to za pieniądze z każdym. A przytem ma krzywą łopatkę

Drucki zerknął na nią z uśmiechem.

— Jak Boga kocham — zawołała — ma krzywą łopatkę.

— Nie gadaj, nie gadaj, mała. Kazia jest bardzo ładna.

— Nienawidzę jej!

— To inna sprawa. Tylko, Teciū uważaj! — pogroził palcem — żeby w „Argentynie“ żadnych awantur, ani kłótni nie było! Nie znoszę tego i gdyby tylko!... No!

— Ja? — oburzyła się Teciū — z nią? Z taką lafiryndą? Ja wogóle jej nie spostrzegam, chociaż wiem, że ona oczyby mi wydrapała. Jej się zdaje, że...

— Gemacht! — skończył Drucki — podwiązka w porządku. Ubieraj się.

Postawił ją na ziemi i usiadł przed lustrem, by zawiązać krawat.

— A pamiętaj, mała, — dodał — że ze mną żartów niema. Żadnych awantur!

Dziewczyna nic nie odpowiedziała.

Po paru minutach byli gotowi.

Tecia wyszła pierwsza. Drucki pozamykał szafy i biurko i również zszedł na dół.

Portjer zatrzymał go ukłonem:

— Uszanowanie panu dyrektorowi.

— Dzieńdobry panu.

— Właśnie, panie dyrektorze, zwracałem się według pańskiego życzenia do reprezentacji samochodów „Reenclar“. Powiedziałem, że jeden z naszych gości chce się dowiedzieć, kto w Warszawie ma „Reenclara“ i kto mógłby udzielić o ich marce referencyj.

— Aha! — ucieszył się Drucki — no i cóż?

— Powiedzieli, że w Warszawie chodzą trzy wozy „Reenclar“. Jeden należy do hrabiego Lubockiego, drugi do pani Cotchen i trzeci do profesora Brunickiego. Wszyscy troje mają już te wozy od kilku lat i są zupełnie zadowoleni.

— Od kilku lat?

— Tak, panie dyrektorze, powiedziano mi, że są zupełnie zadowoleni. Oczywiście, wypytywali mnie, kto interesuje się ich samochodami i proponowali przysłanie wozu na próbę, ale, w myśl życzenia pana dyrektora, nie wymieniłem jego nazwiska.

Drucki podziękował i wyszedł na ulicę.

— Rzecz jasna — pomyślał podając szoferowi adres Brunickiego — że Karol spreparował kłamstwo. Auto, które widziałem pierwszego dnia wieczorem było jego „Reenclarem“.

W hallu willi profesora zastał doktora Kunoki, pogrążonego w lekturze. Przywitał Druckiego serdecznie i prawie wesoło:

— Bardzo rad jestem, że pana widzę. Ma pan w sposobie bycia coś, co rozsziewa wokół pana jakąś witalną radość.

— Niechże doktor nie przesadza — zaśmiał się Drucki, ale zrobiło mu się przyjemnie.

— O, nie! — przechylił głowę Japończyk — nie przesadzam. Jestem zdania, że niedoceniamy naogół

towarzystwa ludzi miłych, wesolych i zdrowych. A działa ono wręcz... kuracyjnie. Tak, panie, kuracyjnie! Wiemy, że wszystkie ciała emanują różnego typu energię, a nie zwracamy uwagi na emanację fizyczną, emanację ludzi, z którymi stykamy się. Gdyśmy się widzieli ostatnio, mówiliśmy, zdaje się, o przesadach ludowych?

— Tak, o nawrocie nauki do pogardzanych zabobonów.

— O, widzi pan — ożywił się Kunoki — jeszcze jeden przykład. Niektóre szczepy hinduskie wierzą w to, że młodość, siła i zdrowie mogą udzielać się tak, jak płomień: ten, kto daje—nic nie traci, a ten, kto bierze—zyskuje. Dlatego ludzie starzy i słabi spijają w jednym łóżku z młodymi i zdrowymi. Są przekonani, że zwłaszcza podczas snu uzdrawiająca emanacja młodego ciała wzmaga się najbardziej.

— I co? — zdziwił się Drucki — czy to rzeczywistość ma jakieś znaczenie?

— Odpowiem panu tak: nie wiem, czy ma, ale wiem, że musi mieć.

— Oczywiście chodzi o emanację, że tak powiem, psychiczną?

Doktor Kunoki potrząsnął głową.

— Ja osobiście jestem zdania, ale zastrzegam się, że nie jest to opinia oficjalnej nauki, jestem zdania, że emanacja wręcz fizyczna, tak, jak emanacja radu, żelaza...

— Słowem elektrony? Cząstki atomów?

— Tak.

— Niezwykle! Tedy i myśl ludzka?...

— Jest również emanacja, dającą się nawet empirycznie stwierdzić w przypadkach telepatji. Tak. Otóż pańska emanacja, pańska aura jest poprostu kuracyjna. Czuję to po sobie.

— Powinienem wobec tego — zaśmiał się Drucki — wynajmować się na godziny szpitalom w charakterze aparatu leczniczego. Ale rzeczywistość wydaje mi

się, że pan ma dużo racji, doktorze. Sam zaobserwowałem zadziwiające wzmaganie się nastrojów w tłumie.

— A widzi pan. Wzajemne oddziaływanie emanacji.

— Albo w zabawie! Wie pan zapewne, że prowadzę teraz nocny kabaret. Otóż naprzykład wesołość udziela się bardzo szybko. Niech kilka osób się rozbryka i rozbawi, a za pięć minut humory idą w górę. Właśnie namawiałem Karola, żeby rozerwał się w mojej „Argentynie“, ale ani rusz. Pan, doktorze, powinien poradzić mu, by chociaż raz spróbował.

— Ależ z przyjemnością. Jestem zupełnie pańskiego zdania.

— Co to, niema go w domu? — zapytał Drucki.

— Owszem, tylko jest czemś zajęty. Za chwilę przyjdzie. Nie gniewa się pan chyba na niego, że mimowoli skazał pana na towarzystwo nudnego...

— Panie doktorze! — przerwał Drucki — czy pan naprawdę ma mnie za tak głupiego, że nie umiem ocenić wartości towarzystwa jednego z najmądrszych uczonych naszego wieku?...

Japończyk próbował oponować, lecz Drucki nie dał mu przyjść do słowa:

— Przecie ja, doktorze, powinienem płacić szkolne wpisowe za każdy kwadrans rozmowy z panem, z człowiekiem o takiej wiedzy i takich horyzontach myślowych. Aha, chciałem pana o coś zapytać. Mianowicie, czy to prawda, że brodawki dają się leczyć sugestją?

— Naturalnie — z zadowoleniem potwierdził Japończyk — brodawki są rodzajem choroby psychicznej.

— Właśnie. Czytałem — powiedział Drucki — że brodawki powstają na skórze człowieka, gdy ten dozna silnego przykrego wrażenia na widok takichże brodawek u innych.

— Niezupełnie tak. Ale coś zbliżonego. Naj-

częściej znaki rodzime, brodawki i pewnego typu liszaje są skutkiem wrażeń odniesionych przez matkę danego osobnika podczas ciąży.

— Co? — zerwał się Drucki — więc zapatrzenie?

— Zapatrzenie.

— Doktorze, pan wierzy w zapatrzenie?

Japończyk zrobił nieokreślony ruch ręką:

— Słowo „wierzyć“ nie jest tu odpowiednie. Jestem natomiast przekonany, że zapatrzenie, jako takie, istnieje.

— Jakto? I pan sądzi, że nauka może to potwierdzić?

— Proszę pana — zmarszczył czoło Japończyk — cała moja teoria elektro-nerwonów, czy, jeżeli pan woli, teoria psychonów, zmusza właśnie do wykazania swej nieodpartej słuszności na prawdziwości naukowej ludowego „przesądu“ o zapatrzeniu.

Drucki nerwowo podsunął swoje krzesło.

— Niechże mnie pan objaśni.

— Z przyjemnością. Czy hodował pan kiedy konie lub psy?

— Psy owszem. Kiedyś namiętnie lubiłem polowanie.

— Dobrze, zatem hodował pan psy myśliwskie, rasowe?

— Naturalnie — potwierdził Drucki — wyżył i gończe. Trochę jamniki.

— Nie o to chodzi. Ale czy pan zauważył, jakie skutki daje skrzyżowanie rasowej suki ze zwykłym kundlem? — pytał Japończyk.

— No, ma się rozumieć, szczenięta będą nierasowe.

— To mało. A co się stanie z suką?

— Aha! — klepnął się Drucki po kolanach. — No, suka będzie zepsuta!

— Właśnie, panie Winkler, suka będzie zepsuta, to znaczy, że już nigdy nie urodzi rasowego potomstwa, choćby następne zapłodnienia dokonane były

przez psa najczystszej jej rasy. To samo jest z końmi i tak dalej.

— To prawda — potwierdził Drucki — ale cóż stąd wynika?

— Przepraszam, najpierw musi pan stwierdzić, że płód wywiera wpływ na matkę.

— No tak.

— Nie zaprzeczy pan również, że dziecko często po matce dziedziczy różne cechy fizyczne i psychiczne. Prawda?... A teraz odrobina analogji i biologji. Wie pan, że naprzykład płód człowieka, pomimo najskrupulatniejszych badań w swoich pierwszych fazach od owalu począwszy, niczem nie różni się od płodu ryby, amfibij i ssaków?

— Wiem, wiem, znam Darwina i widziałem tablice Haeckla.

— Tem lepiej. Zatem przyzna pan, że dalsze formowanie się płodu, a zwłaszcza jego indywidualizowanie się pozostaje pod wpływem organizmu matki. W terminie „organizm“ mieszczę zarówno jego stronę fizyczną, jak i psychiczną. Otóż nauka do dziś oficjalna utrzymuje, że płód już w samym zaczątku musi posiadać cechy psychiczne a priori ustalone, gdyż z matką jest połączony wyłącznie kanałem, noszącym nazwę: funiculus umbilicalis...

— A pepowina? — zastrzegł się Drucki.

— Właśnie — uśmiechnął się doktor Kunoki — o niej mówię. Wszyscy embriolodzy wykluczają możliwość psychicznego oddziaływania matki na płód, ponieważ jedyne połączenie całkowicie pozbawione jest jakiegokolwiek unerwienia. Rozumowanie napozór słuszne: nerwy nie łączą płodu z matką, zatem oddziaływanie psychiki matki i zaburzeń w tej psychice podczas ciąży, nie może odbić się na płodzie. Nie wiem czy mówię dość jasno?

— Najzupełniej.

— Tedy — ciągnął Japończyk — zapatrzenie według tych panów jest nonsensem. Oczywiście tego



twierdzenia musi jednak ulec gruntownej rewizji z chwilą odkrycia przezemnie elektro-neuronów w ziarnistych ciałkach Nissla, w protoplazmie komórek nerwowych. Pan wie na czym polega moje odkrycie?

— Bardzo pobieżnie — zawstydził się Drucki.

— Polega na odnalezieniu we krwi i w całym organizmie fal nerwowych półmaterjalnych i półenergetycznych, będących emanacją, która ulega ustawicznemu a niesłychanie precyzyjnym wahaniom, a ustaje dopiero wówczas, gdy ziarniste ciała, będące jakby akumulatorami tej energii, ulegną wyczerpaniu, a nie uzyskując nowego naładowania, po prostu znikają. Powoduje to śmierć komórek nerwowych i atrofję samych nerwów. Otóż z chwilą tego odkrycia odpada dość naiwna teoria naszych witalistów, którzy z braku laku kontentują się koncepcją nissus formativus, czyli predystynacji owulu do zgóry przewidzianego kierunku rozwoju.

— Strasznie to uczone — westchnął Drucki — ale zdaje mi się, że rozumiem, o co chodzi: Z chwilą odkrycia pana doktora tłumaczy się naukowo fakt zapatrzenia?

Doktor Kunoki pokiwał głową:

— Niestety, jeszcze się nie tłumaczy. Tylko może być tłumaczony w ten sposób, że matka ma psychiczną komunikację z własnym płodem, pomimo braku łączących je włókien nerwowych. Jeżeli mówiłem o telegonji, czyli, o psuciu się samic rasowych, to dlatego, że daje nam ono możliwość naocznego stwierdzenia wpływu płodu na matkę, wpływu tak trwałego, że nie ustępuje do końca jej życia, że jaskrawo odbija się na innym jej potomstwie. Dlaczego zatem mamy odrzucać myśl o wpływie odwrotnym matki na płód, o działaniu wrażeń ciężarnej matki na konstytucję płodu?

— Ja osobiście święcie wierzę w zapatrzenie — żarliwie przytwardził Drucki — miałem wiele dowo-

dów, które utrwały we mnie to przekonanie. Nawet..

Zawahał się, czy powiedzieć doktorowi Kunoki o synku Załkindów i urwał, bo właśnie wszedł Brunicki. Widać było, że jest czemś mocno podniecony i zdenerwowany. Zanim przywitał się z Druckim, spojrział porozumiewawczo na Japończyka, a ten przeprosiwszy ich, natychmiast wyszedł.

— Jak się masz, Fakirze — uśmiechnął się z przymusem profesor, podając Druckiemu rękę.

— Ja świetnie, ale ty Karolu, daruj, wyglądasz bardzo mizernie.

— Zmęczyła mnie podróż.

— Właśnie — zapalił papierosa Drucki — wyjeżdżałeś zagranicę?

Brunicki pochylił głowę:

— Byłem u... Piotra.

— W Szwecji?

— Tak — ponuro powiedział profesor i spojrzął na swego gościa. — Bohdanie! Postanowiłem powtórnie zrobić próbę krwi. Daruj mi, ale wówczas twoją krew brałem nie sam, przysłałeś mi... Czy ja wiem, mogła zajść jakaś pomyłka...

— Ależ jestem do twojej dyspozycji, Karolu.

— Nie miej, Bohdanie, do mnie urazy, gdyż i próbki krwi Piotra nie byłem pewny. Lekarz szkolny w Upsali również mógł się omylić. Teraz przywiozłem wziętą przezemnie osobiście...

— Karolu! — zawołał z wyrzutem Drucki — przecie rozumiem twój stan, pocóż te skrupuły! Służę ci.

Profesor szybko wyjął z kieszeni przyrząd iniekcyjny i mały flakonik ze szklanym korkiem. Drucki odsunął mankiet i igła bezboleśnie weszła pod skórę. Po niespełna minucie na dnie flakonika zaczerwieniło się kilka kropel krwi.

— Słuchaj, Karolu, mam dla ciebie coś, co pew-

niej niż ta próba udowodni ci to, że Piotr jest twoim synem.

Brunicki zbladł:

— Jakto?

— Siadaj, Karolu i posłuchaj.

Drucki opowiedział, podkreślając wszystkie ważne szczegóły, historję Luby, Zalkinda i ich synka.

Mówił zwięźle, prosto i treściwie, głosem spokojnym, a jednak Brunicki drżał przez cały czas i stawał się coraz bledszy.

— Otóż, Karolu — kończył Drucki — chłopiec ten jest tutaj, w Warszawie. Tu też są jego rodzice. Ponieważ są moimi przyjaciółmi, napewno zgodzą się, byś mógł chłopca zbadać osobiście.

Profesor nagle wybuchnął nerwowym śmiechem.

— I cóż mi z tego? — zapytał z wręcz obrażającą ironją.

— Jakto co? — oburzył się Drucki — zobaczysz dziecko, które ma oczy podobne do moich, jak dwie krople wody, dziecko kobiety, która, nigdy nie była moją kochanką.

— Właśnie! Jeżeli nie była nią!

— Karolu! Ona sama gotowa ci przysiędź!

— Ba — wykrzywił usta Brunicki — sam powiadasz, że jest mężatką. Dlaczego nie miałyby przysięgać sto razy?! Wanda też przysięgała.

— Ależ ten chłopak ma rysy podobne do ojca i jego usposobienie.

Profesor wzruszył ramionami

— To niczego nie dowodzi. Znam wiele wypadków, kiedy dzieci z biegiem lat upodobniają się do przybranych rodziców.

Drucki bezradnie opadł na fotel i niemal jęknął:

— Boże drogi! Więc cóż ja ci poradzę!

— Owszem, owszem — przetarł czoło profesor — chyba nie zapomniałeś o swojej obietnicy?...

— Nigdy się nie cofam.

— To dobrze... Wybacz, Bohdanie, moją niewiarę, ale jest ona silniejsza odemnie, jeżeli nawet...

Urwał, bo wrócił doktor Kunoki i oznajmił, że podają do stołu.

Od ubrania Japończyka zaleciał zapach chloroformu i Drucki przez asocjację przypomniał sobie koty.

Rozejrzał się. Nie było ich w hallu.

— A gdzie ta kocia menażerja? — zapytał zdziwiony.

— Zdaje się, że na spacerze — wymijająco odpowiedział profesor.

Drucki roześmiał się:

— Ja mam lepszą! Jeżeli namówię was, panowie, do spędzenia wieczoru u mnie w „Argentynie“, pokażę wam autentyczną kocią muzykę.

— Orkiestra naśladuje koty? — zapytał Brunicki, wskazując gościowi miejsce przy stole.

— Nie, publiczność. Cała publiczność miauczy.

— To może i nam kazałbyś miauczeć? — spróbował żartować profesor.

Japończyk posypał solą kawałek chleba i powiedział z przekonaniem:

— Pan Winkler powinien to zrobić.

Widząc zdziwione wzniesienie brwi profesora doktor Kunoki dodał:

— Rzeczywiście, profesorze, powinien pan dać się namówić przyjacielowi. To jest konieczne dla pańskiego zdrowia. Gdybym wychodził z domu, chętniebym panom towarzyszył.

— Zobaczymy — uśmiechnął się Brunicki — może wybiorę się.

— A dlaczego, doktorze, nie wychodzi pan z domu?

Japończyk zamienił spojrzenie z profesorem i odezwał się innym tonem:

— Widzi pan... Nie chcę afiszować swojej obecności w Warszawie... Nawet prosiłbym pana, by pan

nikomu o tem nie wspominał, że jestem w Polsce i że pozostaję gościem profesora. Nie lubię rozgłosu... Pozatem są jeszcze inne powody...

— Nie zamierzam wtrącać się w nie — pośpieszył zapewnić Drucki — niech pan mi wierzy, doktorze, że nie zaliczam siebie do gadatliwych.

Nastała chwila ciszy. W milczeniu jedli zupę. Wreszcie profesor uznał za stosowne udzielić Druckiemu pewnych wyjaśnień.

— Poznałem — zaczął chrząknawszy — doktora Kunoki na międzynarodowym zjeździe w Londynie. Ponieważ zaś łączyły nas zbliżone, a poniekąd wspólne zainteresowania naukowe, zaś doktor w swojej ojczyźnie nie miał odpowiednich warunków do prac badawczych, zgodził się przyjąć moje zaproszenie i kilka miesięcy spędzić u mnie.

Postukał palcami po stole i, z wyraźną intencją zmienienia tematu rozmowy, zapytał:

— Jakże ci się powodzi?

— Dziękuję ci. Wybornie.

Opowiadał o „Argentynie“, o swoim systemie prowadzenia tego przedsiębiorstwa, lecz myśl jego zajęta była nowym mglistym i tajemniczym punktem w nieprzejrzystym życiu tego domu. Nie, stanowczo nie będzie nad tem się zastanawiać. Bo i w jakim celu? Czy mógłby jaki użytek zrobić ze swych odkryć, gdyby nawet do jakichś doszedł?... Oczywiście nie. Dla zwykłej zaś ciekawości nie kiwnąłby nigdy palcem. Zresztą przecucie mu mówiło, że usługi, których odeń zażąda Karol, wyświetlą i tak wszystko.

Tymczasem rozmowa skierowała się znowu na tematy naukowe. Uwaga obu uczonych zbyt silnie, widocznie, była ześrodkowana w tej dziedzinie, by na czas dłuższy mogła odwrócić się od niej.

Nie martwiło to Druckiego. Szczerze interesował się tem wszystkim, co otwierało mu całkiem nowe strefy poznania, choćby pobieżnego i spopularyzowanego do tego stopnia, jaki jest dostępny dla laika.

Gdy napomknął o tem, doktor Kunoki zaprzeczył ruchem głowy:

— Nie, proszę pana, te strefy nie tylko dla laików są nowe. Jeszcze lata upłyną, zanim ich nowość przestanie być nowością nawet w laboratorjach biologicznych. Naprzykład po dziś dzień biolodzy upierają się przy niewytrzymującej krytyki hipotezie determinacji płci, o czem mówiliśmy w hallu.

— Doktor mówi o zgóry ustalonej płci potomstwa? — zapytał Drucki.

— Niezupełnie — ciągnął Japończyk — współczesna genetyka twierdzi, że płeć płodu zostaje ustalona już w chwili zapłodnienia, mówiąc ściślej w chwili karjogamji, gdy następuje amphimixis...

— Litości — jęknął Drucki — nie znam tej terminologii!

Japończyk bezradnie rozłożył ręce w stronę profesora. Ten zaś wyjaśnił z uśmiechem:

— Doktor mówi o momencie wniknięcia plemnika w owul. Następuje wówczas zmieszanie się substancyj chromatynowych obu komórek płciowych...

— Zaraz, zaraz — przerwał Drucki — bo pragnąłbym zrozumieć. Cóż to jest ta substancja chromatynowa?

— Właśnie — uderzył palcem w stół Japończyk — ci panowie wierzą, że ta substancja zawiera związki dziedziczne. Ich hipoteza powiada, że w owulu jest niezmienny chromozom X, a w plemniku męskim chromozomy dwóch typów: X albo Y. Otóż ich zdaniem spotkanie się owulu z plemnikiem gatunku X — daje nam dziewczynkę, a z plemnikiem Y — daje chłopczyka! Rozumie pan?

Japończyk wybuchnął śmiechem, a profesor zaśmiał się również.

— A tymczasem jak jest naprawdę? — zapytał Drucki.

— Jak jest naprawdę, jeszcze nie wiemy z zupełną dokładnością — odpowiedział doktor Kunoki —

jednakże długotrwałe badania Parkesa, a także i moje skromne wysiłki wykazały, iż płęć płodu ustala się dopiero w łonie matki pod wpływem dwóch czynników. Pierwszy to hormon żeński, czyli follikulina, drugi to Prolan; czyli hormon przysadki mózgowej. Jeśli teza okaże się słuszną, już wkrótce będziemy mogli przy pomocy odpowiednich zastrzyków hormonalnych dowolnie ustalać płęć płodu.

— Niestychane! — zdumiał się Drucki. — Zatem każda kobieta będzie mogła według woli mieć syna lub też córkę?

— Tak.

— Wspaniale!

— Mało tego — uśmiechnął się Japończyk. — Dokładne poznanie sekrecji wszystkich gruczołów da jeszcze bardziej rewelacyjne skutki. Jeżeli pan zechce, będzie pan mógł decydować o wzroście, o sile fizycznej, o kolorze włosów i skóry swego potomstwa.

— Fenomenalne! I wszystko przy pomocy zastrzykiwania takich, czy innych hormonów?

— Oczywiście.

— No, a, czy można będzie wpływać także na rozwój inteligencji, na poziom umysłowy dziecka?

— Przypuszczam, że tu także hormony odegrają swoją rolę. Narazie zaś jest to już teraz do pewnego stopnia, możliwe przez stosowanie hipnozy..

— Nie rozumiem — przerwał Drucki.

— To bardzo proste — z uśmiechem wyjaśnił Japończyk — kobiecie ciężarnej w śnie hipnotycznym sugeruje się pewne wrażenia, które, ustalając się w jej psychice, oddziałują na tworzenie się psychiki płodu...

— Tak — westchnął Brunicki — ale nie myśl, by w tym względzie można było osiągnąć wyniki bo-daj zadawalające.

— A to dlaczego?

— Bo, primo, poglądy te pozostają jeszcze w dziedzinie teorii, a secundo nie mogą być sprawdzo-

ne w praktyce, gdyż eksperymentowanie jest zakazane prawem.

Wstali od stołu i zapalili papierosy.

— W każdym razie — zachwycił się Drucki — to jest poprostu cudowne! Do czego dochodzi geniusz człowieka!...

Japończyk zatrzymał go ruchem ręki:

— Niech się pan tak nie entuzjazmuje umysłem ludzkim. Są istoty, które od milionów lat umieją dowolnie wpływać na formowanie się swego potomstwa. Chodźmy do biblioteki. Zaraz panu pokażę rezultaty ich systemu.

— O jakich istotach pan mówi?

Japończyk sięgnął na półkę i zdjął z niej tom, oprawny w skórę.

— O mrówkach i termitach. Zwłaszcza o termitach.

Odwrócił kilkadziesiąt kart i podsunął Druckiemu barwną tablicę:

— Widzi pan te owady?

— Tak. To są różne gatunki termitów?

— Myli się pan. To jest czternaście różnych typów jednego i tego samego gatunku, wyhodowanych z indytrycznych pod każdym względem jajeczek.

Istotnie, trudno w to było uwierzyć. Tablica przedstawiała owady niemal zupełnie do siebie niepodobne. Jedne małe z olbrzymimi głowami, drugie skrzydlate, trzecie posiadające oczy, inne całkiem pozbawione szczęk. W samym środku był olbrzymi owad.

— To jest matka — objaśnił Japończyk — ta dama ma zwyczaj znoszenia przez całe życie, trwające do piętnastu lat, znoszenia trzech tysięcy jajeczek na godzinę i jest osiem tysięcy razy większa od każdego termita. Gdy zdecyduje ze starości, termity z pierwszego lepszego jajeczka wyhodują jej następczynię. Z tegoż samego jajeczka mogą jednak równie dobrze wyhodować każdy z czternastu typów, różniących się

morfologicznie do tego stopnia, że uczeni przez całe wieki uważali je za całkiem różne stworzenia.

— No, dobrze — dziwił się Drucki — ale jakże one to robią?

— Niestety, na to pytanie nauka jeszcze odpowiedzi nie dała. Wiadomo tylko, że nie decyduje tu rodzaj pokarmu, gdyż wszystkie trmity żywią się wyłącznie celulozą. Natomiast ilości pokarmu są zmienne, no i prawdopodobnie stosowane są już na jajeczkach masaże, tudzież termo- i hydropatja. Jak pan widzi, trmity wyprzedziły znacznie człowieka w umiejętności hodowania swego gatunku tak, by społeczeństwo miało specjalistów do różnych prac.

— Kapitalne! — zawołał Drucki.

— Teraz chyba nie imponują ci już te wyniki, do jakich doszła biedna ludzka nauka? — zapytał Brunicki.

— Czyżbyś sądził, że kiedyś i ludzie będą, jak trmity hodować kilkanaście typów człowieka?

Profesor z powagą skinął głową, a Japończyk powiedział:

— Naturalnie. Będziemy wtedy mieli monstrualnie silnych robotników fizycznych, naukowców o olbrzymim mózgu, pianistów o niesłychanie rozwiniętym słuchu i o palcach znacznie dłuższych...

— Boże drogi! — wybuchnął Drucki. — I przecie mówicie mi to panowie! Ludzie wielkiej wiedzy! A brzmi to, jak fantastyczna powieść!

Profesora wezwano do telefonu. Drucki pozostał z doktorem Kunoki, który w dalszym ciągu tłómaczył mu działanie różnych hormonów.

Było już ciemno na dworze, gdy Drucki pożegnał się z nim i z Brunickim.

— Dowidzenia — ścisnął dłoń profesora — a wpadnij do „Argentyny“. Nie pożałujesz.

— No dobrze, dobrze, spróbuję — uśmiechnął się Brunicki.

Gdy znaleźli się w przedpokoju, Drucki zapytał:

— Więc nie chcesz widzieć tego chłopca?

— Nie, nie!... Zresztą zadzwonię do ciebie... To nie ma celu...

— A kiedy zbadasz krew, proszę cię, Karolu, zawiadom mnie o wyniku.

Brodaty służący zamknął za nim furtkę i z nieoczekiwaną życzliwością powiedział przez kratę:

— A niech pan uważa, bo dziś ślisko.

— Dziękuję — kiwnął mu Drucki — będę się trzymał wiatru.

Istotnie po całodziennej odwilży chwycił lekki mróz i wszystko pokryło się szkliwem gołodem. Niebo zaczynało się iskrzyć. Na zachodzie różowiło się ostatnimi resztkami dnia.

W hotelu czekał Załkind, co zdziwiło Druckiego, gdyż nie było to w jego zwyczaju. Ani do „Argentyny“, ani do „Bristolu“ nie przychodził nigdy.

Okazało się, że tym razem szło o rzecz ważną. Gdy znaleźli się w numerze Druckiego, Załkind po paru słowach wyjaśnił:

— Pamięta kapitan, co mówiłem o moim kontrakcie leśnym i o tych łobuzach Fajersonach?

— A tak. Miljonowa historia?

— Miljonowa — potwierdził żyd. — Otóż oni zawładnęli moim kontraktem i chcą przystąpić do wycięcia lasu. Ja nie wiem, co mam robić? Przecie nie dam sobie wydrzeć takich pieniędzy.

— Podać do sądu.

Załkind zaczął tłumaczyć, dlaczego tego zrobić nie może. Na przeszkodzie stoi fakt, że obie strony nie są tu z prawem w porządku. Pozostaje tylko siłą lub podstępem odebrać kontrakt. Otóż, czy kapitan nie zgodziłby się pojechać do Białowieży i załatwić się z tymi Fajersonami?

— Kiedy trzeba jechać? — krótko zapytał Drucki.

Załkind wyjaśnił, że jeszcze nie wie — może za

tydzień, a może i za kilka miesięcy. Chodzi tylko o zasadniczą zgodę kapitana.

— Więc dobrze, może pan na mnie liczyć.

Zalkind mocno potrząsnął jego ręką. Dodał jeszcze parę szczegółów i, biorąc kapelusz, powiedział:

— Mam jeszcze jedno do kapitana.

— Cóż takiego? — wesoło zapytał Drucki, widząc zakłopotanie gościa.

— Widzi pan, kapitanie, jutro są imieniny Luby. To ona się martwi, że kapitan nie wie. Niech pan nie zdradzi mnie, że ja pana uprzedziłem, ale jej będzie tak przyjemnie, jak się okaże, że pan pamiętał. Czy dobrze?

— Ależ dziękuję panu, Jack, oczywiście będę u was!

— I to jeszcze — uśmiechnął się Zalkind — że u nas wieczorem będzie dużo gości. Ale co to za towarzystwo? Sami Żydzi!... To nie dla pana...

— Niby dlaczego!...

— Nie dla pana i już. Ja wiem, co mówię. Ale na obiedzie to my będziemy sami i tylko moja siostrzenica, studentka. Jakby pan tak niespodziewanie przyszedł, tożby się Luba ucieszyła!

Drucki solennie obiecał, poczem przystąpił do omawiania interesu. „Argentyna“ rzeczywiście dawała poważny dochód i Zalkind był zachwycony. Robił trochę wymówek Druckiemu za to, że ten przysłał mu księgi buchalteryczne do sprawdzenia, ale przyznał, że takimi księgami to warto się pochwalić.

— No i widzi pan, kapitanie, — powiedział na wychodnem, — że miałem rację. Pan to żywy kapitał!

Jeszcze raz poprosił o przemilczenie tej wizyty przed Lubą i wyszedł.

— Ten ją kocha! — pokręcił głową Drucki i pomyślał, że sam nie byłby zdolny do takiej miłości. Kochał kobiety, żyćby bez nich nie umiał i nie miałby pogo, ale kochał wszystkie. Niemal w każdej odkrywał jakiś nowy indywidualny wdzięk, jakiś niespoty-

kany szczegól urody, rys temperamentu, czy oryginalny ustrój psychiczny, który go pociągał.

Nie umiał i nie chciał wyrzekać się tych powabów życia, które urobiło jego bujną naturę, intensywnego życia, wysysanego do ostatniego włókna.

Przebrał się i pojechał do „Argentyny“.

Wszystko było w porządku, wszyscy na swoich miejscach, w oczekiwaniu na publiczność, która niebawem zacznie napływać.

Przejrzał zamówienia na stoliki i łóżka i powiedział kasjerowi:

— No, dziś będzie ładne żniwo! Wszystkie łóżka zamówione i to nie przez byle kogo.

— Ba — wyszczerzył zęby kasjer — a ile osób musieliśmy odprawić z kwitkiem. Telefonował dyrektor Szulc, później ten Radwan, co to ma konie na wyścigach, jakiś cudzoziemiec, mecenas Łęczycki, inżynier Fum...

— Co?! — przerwał Drucki — mecenas Łęczycki? Kiedy telefonował?

— Może kwadrans temu.

— I co? Chciał łóżko?

— No tak, panie dyrektorze, ale już były wszystkie zamówione. Później dzwonił pan Krupin...

— Czekaj pan, do pioruna! Gdzie książka telefoniczna. Daj pan!

Szybko przerzucał kartki katalogu. Znalazł numer i zadzwonił:

— Tu mówi Winkler. Dobry wieczór panu mecenasowi.

—

— Podobno pan mecenas chciał dziś mieć łóżko u mnie?

—

— Panie mecenasie, dla pana zawsze. Jakoś sobie dam radę. Pan będzie łaskaw. Zarezerwuję.

—

— Niezmiernie mi miło. Do zobaczenia.

Położył słuchawkę i podniósłszy wskazujący palec, powiedział:

— Uważaj pan! Ile razy mecenas Łęczycki chce mieć łożę, łoża musi być! Co innego stolik na sali, ale łoża musi być!

— Ależ, panie dyrektorze — sumitował się kasjer — wszystko było zajęte!

— To uwolnić! Pokaż pan spis... O, patrz pan, naprzykład ten Holzer. To bardzo miły chłop i napewno się nie obrazi. Dzwonź pan do niego i przeproś, że nie możemy służyć, że zaszła pomyłka i daj mu pan stolik przy orkiestrze. On lubi hałas.

Przejrzał się w lustrze i przesunął dłonią po podbródku:

— Jak pan myśli — zapytał — czy nie warto się ogolić?

— Ależ poco? Pan dyrektor zupełnie przyzwoicie wygląda.

Do gabinetu weszła panna Tecia i Drucki z miejsca ją zapytał:

— Jak, mała, nie uważa pani, że powinienem się ogolić?

Zaśmiała się.

— Nie. Im gorzej będzie pan wyglądał, tem lepiej.

— Więc dobrze — odpowiedział półgłosem, gdy kasjer zabrał się do telefonu — dobrze zazdrośnico, nie ogolę się, a ty pierwsza będziesz ukarana. Nie narzekaj, gdy ci buzię pokłuję!

Pogroził jej palcem i poszedł do bufetu.

Goście zaczęli się schodzić, orkiestra już grała. Zajrzał do garderoby „artystek“. Była tylko signorita Fiametta, która mierzyla błyszczący diadem z różnobarwnych szkiełek.

Na widok Druckiego sponsowała i, oparłszy się plecami o ścianę, zapytała:

— Co pan dyrektor każe?

— Drucki wziął ją pod brodę:

— Nie złość się mała, co cię znów ugryzło?

Kazia zacisnęła wargi.

— No, mówże, mała!

— Pan jeszcze pyta?! — wybuchła. — Myśli pan, że nie wiem, że ta Teczka, ten ślimak, ta dziewczica patentowana, ta fałszywa gęś do pana chodzi! Wszystko wiem, widziałam wczoraj sama! Tak na własne oczy!

Gwałtownie oddychała, zaciskając pięści.

— No i cóż z tego, żeś widziała? — zimno zapyta, Drucki.

Ponieważ milczała, dodał:

— Co ci do tego?... Nie tylko tamta bywała, ale i inne. Bywały, bywają i będą bywać. Zwarzowałaś, czy co? Może upstrzyłaś sobie, że przysięgnę ci wierność?

— Tak, tak.. bo ja jestem taka...

Drucki wzruszył ramionami:

— Ani taka, ani owaka. Jesteś taka, jak każda inna i masz takie same prawa, to znaczy, że nie masz żadnych. Chcesz, dobrze — nie chcesz drugie dobrze. Śmieszna jesteś.

Chwyciła go za rękę:

— Nie gniewaj się! Ja przepraszam, to ta głupia zazdrość.

— Nie gniewam się. Ale wymagam, byś była rozsądna. I ani mi się waży zrobić jakakolwiek przykrość pannie Teci.

— Nienawidzę jej.

— Na zdrowie. Ale uprzedzam, że jeżeli tylko coś... No!... To rozstaniemy się z trzaskiem. A teraz daj pyszczek i przebieraj się.

Zarzuciła mu rękę na szyję. Drucki pogładził ją po włosach i wyszedł.

Obchodził salę, witając się z bywalcami.

— Przyjdzie, czy nie przyjdzie? — myślał.

Zapowiedział służbie, by natychmiast zawiadomiono go, skoro tylko przyjdzie towarzystwo mecenaśa Łęczyckiego. Zatrzymał kwiaciarkę i kazał jej wy-

brać pęk, duży pęk róż dla pani, która będzie w łoży Nr. 9.

— Wiem, panie dyrektorze, uśmiechnęła się dziewczyna — mają być najładniejsze i białe.

— Tak... albo, hm... niech będą czerwone.

Przyszła około dwunastej z mecenasem i z tym pocziwym doktorem. Może bywaliby częściej, ale ceny „Argentyny“ prawdopodobnie są na ich kieszeń za wysokie. Drucki zatrzymał kelnera:

— W dziewiątce, panie Wrzosek, proszę liczyć o trzydzieści procent niżej.

— Dobrze, panie dyrektorze.

— Ale! Tylko delikatnie, rozumie pan? Nie rabat z całego rachunku, tylko każdą pozycję obniżyć. Kasjerowi wydam dyspozycję.

Drucki umyślnie do pierwszej nie poszedł na górę. Widział z kąta, jak kwiaciarka odniosła róże, widział, jak z łoży wyglądano. Dopiero, gdy zaczęły się produkcje, zjawił się w łoży Łęczyckiego.

Alicja tu była trzeci raz, a za każdym razem wydawała mu się ponętniejsza. Od dawna nie interesowała go tak żadna kobieta. Instynktownie trzymał się w jej obecności nieco sztywno, lecz nie usiłował wcale maskować swego zachwyty dla jej urody.

Czuchnowskiego obecność Druckiego doprowadzała do rozpacz. Czuł się przy nim słabym i bezbronnym, tem bardziej im więcej Drucki okazywał mu pobłażliwej życzliwości. Doktor wszystkimi siłami odpędzał od siebie myśl, że Alicja upodobała sobie „Argentynę“ właśnie dla dyrektora Winklera. Cóż nadzwyczajnego, że skoro już tu jest, zamieni z nim kilka zdań? Ten Winkler, chociaż Amerykanin, jest wcale comme il faut...

Orkiestra huczała oszalamiającym rytmem, powietrze przesycone zapachem wina i perfum podniecało. Łęczycki gęsto dolewał konjaku.

Gdy Alicja z uśmiechem dziękowała za róże, Drucki powiedział:

— Pragnąłbym, by nie straciły świeżości do czasu, gdy będę miał możność zastąpić je innemi.

— Zbyt wiele wymaga pan od kwiatów — spojrziała mu śmiało w oczy — chociaż lubię róże i zapewniam pana, że dołożę wszelkich starań, by przetrwały jak najdłużej.

— Złe mnie pani zrozumiała — zaproponował — Ja wolałbym, by zwiędły do jutrzejszego wieczoru.

— Nie ma pan współczucia dla kwiatów — udawała, że nie zorientowała się w jego intencjach.

— Cóż robić — westchnął z komiczną skruchą — jestem egoistą.

Czuchnowski poczerwieniał i zapytał:

— Jak to mamy rozumieć?

Zanim Drucki zdążył otworzyć usta, Alicja wyjaśniła:

— Dyrektor Winkler dba bardziej o frekwencję publiczności, niż o życie róż.

— Che... che — z dowcipną miną wtrącił Łęczycki, obierając banana — nie czas żałować róż, kiedy, panie drogi, lasy płoną.

Powiedział to ni w pięć, ni w dziewięć, sądząc, że robi dobry dowcip, lecz Alicja niewiadomo dlaczego zmieszala się i zapytała:

— Czy urządzi nam pan dzisiaj kocią muzykę?...

— Nie — z tajemniczym podniesieniem brwi odpowiedział Drucki — na dziś mam coś nowego.

— O! Znowu coś nowego? Więc też i nie rebusy muzyczne?

— Nie.

— Niechże nam pan wyjawi tę tajemnicę. Musi pan uwzględnić to, że jako kobieta, jestem zadowolona.

— Więc dobrze, ale powiem to tylko pani. Panie będą cierpliwi.

Pochylił się do ucha Alicji, lecz Czuchnowski zawołał:

— Nie, nie! Niech dyrektor **nie** mówi. Lepiej mieć niespodziankę.

Alicja uśmiechnęła się doń słodko:

— I sądzisz, że pan Winkler mi nie powie?

— No — spieszył się jej tonem doktor — tak myślę...

— Zatem będziesz miał jeszcze jedną niespodziankę. Słucham, dyrektorze.

Umyślnie tak zbliżyła ucho do ust Druckiego, że omal ich nie dotknęła. Zapach jej włosów i skóry nappełnił jego nozdrza.

— Niech pani ma trochę litości dla doktora — szepnął przerywanym głosem.

— Nie wart jej — powiedziała głośno, nie odrywając ucha — więc?

— Będzie zabawa w kozy neapolitańskie — szepnął.

— Dziękuję — skinęła głową — to może być ciekawe.

Drucki przeprosił towarzystwo i zbiegł na salę.

Po kilku popisach i kilku ogólnych tańcach zjawił się w środku ringu witany oklaskami i zaczął objaśniać: — pod Neapolem jest multum kóz i owiec. Całe stada. O zachodzie stada wracają do zagród i drogi polne wyglądają wówczas, jak spienione potoki białej wełny, nad którymi unosi się nieustająca wielotonowa symfonia.

— Proszę państwa! Nazwałbym tę symfonię be-ee-mol, gdyby nie było w niej i meeee-mol! Dlatego zwracam uwagę na konieczność uwzględnienia sprawiedliwego podziału między kózki i owieczki! Nie namawiam was, drodzy państwo, byście beczeli z przekonania. I tak wiem, że to zrobicie. Wystarczy, jeżeli pamiętać będziecie o strzyżeniu, jakie was nie ominie pod postacią rachunku!

Hałas śmiechu i oklasków nappełnił salę. Jakiś tęgi niski jegomość z sumiastemi wąsami zerwał się od stolika i ryknął:

— Setny chłop z pana! Jak Boga jedyne go kocham! Niech mnie piorun strzeli, ale takiemu dam się nawet ostrzyć!

Siwiejąca dama przemocą ciągnęła grubasa za poję, reflektując go:

— Siadajże! Wszyscy patrzą!

— Dajże mi spokój — zirytował się wąsał — to cóż z tego, że patrzą! Właśnie niech patrzą!

— Brawo! Brawo — wołano zewsząd.

— Dyrektorze — z coraz większą pasją wołał grubas — „brudzia“! Napiję się z panem „brudzia“! Niech mnie piorun trzaśnie!

— Z rozkoszą! — ze śmiechem zawołał Drucki.

Grubas napełnił dwa kielichy, wypili wśród radości całej sali, poczem wąsał wziął w objęcia Druckiego, a właściwie jego talję i zaczął ścisnąć.

Orkiestra huknęła fanfara.

Drucki zwolna się wyprostował i oto nogi grubasa zawisły w powietrzu. Przylepiony do wysokiej sylwetki Druckiego wyglądał, jak olbrzymi pękaty worek.

Drucki zwolna zaczął się obracać w kółko. Raz, drugi, trzeci, coraz prędzej. Nogi grubasa opisywały, teraz szerokie koło, orkiestra przeszła w furję rytmu, bęben zaterkotał.

— Brawo! Brawo! — krzyczano

Mężczyźni zbliżyli się do ringu. Z łóż sypały się oklaski.

Wreszcie Drucki stanął, jak wryty, niespodziewanym chwytem pod ramiona podniósł grubasa na całą długość rąk i postawił na ziemi.

Nieopisany hałas napełnił salę. Grubas nieco skonsternowany ścisnął rękę Druckiego i chwiejąc się na nogach, nalewał mu wina. Wszyscy wstali z miejsc, niektórzy, stojąc na fotelach wymachiwali rękoma, jakiś pan wgramolił się na brzeg basenu fontanny, zachwiał się, rozpaczliwym ruchem usiłował uratować równowagę, chwytając się za strugę wody i chlupnął do basenu, rzęsiście opryskując sąsiednie stoliki,

przy których na szczęście w tej chwili nikogo nie było.

— Topielec! Ratować tonącego! — rozległy się wesołe krzyki.

— Rzucić mu pas ratunkowy!

— S. O. S.!

— Ratunku! Ratunku! — wydierał się topielec, siedząc wygodnie w wodzie i ani myśląc wychodzić.

— Panie! Tu nie wolno się kąpać! Wylaż pan na plażę!

— Panowie! Pole do popisu dla bohaterów! Medal za ratowanie tonących.

Wśród niebywałej wrzawy wydobyto go z wody, służba owinęła pechowca w wielki obrus, z pod fałd którego dochodził gromki głos:

— Na miłość boską dajcie konjaku! Pół mego królestwa za kieliszek konjaku!

Podczas, gdy gwar nie ustawał, wyniesiono ofiarę katastrofy do gabinetu dyrekcji. W pięć minut potem pomocnik portjera pędził samochodem do domu uszkodowanego, a po kwadransie wrócił z kompletem garderoby, gdyż gość uparł się, że nie wyjdzie. Jego powrót sala powitała gromkimi brawami.

Tymczasem rozpoczęła się zabawa „becząca“.

Alicja siedziała nieruchoma. Jej czarne oczy, do połowy przysłonięte powiekami, wyrażały bunt i gniew. Ileż radości kipiącego życia jest na świecie! Dlaczego, dlaczego przepływa to obok niej, dlaczego nie może się w tej fali zanurzyć? Dlaczego ten człowiek zajmuje się tym tłumem? Przecie musi czuć, że fala ta obok niej przepływa... Czy chce tę falę tak rozhuścić, by sięgnęła aż tutaj...

Drucki stał w środku i dyrygował.

Sala rozbrzmiewała bezsensownem, głupiem, miedorzecznem beczniem, rozkosznem, dziecinnem, żywiołowem... Ta wspaniała orla linja czaszki... ten imperatywny załam linji brwi, iskrzące się oczy i to

ubranie, któremu się tylko zdaje, że okrywa smukłe mięśnie.

Ocknął ją brzęk i lekki ból: tak, zgmiotła w rękę kieliszek.

Krew i wino rozpląnęły się na obrusie barwną mapą.

— Boże! — jęknął Czuchnowski i zerwał się z miejsca. — Alu! Co ci jest?

— Rozbiłam kieliszek — wzruszyła ramionami.

Doktór umoczył serwetę w kubie z lodem i pieczołowicie wycierał pokaleczoną dłoń.

— No, szczęście — mruzczał — że to tylko powierzchowne.

Obwiązał jej rękę chusteczką.

— Chodźmy — powiedziała Alicja

Zbierali się do wyjścia i doktor wziął różę, lecz Alicja zatrzymała go:

— Nie, tak nie można. Gotowe zmarznąć. Każ kelmerowi zapakować w bibułkę i jeszcze w gruby papier.

W westybiulu spotkali Druckiego. Stał z jakimiś panami, lecz zaraz ich przeprosił i zbliżył się do Alicji.

— Bardzo dziękuję państwu — powiedział z głębokim ukłonem — i proszę pamiętać o „Argentynie“.

Służba podawała Czuchnowskiemu i Łęczyckiemu futra.

— Nie wiem — odezwała się patrząc na sufit Alicja — czy będę miała czas...

— Musi pani znaleźć — uśmiechnął się do niej z jakąś niespodzianą dla obojga poufalością.

— Dlaczego to aż muszę? — zmierzyła go zimnem spojrzeniem.

Sądziła, że się zmiesza, lecz Drucki nie opuścił oczu i powiedział krótko, bez uśmiechu:

— Bo proszę. Bardzo proszę.

Przygryzła wargi i odwróciła się do szatni:

— No? Jeszczeście nie gotowi?

— Już, już — oznajmił Łęczycki borykając się z rękawem.

Alicja skinęła Druckiemu głową i nie podając mu ręki wyszła.

Portjer z domyślnym uśmiezkiem zapytał:

— Co, panie dyrektorze, klasa kobita?

— Co? — ocknął się Drucki — klasa? Macie rację, braciszku! — dodał ze śmiechem i tak go klepnął po ramieniu, aż ten przysiadł.

Łęczycki zaproponował Alicji, że ją odprowadzi, lecz ta podziękowała:

— Mam z doktorem do pomówienia. Siadajmy, Władku, tylko uważaj! Zgnieciesz kwiaty!

— Słucham cię, Alu — odezwał się Czuchnowski, gdy wóz ruszył.

— Poczekaj, pomówimy na miejscu.

— Czy to wypada — zafrasował się doktor — bym teraz, w nocy, wchodził do twego mieszkania.

W odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami.

Przeczuwał przykrą rozmowę i bezradnie spoglądał na zegarek. Ona jednak nie zwracała nań żadnej uwagi.

Przemówiła dopiero wówczas, gdy znaleźli się w jej pokoju:

— Proszę cię, byś mi wyjaśnił, co mają oznaczać twoje niemądre odezwania się i dzikie miny?

— Jakie miny?

— Nie udawaj. Wiesz doskonale, że mówię o twoich manifestacjach przeciw panu Winklerowi.

— Chyba... chyba... nie możesz się temu dziwić... przecie kocham ciebie...

— I cóż z tego?

Czuchnowski zbladł:

— Przecie nie mogę znosić, by ktoś tak nachalnie zachwycał się tobą, jak ten... ten...

— Dlaczego? Cóż ci to przeszkadza? — niemal prowokacyjnie zapytała Alicja.

— Przeszkadza! Przeszkadza, bo mam oczy —

wybuchnął doktor — bo widzę, że tobie to sprawia przyjemność, bo widzę, że on też się tobie podoba! Lecz dość tego! Moja cierpliwość też ma swoje granice! Więcej nie pójdziemy do tej spelunki!

Alicja wybuchnęła śmiechem:

— że co? Co ty mówisz? Cha... Cha... To paradne!... Od kiedy to nauczyłeś się tego tonu?

Czuchnowski nie panował nad sobą:

— Dość tego! Mam tego powyżej uszu! I tej spelunki i tego draba i tych jego ohydnych kwiatów!

Chwycił nierzopakowane jeszcze róże i cisnął nimi o podłogę.

Alicja drgnęła.

— Podnieś! — powiedziała groźnie.

— Nie podniosę!

— W tej chwili podniesiesz — powtórzyła spokojnie.

Czuchnowski jęknął, podniósł bukiet, poczem bezsilnie upadł na krzesło.

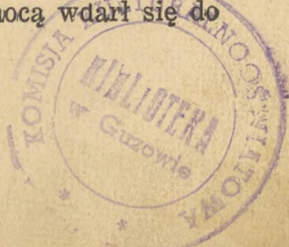
Zapanowała cisza. W sąsiedniej jadalni zegar wybił szóstą.

— Dlaczego, ja tak ciebie kocham, dlaczego tak kocham — wybuchnął goryczą Czuchnowski — och nie dziwię się teraz twemu mężowi, że cię porzucił, że zwarjował...

— Mylisz się — obojętnym głosem zaprzeczyła Alicja — mój mąż porzucił mnie z innego powodu. Zawsze był ciekaw, dlaczego? Nigdy nie zdobyłeś się na zapytanie mnie o to. Teraz powiem ci sama. Paweł podczas nocy poślubnej przekonał się, że nie byłam dziewicą... I nie mógł tego znieść, nie mógł, nie umiał z tem się pogodzić... Porzucił mnie, chociaż nie przestał mnie kochać, a nawet obwiniać mnie nie miał prawa...

— Jakto, nie miał prawa?...

— On tak mówił i ty też to przyznasz. Straciłam niewinność mając lat czternaście. Silny był, szedł za mną ulicą, wszedł na schody, przemocą wdarł się do



mieszkania, w którym, niestety, nikogo nie było. Wziął mnie gwałtem...

— Straszne!... — jęknął Czuchnowski. Alicja zacisnęła palce:

— I widzisz, Paweł pomimo to, nie mógł mi przebaczyć!...

— Ależ na miły Bóg! Czyż nie było nikogo w pobliżu? Czyż nie mogłaś krzyknąć?!

— Owszem — wzruszyła ramionami — broniłam się, krzyczałam, wreszcie ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Wówczas on wyskoczył oknem z pierwszego piętra... Bardzo był silny i zręczny...

— No i co? Paweł nie uwierzył ci?

— Uwierzył. Musiał uwierzyć. Przecie wówczas zrobiła się wielka awantura, z policją, z badaniami lekarskimi, z kompromitacją całej mojej rodziny. Paweł mógł nawet znaleźć opis w dziennikach...

— Straszne! A ten łotr? Złapali go?

— Nie. Zresztą cóżby to mi pomogło. Paweł i tak nie wróciłby do mnie.

— Pocoś mi to powiedziała? — zawołał magle z wyrzutem.

Alicja założyła nogę na nogę i potrząsnęła głową.

— Opowiedziałem to dlatego, byś wiedział, dla jak szaleńcych, jak zbrodniczo głupich pretensyj, Paweł złamał życie i mnie i sobie. Niedorzeczna, potworna zazdrość o moją przeszłość, której nie byłam winna, zazdrość o moją krzywdę... O, mój drogi!... Dlatego właśnie oowiedziałam ci to wszystko, byś pojął, że za żadne skarby na świecie nie będę żoną człowieka, który z zazdrości dostaje obłędu, przestaje panować nad swemi nerwami i potrafi urządzać sceny. Chcę być niezależną panią swoich zamiarów, a chociażby, zachcianek. Dziś poznałam cię dostatecznie. I miałeś słuszną, żeś powiedział słowo: „dość“.

— Alu!...

— Nie przerywaj, proszę. I jeszcze jedno: bądź tak uprzejmy, nie rób tu tragedyj. Postanowiłam zer-

wać narzeczeństwo. Od początku było ono warunkowe i od początku nie miało sensu. Wiedziałeś, że nie Kocham ciebie, że na uczucia macierzyńskie jesteś za stary, a na uczucia kobiety — za słaby. Dość tego. Uroiłeś sobie jakieś prawa do mnie.

— Przecie, sądzę, że jako narzeczoney mam prawo...

— Jesteś naiwny. Jeżeli wobec kobiety mężczyzna powołuje się na swoje prawa, dowodzi tem, że nie ma żadnych. Prawem dla kobiety jest bezprawie, narzucona wola, przemoc moralna. Takie prawo kobieta czci i sama w sobie nosi jego sankcje.

Wstała i rozwinęła kwiaty. Pokój napełnił się zapachem róż.

— Cieszę się, że zrozumiałeś mnie — ciągnęła, ustawiając bukiet w wazonie — małżeństwo nasze byłoby niedorzecznością. Przyznasz chyba, że nigdy nie potrafiłbyś narzucić mi swojej woli, a ja nie znajduję przyjemności w użeraniu się o tysiące drobiazgów i w łatwych zwyczajach.

— Alu — szepnął nie patrząc na nią Czuchnowski — błagam cię, byś cofnęła swoją decyzję i daję ci słowo, że nigdy już nie dam ci powodów do niezadowolienia.

— Pyszny jesteś — zaśmiała się — nie spostrzegasz, że temsamem dajesz mi powód więcej niż do niezadowolienia, godząc się na rolę pieska na smyczy.

— Alu!...

— Nie obrażaj się. Tak, Władku, dawno już wyzbyłam się nadziei, że będziemy mogli stanowić parę równych i jednakowo od siebie zależnych ludzi. To była utopja.

Czuchnowski zaczął mówić, prosić, zebrać chociażby o prolongatę, rozplakał się, malując beznadzieję swojej samotności, drżał na całym ciele, starając się wytłumaczyć, jak bardzo ją kocha — napróżno. Alicja nie miała zwyczajnie zmieniania swoich postanowień i on o tem wiedział.

— Trudno — powiedział panuro — porzucasz mnie.. Porzucasz dla niego, dla tego... Winklera.

— Mylisz się. Zwykle wprawdzie kobiety porzucają mężczyznę dla innego, ale ja nie jestem taką zwykłą kobietą. Bądź zdrow.

Zasunęła łańcuch, zgasiła światło w przedpokoju i przeszła do łazienki.

Kąpiel była gotowa. Rozebrała się i stanęła przed lustrem.

— Piękna jestem — pomyślała — warto być piękną.

Wyprężyła rękę. Nie czuła bólu. O skaleczonej dłoni przypomniawszy sobie dopiero wówczas, gdy ujrzała w lustrze, jak po jej wzniesionem ramieniu spływają krople krwi, zatrzymują się chwilę nad wypukłością piersi i grube, jedrne, okrągłe toczą się wdół po szeroko wygiętej linii biodra, znacząc krętą rubinową ścieżkę na złotawej skórze.

ROZDZIAŁ 8.

— Wezmę to — powiedział Drucki, wskazując jubilerowi djadem z pięciu wspaniałych storczyków.

Właściciel sklepu spojrzał nań nieufnie:

— To jest bardzo drogi klejnot — przestrzegł go.

— Drogi? Owszem, wygląda nawet na to, Cóż zrobić, skoro pan nic ciekawszego pozatem nie ma. Ile?

— Cztery tysiące — powiedział obojętnie.

— Cztery? Hm... To dużo.

— Dużo. Ale warte tego. Sto dwadzieścia cztery szafiry, czterdzieści dwie perły... a oprawa jest szczytem...

— Dam trzy pięćset — przerwał Drucki.

— Gotówką? — zdumiał się jubiler.

— Proszę.

Drucki wydobyl paczkę banknotów i odliczył.

— Szanowny pan każe specjalnie zrobić ozdobne
étui?

— Nie zwykły papierek, albo pudeleczek bez fir-
my.

— Szanowny pan chyba nie wstydzi się naszej
firmy? — uśmiechnął się jubiler — jesteśmy najstar-
szą i największą firmą jubilerską w Polsce.

— Cieszy mnie to i życzę, panu abyście się stali
jeszcze starszą firmą, ale ja chcę mieć pudełko zwykłe.

— Jak pan każe.

Mieszkanie Załkinda znowu tonęło w kwiatach.
Luba kończyła swoją tualetę. W salonie był tylko Zał-
kind i jego kuzynka, Tonia, studentka medycyny, ład-
na, drobna dziewczyna.

Drucki od razu zauważył, że jego wejście musiało
przerwać jakąś emocjonującą rozmowę, gdyż Tonia
była czerwona i zdradzała wielkie zdenerwowanie, a
Załkind miał zjadliwą minę.

— Niech pan sobie wyobrazi, kapitanie, że moja
kuzynka chce mnie nawrócić na bolszewizm...

— Przestań — przerwała Tonia — to pana nie in-
teresuje.

Drucki zaprzeczył i z żartobliwą powagą zapewnił
ją, że bardzo zajmuje go ta kwestja i że sam już nie-
raz myślał nad wstąpieniem do partji komunistycznej.

Zjawiała się Luba. W białej atlasowej sukni wy-
glądała oszałamiająco.

— Kochany kapitanie! — zawołała na jego widok
— pan pamiętał!

— Jakżebym mógł zapomnieć — z oburzeniem
zawołał Drucki.

— Drogi! Kochany! Muszę pana za to ucałować!
Borys! Odwróć się, bo chcę ciebie zdradzić.

Bez żenady zarzuciła mu ręce na szyję i mocno
pocałowała w same usta.

— Ach, Tonia! — westchnęła — żebyś ty wie-
działa, jak on całuje!

Zalkind śmiał się również, ale niezupełnie szczerze i Drucki zrobił doń oko, jakby mówiąc:

— No i opłacało się mnie zapraszać?

— Ale! — uderzył się w czoło — byłbym zapomniał! Mam coś dla pani Luby.

Wydobył pudełko i podał jej.

— Boże, jakież to cudne! — zawołała — patrz, Tonia! Storczyki! Piękne! Jakież to śliczne teraz umiej ją robić imitacje! Pan pewno z zagranicy sprowadził, bo tu nie widziałam w żadnym sklepie. Wspaniała.

Djadem przeszedł z kolei do rak Zalkinda.

— Oj! Luba!...

— Co?

— Poczekaj! — podszedł do lampy i krzyknął — Luba! — Co ty głupstwa gadasz!

— Jakie głupstwa.

Zalkind położył djadem na stole i z groźną miną zwrócił się do Druckiego:

— Co pan wyprawia, kapitanie! Jakże tak można! Przecie to oczy z głowy kosztuje! Luba! Oj, ty, głupia! Przecie to prawdziwe kamienie!

Luba schwyciła klejnot i rozszerzonemi oczyma oglądała go ze wszystkich stron.

— Takie zbytki — wyszeptwała w zachwycie — takie zbytki. Boże mój. To conajmniej dwa tysiące kosztuje.

— Dwa — przedrzeźniał ją mąż — ausgerechnet dwa? No, to już ja dam trzy i jeszcze na tem zarobię.

— Co ty mówisz!... O, Boże... kapitanie! Jaki pan kochany!

Drucki śmiał się.

— Gdybym wiedział, że tylko jeden dostanę pocałunek, tobym może nie starał się znaleźć...

Nie dokończył.

Luba chwyciła go za szyję i raz po raz zaczęła całować.

Druckiemu zacisnęły się szczęki, nieco zbladł i odsunął ją od siebie.

— Ej, Jack — powiedział cicho — niechże pana wszyscy djabli wezmą.

Załkind zaśmiał się:

— Cooo!...

W głosie jego zabrzmiała duma, że ma oto kobietę taką, jakiej drugiej nie znajdziesz na świecie.

Luba była w bajecznym usposobieniu. Obecność tych dwóch mężczyzn i jakich mężczyzn, którzy obaj jej pożądali i których obu pożądała ona, napełniała jej serce tak dziwnym i tak mocnym uczuciem. Czuła swoją kobiecość każdym nerwem, promieniowała nią i wiedziała, że jest piękna, jak migdy.

Przy obiedzie pili dużo wina. Bawili się świetnie. Tylko Tonia siedziała cicha i zgaszona.

Przytłaczał ją urok Luby, którą teraz prawie nienawidziła.

Po obiedzie Załkind puścił gramofon.

— Dziś wieczorem — powiedział — będzie orkiestra.

— Nam wystarczy gramofon — zawołała Luba i pociągnęła Druckiego na środek pokoju.

Tańczył z nią, później z Tonią i znowu z Lubą.

— Kapitanie — mówiła mu Luba do ucha — może to jest bardzo bezwstydne, co powiem, ale muszę. Czy wie pan kiedy czułabym się zupełnie szczęśliwa?

— No?

— Kiedy mogłabym mieć was obu. Borysa i pana. Obu.

Ocierала się on całym ciałem i Druckiemu kręciło się w głowie.

— Luba, dość... To już nad moje siły...

Tonia wyszła razem z Druckim.

— Czy może mnie pan odwieźć do domu? — zapytała.

— Ależ z przyjemnością.

Gdy usiedli w taksówce, Tonia wtuliła się w kąt i milczała.

— Co pami jest? — zapytał Drucki.

Nie odpowiedziała.

Wziął ją za rękę, zsunął rękawiczkę i pogłaskał.

— Smutno pani?

Wyrwała mu rękę, zakryła oczy i zaczęła płakać.

Drucki przysunął się do niej, objął ją i przytulił.

— Mnie nikt... nie... kocha... — mówiła w szlochu

— mnie nikt nie pożąda...

Druckiemu zrobiło się żal:

— No, cicho... cicho...

Podniosła mokrą od łez twarzączkę i przywarła do jego ust.

Dalszy ciąg rozmowy byłby w tych warunkach bezcelowy, to też obywali się bez niej aż do chwili gdy auto stanęło.

— Chodźmy — wzięła go za rękę.

Zaśmiał się:

— Muszę panią pożegnać, panno Toniu — próbował bronić się, lecz spojrzawszy w jej oczy, zrezygnował.

Mieszkała na trzecim piętrze. Drucki nieco speszzył się, gdy w przedpokoju eleganckiego mieszkania ukazała się starsza dama.

— To moja matka — powiedziała niedbale Tonia, poprawiając włosy przed lustrem.

Drucki uklonił się, na co dama odpowiedziała niechętnem skinieniem głowy.

— Niech się pan nie dziwi — wyjaśniła Tonia, wprowadzając go do dużego ładnego pokoju — moja matka nie bywa uprzejma dla moich znajomych. Napije się pan kawy?

— Dziękuję.

— Nie?... No to niech pan siada. Moja matka żywi się wciąż moralnością zjętą z burżuazji. Stara piosenka: — ojcowie i dzieci.

— No, ale że pozwala pani na...

— Na taki tryb życia, jaki jedynie uznaje? Och, na szczęście jestem pełnoletnia. Jeszcze na pana — zaśmiała się — mamam tak nie skrzywiła się. Jest pan

przyzwyczajony ubrany i nie wygląda na komunistę. Żeby pan wiedział, jakie tu u mnie typy bywają... Tylko niech pan nie wyobraża sobie... Bywają po trzech, po czterech, miewamy takie dyskusje. Plują na dywan, a niedopalki...

— Tونیu, i bawi panią to wszystko?

— Nie bawi — potrząsnęła głową — ale pociąga. Nowi ludzie, nowe, mocne życie... Wiem od Luby, że pan też kocha bujne życie...

Stała przed nim i zapytała.

— Kocha pan Lubę?

Zaśmiał się wymijająco.

Tonia położyła mu ręce na ramionach.

— Ale ona działa na pana. Jej bliskość pana roznamiętnia. O, widziałam to doskonale!

— Panno Tونیu, jestem jeszcze dość młody, bym odczuwał bliskość każdej młodej i ładnej kobiety.

— Czy jestem ładna? — zbliżyła twarz do jego twarzy, opierając się kolanami o jego kolana.

Wziął ją za talję i posadził przy sobie.

— Nie, tu nie chcę — oparła się i usiadła mu na kolanach — wiem, że jestem bardzo przeciętnie ładna. Ale mam dla pana radę: niech pan zamknie oczy i wyobrazi sobie, że to jest Luba.

Powiedziała to z taką goryczą w głosie, że Drucki zdecydował się na wszystko, co mogło tej małej udowodnić, że i ona jest godna pożądania.

Ponieważ zaś Tonia nie dała się zbyć byle jednym, czy drugim argumentem, było już po jedenastej, gdy znalazł się na ulicy.

Pomimo późnej godziny szedł pieszo.

— Psiakrew — myślał — tyle na świecie jest kobiet. Strasznie dużo!

Nie mógł jednak stwierdzić w sobie zmartwienia z tego powodu.

Gdy przyszedł do „Argentyny“ już kilka stolików było zajętych. Swoim zwyczajem przejrzał listę zamó-

wień na stoliki i z radością znalazł na niej nazwisko mecenasa Łęczyckiego.

Zadzwoił telefon.

— Odbierz, mała — uśmiechnął się do Teci.

— To jakiś profesor — powiedziała, odkładając słuchawkę — już drugi raz dzwoni.

— Profesor?

— Tak. Ale nazwisko mówi niewyraźnie.

Dzwonił Karol. Nie ma dziś nic do roboty i chce przyjść do „Argentyny“.

— Hurra! Czekam! — zawołał Drucki. — Ręczę ci, Karolu, że nie pożałujesz.

Z szczególną werwą zabrał się do przeglądu lokalu. Cieszył się niezmiernie W przejściu zatrzymał sięgnoritę Fiamettę:

— Kaziu! Uważasz, będzie tu dziś mój serdeczny przyjaciel. Bardzo poważny pan. Profesor. Posadzę cię przy jego stoliku i musisz go rozruszać. Rozumiesz?

— To nie pojedziemy razem?... — zapytała z zawodem w głosie.

— Ach ty, głuptasku! Obiecałem, więc pojedziemy... Jego trzeba tylko rozruszać, żeby mu było wesoło. To stary nudziarz, a chcę, żeby się ubawił i nie naciągaj go, bo to mój przyjaciel. Pamiętaj!

— Dam sobie radę — z przekonaniem kiwnęła główką.

— I staraj się być... hm.. inteligentną, rozumiesz?

— Zrobione.

Drucki zatarł ręce. Ta mała szelma istotnie była tak sprytna, że niektórzy goście naprawdę wierzyli jej, że jest córką argentyńskiego arystokraty i że ukończyła Sorbonę. Umiała kilkanaście zdań francuskich, które zostawił jej w spadku jakiś dyplomata egzotyczny i operowała tym kapitałem bez zarzutu. Powinna zająć Brunickiego.

Drucki sam czekał na niego w hallu. Przy każdym obrocie kołowrotu drzwi odwracał głowę

— Dziś pewno jakie ważne goście będą? — zapytał portjer.

— Dlaczego?

— No, bo pan dyrektor osobiście.

W tej chwili weszła Alicja z mecenasem Łęczycim.

Drucki witał ją rozpromieniony.

— Jakże się cieszę! — ucałował z szacunkiem jej rękę i kordjalnie przywitał się z adwokatem.

— „Argentyna“ — mówiła Alicja — działa kojąco na nerwy... A przytem... róże już zwiędły.

Służba zdejmowała jej bobry, więc odpowiedział tylko wymownym spojrzeniem i w tym momencie ujrzał w lustrze wchodzącego Brunickiego.

Przeprosił Alicję i przywitał profesora serdecznie:

— No, brawo! Już zatrzymałem dla ciebie stolik przy samym ringu. Służba!

Brunicki zdejmował futro i rozglądał się z połaźliwym zdziwieniem, z jakim rodzice przyglądają się zabawom dzieci. Wtem spostrzegł utkwione w sobie oczy Alicji i uśmiech na jej twarzy.

— Oho! — pomyślał i zapytał zaraz Druckiego, czy nie mógłby go lepiej umieścić gdzie w kątku? Może są łóża?

Drucki był w kłopotcie. Nie miał ani jednej wolnej łóży. Nadto Alicja, niewiadomo dlaczego fiksowała profesora wzrokiem. Wziął go więc pod rękę, wprowadził na salę i póty perswadował, aż Brunicki zgodził się zająć zarezerwowany dlań stolik.

— Owszem ładnie tu u ciebie — zaopiniował — tylko orkiestra gra zbyt głośno.

— Oswoisz się, drogi Karolu, tylko oczywiście musisz nieco poprawić swój humor. Mam zaledwie kilka butelek autentycznego przedwojennego „Benedyktyna“... Czy może wolisz szampana?...

— Nie, mój drogi—z uśmiechem odparł profesor

— skoro już tu jestem muszę spróbować, co to jest koktajl.

— Ależ wybornie!

Drucki usiadł obok niego, wybrał z karty koktajl „Old Tonny“ i zaczął zaznajamiać profesora z organizacją lokalu. Po chwili na stoliku zjawily się owoce, czarna kawa i dwa płaskie kielichy mętnawego płynu o silnym aromacie.

Brunicki spróbował i podobało mu się:

— Wiesz, że to wcale nie jest złe.

Ring zapelniał się tańczącymi. Nagie plecy kobiet połyskiwały białą ciepłą, sztywne gorsy mężczyzn robiły wrażenie sinawych. Panowie Druckiemu przyjaźnie kiwali głowami, panie posyłały mu subtelne uśmiechy, lub namiętne spojrzenia.

— A teraz, Karolu, wypijemy koktajl mego własnego pomysłu: „Boul-boul“.

Tu i owdzie z ogólnego gwaru strzelały wesołe śmiechy, orkiestra przeszła w śpiew refrenu, kolorowe oświetlenie napelnilo salę gęstym, zdawałoby się dotykalnym powietrzem.

— Mocny, ale dobry — pochwalił profesor — nie znam się na trunkach, ale w tym musi być sporo konjaku.

Drucki informował, wskazując różnych panów i panie objaśniał, kto to jest, cieszył się ze zdumienia Brunickiego, że ludzie tak poważni i tak wysoko usytuowani bywają w tego rodzaju lokalach. Wreszcie zobaczył zbliżającą się Kazię i powiedział:

— Chyba nie będziesz miał Karolu nic przeciw temu, że ta mała tu usiadzie?

— Poco? — skrzywił się Brunicki.

— To jest jedna z „gwiazd“, mistrzyni tanga argentyńskiego, monna Fiametta, vulgo panna Kazia. Miła dziewczyna. Pozwolisz?

Nie czekając na odpowiedź wstał:

— Oto signorita Fiametta.

Kazia z wdziękiem skinęła głową i wyciągnęła błyszczącą od bransolet rękę.

Brunicki, nie mając drogi do odwrotu, przywitał się z nią i wskazał jej fotel:

— Proszę bardzo.

— Ach — zwróciła się doń Kazia — bardzo mi miło. Co to? Panowie piją koktajl „Muza“?

— Nie, proszę pani, to „Boul-boul“ — z powagą odpowiedział profesor.

Panna Kazia też chciała „Boul-boul“, a Drucki, który niecierpliwie zerkał ku łożu Nr. 9, nareszcie mógł wstać.

— Przyjdę za chwilę — przeprosił.

Poszedł do gabinetu i kazał zawołać kwiaciarkę. Poklepał po policzku Tecię, przepisując rachunki i gdy kwiaciarka weszła, zawołał:

— Ma pani coś dla „dziewiątki“?

Dziewczyna zrobiła dowcipną minkę:

— Już zaniiosłam, panie dyrektorze.

— Co? Już?...

— Myślałam, że pan dyrektor i tak...

— Bardzo ci mała, dziękuję. Jesteś prawie tak domyślna, jak ładna.

Dziewczyna bezczelnie patrzyła mu w oczy.

— A chociaż wybrałaś coś lepszego? — zapytał.

— Najlepsze — powiedziała, nie spuszczać oczu.

— Ach, ty szelmo! — nie wytrzymał Drucki, przyciągnął ją ku sobie, pocałował w usta i pędem wybiegł na korytarz.

Tecia obrzuciła kwiaciarkę lekceważącym spojrzeniem:

— Dlaczego to do „dziewiątej“ miała pani wybrać najlepsze kwiaty?

Kwiaciarka wydeła wargi:

— Nie pani babski interes. Jeszcze mi się każda wtrącać będzie.

— Można chyba grzeczniej — zaczerwieniła się panna Tecia.

— O! Niby dlaczego grzeczniej? Taka wielka dama? że do Winklera się przystawia...

— Proszę wyjść! — krzyknęła Teczka.

Kwiaciarka wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi, lecz zatrzymała się na chwilę w progu, by wycelować jadowitą strzałę:

— A, że jest pani taka mądra, to powiem pani, że w „dziewiątce“ siedzi taka, co dyrektor leci na nią na całego. I warto!... Piękna, jak nie wiem co, i wielka dama. Nie taka sobie za przeproszeniem, co to cip-cip-cip na maszynie.

Trzasnęła drzwiami i znikła.

— Gadzina! Podła gadzina! — jęknęła panna Teczka.

Och, gdyby mogła w tej szarej sukience wyjść na salę i zajrzeć, kto tam siedzi w tej „dziewiątej“. Czy naprawdę taka ładna?... Pewno on tam teraz jest przy niej i „leci na nią na całego“...

Rzeczywiście Drucki siedział przy Alicji i pytał, co się stało z doktorem.

— Nudził mnie — powiedziała Alicja

— Biedak! — z prawdziwym żalem westchnął Łęczycki, już nieco zawiany.

— Chciałabym zatańczyć — odezwała się niespodziewanie Alicja.

Drucki zerwał się. Jego oczy aż nadto dobitnie wyrażały radość.

— Nie, jeszcze nie teraz. Grają tango, a ja wolałabym walca. Zwykłego starego walca.

— Ależ rozkaz! Zaraz wydam polecenie!

— Nie, nie — zatrzymała go — przedtem musimy wypić po kieliszku wina.

— Z rozkoszą.

— Brak umiejętności tańca — filozoficznie zauważył Łęczycki — jest nie do powetowania. Cóż, kiedy ja absolutnie nie mam poczucia rytmu!

— Dziwi pana zapewne — zwróciła się do Druckiego Alicja — że zdobyłam się na odwagę? Sa-

ma sobie się dziwię, ale tak dawno nie tańczyłam...
Pijmy!...

Miała dziś w oczach szczególne błyski i ruchy
bardziej ożywione, niż zwykle.

— Pan ma szalone powodzenie u kobiet — rzu-
ciła lekko.

— Zdaje się, że tak — powiedział po chwili na-
mystu.

— Przypuszczam — mówiła — że nie wiele w ży-
ciu spotkał pan takich, które pana nie chciały?

Drucki podniósł brwi:

— Nie, takich nie spotykałem wcale — powie-
dział z przekonaniem.

— Nie zbywa panu na skromności.

— Myli się pani. Stykam się bowiem tylko z ta-
kimi kobietami, które chcą bym je zdobył. A inne...
mijają mnie. Przechodzą obok. Nie istnieją dla nich,
a one nie istnieją dla mnie. Gdy ktoś szuka w lesie
malin, nie dostrzega kwiatów i odwrotnie. Poprostu
nie dostrzega. Gdy wróci, a zapytamy go: — czy też
dużo było kwiatów? — Odpowie: — bardzo dużo ma-
lin.

— Nie o to mi chodzi — przechyliła głowę Ali-
cja — pytałam, czy zbierając maliny, nie zapragnął
pan kwiatów, których zdobyć nie udało się panu?

— Widywałem je zdaleka, ale nie zatrzymywa-
łem się przy nich, bo one tego nie chciały. Ich zapach
ściągał motyle, lub pracowite pszczoły. A ja jestem —
trutniem.

Nic na to nie odpowiedziała, lecz gdy zagrano
walca i schodzili na salę zapytała:

— Dlaczego pan zatem mnie nie ominął?

— Bo... bo i pani obok mnie nie przeszła.

Ujął mocno jej kibić i zawinowali wśród kilku-
nastu innych par.

Czuł ją każdym nerwem i każdym mięśniem.
Zapach jej włosów i skóry napełniał jego nozdrza.
Jego ramię przeżyło się pod ciężarem tego pięknego

giętkiego ciała, w którym — wiedział — krew też szybszym musiała uderzać pulsem.

— Nie mogliśmy się minąć — wyrzucił przez zacisnięte zęby — byłoby to szaleństwem...

Podniosła ku niemu płonące oczy i zwolna rozchyliła wargi. Kusiła go, prowokowała i oboje doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Przycisnął ją tak do siebie, że czuł wyraźnie szybkim przyspieszonym oddechem wznoszone wypukłe piersi. Nie protestowała, nie odsunęła się od niego.

Drucki zbladł, w skroniach łomotał mu puls, nozdrza się rozděły. Gdyby mógł myśleć teraz nie o niej, zdziwiłby się sam sobie, że tańczy i nie traci rytmu.

— Prawda — szeptał — prawda? Nasze drogi musiały się skrzyżować...

Orkiestra przestała grać i stanęła w środku ringu. Drucki klaskał wraz z innymi i znowu zaczęli tańczyć.

— Tak... — przerywanym głosem powiedziała Alicja — naturalnie... Poto się skrzyżowały... bym... mogła pana obdarzyć wrażeniem... jakiego pan jeszcze nie miał...

— Moja... moja... — wpił się oczyma w jej oczy.

— Nie — potrząsnęła głową — nie pana.

— Musisz!

— Nie. Właśnie chcę, bym była tą jedyną kobietą, obok której pan przejść musi, chociaż nie chce.

— Niech pani mnie nie drażni — ściągnął brwi Drucki

— Bo?...

— Bo nie należę do tych, z którymi to można robić bezkarnie.

— Urodzony zwycięzca? — zapytała prawie ironicznie. — Pogromca?...

— Tak! Postokroć tak! I nie ujdzie mi pani...
Sama to pani wie... Musisz... musisz...

Przecie widział jej wspaniałe oczy i zachwyty ich i pożądanie.

— Musisz...

Zaśmiała się:

— Żałuję bardzo, ale nie uważam, bym musiała.

— A jednak pani dziś przyszła, jednak tańczy pani ze mną, jednak pociągam panią mocniej niż inni, niż tysiące innych. Niech pani nie kłamie, pani wie, że nie potrafi...

Orkiestra umilkła.

Przy wyjściu z ringu zapanował tłok. Posuwali się zwolna i tak znaleźli się obok stolika Brunickiego. Profesor siedział sam. Widocznie Kazia poszła się przebrać, a raczej rozebrać do swego tańca.

Niespodziewanie dla Druckiego Alicja przystała i z uśmiechem skłoniła się profesorowi. Ten nie wiedząc, co ma zrobić, zerwał się i również się ukłonił.

— Pan profesor mnie nie poznaje — swobodnie powiedziała Alicja — jestem dawną pańską słuchaczką...

W kącie sali powstał jakiś krzyk i tumult. Do Druckiego przecisnął się kelner i gwałtownie żądał jego interwencji. Cóż miał robić? Awantura w kącie wzmagala się...

— Przepraszam państwa na jedną sekundę — zawołał — drogi Karolu, może będziesz tak dobry i odprowadzisz panią do łoży.

— Ależ naturalnie — zgodziła się Alicja. Niech pan idzie.

— Pan profesor nie przypomina mi, a ja winnam mu wdzięczność i to dwukrotnie...

— Istotnie nie przypominam — tłumaczył się Brunicki.

— Nazywam się Hornowa. Pan profesor niedaw-

no był tak uprzejmy, że udzielił informacji o moim nieszczęsnym mężu, Pawle.

— Aha!... Tak, tak... przypominam sobie. Tak... biedak.

— A drugi tytuł do mojej wdzięczności — ciągnęła Alicja — to pańskie piękne wykłady, które tak wzbogaciły mój umysł. O, to już dawne czasy. Pan profesor może przypomni, gdy mu powiem swoje ówczesne, panięńskie nazwisko: Żerańska...

— Aha — uprzejmie skłonił się profesor — no, oczywiście, panna Żerańska. Naturalnie pamiętam.

W rzeczywistości nie pamiętał wcale. Odprowa-
dził Alicję i wracając na dół nagle przystanął:

— Żerańska... No... tak... Żerańska...

Nie miał pamięci do nazwisk, ale to przecież z jakiegoś powodu musiało mu się wgryźć w pamięć... Żerańska.

Gdy zajął miejsce przy swoim stoliku, signorita Fiametta już tańczyła, a w łoży na górze ujrzał Druckiego.

Brunicki kazał sobie podać jeszcze jeden koktajl i zanurzając w nim słomkę znowu się zastanowił: — Żerańska?...

Drucki siedział przy Alicji milczący.

— Cóż — zapytała — nie zaaranżuje pan dziś zabawy?

— Owszem.

— Coś nowego?

— Nie. Koby.

Alicja przymrużyła oczy:

— Jest pan lakoniczny.

— Pani woli gadatliwość?

— Dyrektorze — przechylił się do nich mecenas Łęczycy — robicie państwo wrażenie, jakbyście się pokłócili, czy co u licha? Dajcie spokój!

— Przeciwnie, mecenasie — błysnął oczyma Drucki — pogodziłyśmy się.

Alicja podniosła kieliszek.

— Wypijmy. Pan Winkler pogodził się z... losem.
— Wypijmy — ostrzegawczym tonem powiedział
Drucki — Pani Alicja, bogini losu, sama się z nim
nie pogodzi!

— Nie nie rozumiem — oświadczył Łęczycki.

— Ja też — uciał Drucki i wstał.

— Pan odchodzi? — zapytała Alicja.

— Nie. Broń Boże. Tylko wychodzę — położył
akcent na ostatnie słowo.

— Nie wiem, czy panu dzisiaj udadzą się koty.

— Dlaczego?

— Miałam wrażenie, że stracił pan humor.

Drucki zatrzymał się:

— Pani jako dziecko musiała przepadać za za-
bawkami, a raczej za psuciem ich.

Potrząsnęła głową:

— Nigdy nie lubiłam zabawek i dlatego właśnie
je psułam. Lekceważyłam zabawki.

— Dziękuję pani — skłonił się z ironicznym
uśmiechem.

— Nie pan powinien dziękować — powiedziała
lekkopodrażnionym tonem.

— Więc nie uważa mnie pani za...

— Niech pan już idzie — przerwała — publicz-
ność zacznie się nudzić.

Spojrzał na nią i z wyrzutem zapytał:

— Jeszcze jedno. Pozwoli mi pani odprowadzić
ją do domu?

— Proszę — odparła bez wahania.

Zbiegł ze schodów. Jego zjawienie się w środku
ringu sala przyjęła hucznymi brawami. Mówił.

Alicja oparła głowę o framugę łoży i słuchała.

Oczywiście, był zawsze ten sam. Z każdej nuty je-
go niskiego głosu, z każdego ruchu bił żywioł. Nieod-
party żywioł. Przyroda zakłęła w tym człowieku jed-
ną ze swych najbardziej tajemniczych sił: — życie!

Bije z niego jak gejzer. Ogarnia, zatapia...

Powiodła oczyma po sali. Kobiety... Ich wzrok

nie wymagał klucza do odczytania treści pragnień... Brał je... Coby to było, gdyby nagle jakąś mocą zniweczyć u ludzi wszystkie ośrodki hamujące, względ na przyzwoitość, na cnotę, na moralność, na jutro... Coby one wszystkie zrobiły?...

Alicja przymknęła oczy. Tak, oto biegną ku niemu, otaczają gęstą drgającą masą ciał, preżących się pożądaniem... setki ramion splatają się w sieć, setki piersi rzezi pragnieniem, chłoną go swoją kobiecością.. Natura układa je w ofiarny stos przed tym męczyzną, podświadoma potęgą zachowania gatunku, prawo doboru naturalnego... Wybierają właśnie tego samca, bo jest najbardziej męski... Selekcja... Instynkt wszechwiedzący zmusza je, te swoje ślepe narzędzia, do szukania w nim ojca ich potomstwa...

A ona sama?... Alicja drgnęła.

Przeraźliwe — „Miauuuu...!“ rozległo się wśród ciszy.

Drugie, trzecie, dziesiąte... Nizały się na dyskretną melodję orkiestry namiętne wołaniem.

— Miauuu... miauuu...

Przetarła czoło i wylała sobie wina.

Mecenas Łęczycki miauczał z pasją; jego ochrypiły od alkoholu głos drażnił nieznośnie.

Drucki na dole z powagą dyrygował. Profesor Brunicki, splótłszy ręce na piersiach, śmiał się: jego binokle nieco się przekrzywiły, nadając mu tragikomiczny wygląd.

— Mecenasie! — pociągnęła go za rękaw, — niechże pan da spokój!

— A, bo co?... — oderwał się od parapetu.

— Dosyć! Wydobywa pan z siebie tony lwa, ale dosyć.

— Wspaniała zabawa, pyszna!

— Niech pan mi lepiej przysunie kawę.

Tymczasem orkiestra po burzliwych brawach zagrała jakiegoś „foksa“ i Drucki zjawił się na górze.

— Niech pan nie siada — powstrzymała go Alicja. — Idziemy.

Odpowiedział uśmiechem.

Łęczycki uregulował rachunek i zeszli do westybiulu.

— I moje futro — kiwnął Drucki.

— Pan dyrektor wychodzi? — podbiegł zdumiony kasjer.

— Tak, ale wkrótce wracam. Niech pan czeka na mnie z kasą. Hrabiemu Posznickiemu z czwartej łoży można rachunek zapisać. Dowidzenia.

— Uszanowanie panu dyrektorowi.

Na dworze uderzył ich ciepły powiew wiatru. Ulica była sucha, wysoko na niebie lśnił księżyc.

— Pójdziemy pieszo — orzekła Alicja.

— Co? — przeraził się mecenas.

— Ja pójdę pieszo, a pan Winkler mnie odprowadzi. Pan, mecenasie, oczywiście jedzie do domu. Dobrej nocy.

Podawała mu rękę.

Mecenas widocznie przyzwyczajony był do bezapelacyjności postanowień Alicji, gdyż nie oponował. Wsiadł do najbliższego auta i mijając ich, powiewał swoim melonikiem.

— Zauważyła pani, że wiosna daje się odczuć nie tylko wzrostem temperatury?

— Tak. W powietrzu jest jakaś miękkość — powiedziała swobodnie.

— Nie mówiłem o zewnętrznych, o zachodzących zewnątrz mas zmianach w naturze — uśmiechnął się.

Alicja spojrzała nań przelotnie.

— Czy pan jest takim... barometrem?

— Bo ja wiem... W danym wypadku może to być niepewne.

— Co?

— Że wiosna idzie.

— Dlaczego? Wystarczy, jeżeli pan spojrzy na kalendarz.

— Mówiła pani o barometrze. Otóż, jako żeglarz, włóczęga i wogóle człowiek dobrze obznajomiony z kompasem, wiem, że ten przyrząd nie zawsze wskazuje północ. Czasem strzałka zwraca się ku najbliższemu przedmiotowi metalowemu.

Alicja zaśmiała się:

— Barometr też się myli?

— Wszystko możliwe.

— No, to jest bardzo zły barometr, jeżeli we mnie przeczuwa wiosnę. Mam proszę pana dwadzieścia dziewięć lat. Bliżej do jesieni.

— Nie — zaprzeczył — jesień jest okresem zamierania wiosny, która wyżyła się w lecie. A panią wiosna zawiadnęła. To nic, że ją pani opancerza...

— Wie pan co, znałam panny, które do lat siedemdziesięciu strzegły swojej wiosny. Nie przekonał mnie pan.

— W nich wiosna jest, tylko zsiadła się, jak kwaśne mleko. Ale przecież jest.

— Oryginalne ma pan poglądy.

— To nie są moje poglądy, proszę pani. Tak zdało mi się w tej chwili. Możliwe, że jest zupełnie inaczej.

Skrećili w Mokotowską i szli w milczeniu.

— Dlaczego mnie pan chciał odprowadzić?

— Bo dobrze mi z panią tak, jak i pani dobrze jest ze mną.

Nie odpowiedziała. Gdyby teraz pozwoliła sobie na jedno słowo, nie umiałaby powiedzieć innego niż to, które oddawałoby ją w niewolę.

Alicja umiała panować nad wrażeniami chwili. Doskonale zdawała sobie sprawę, że obok tego człowieka nie mogłaby utrzymać swojej niezależności. Nie wiedziała jeszcze dobrze, dlaczego odczuwa w nim pierwiastek jakby przyrodzonej władzy, władzy podświadomej, lecz niemniej zaborczej, jednak wiedziała, że nią nie owładnie.

Szedł obok zamyślony i spokojny.

— Pan jest niepodobny do wielu swoich rodaków. Ameryka nie zdołała wyrzucić na panu swego okropnego standartowego piętna.

— Jestem z całego świata — powiedział przed siebie.

— Dużo pan podróżował?

— Dużo.

— No niechże pan coś o tem powie — zawołała niecierpliwie.

— Nie. I panią i mnie teraz inne sprawy zajmują. Chyba nie zależy pani, bym ją... bawił?

— Nie.

— Pani jest prokuratorem.

— Podprokuratorem.

— Dlaczego pani tak przykry zawód obrała?

— Zależy panu na odpowiedzi?

— Tak.

— Więc... z zemsty.

— Z zemsty? Nad kim pani się mści?

— Na... sobie... Zresztą, czy to nie wszystko jedno. Wymagałoby to długich komentarzy.

— Dobrze. Opowie mi to pani jutro.

— Ani jutro, ani pojutrze... Nigdy. Nie zobaczymy się więcej.

Spojrzał na nią surowo:

— Nieprawda — powiedział twardo.

Alicji serce uderzyło mocniej. Oczywiście nieprawda! Zobaczą się jutro, pojutrze i następnego dnia i codzień...

— Prawda — odezwała się spokojnie — nie przyjdę więcej do „Argentyny“.

— Ależ to nonsens! — oburzył się, — przecie pani sama będzie tego żałowała!

Odwróciła głowę.

— Czyż nie, czyż nie? — nalegał.

— To jest obojętne — powiedziała zimno.

Nagłym ruchem chwycił ją pod rękę:

— Nie robi pani tego, nie wolno pani ani wobec mnie, ani wobec siebie.

Ścisłał tak mocno jej rękę, że uczuła ból i powiedziała stanowczo:

— Proszę, niech pan mnie puści.

Opamiętał się.

Na wschodzie niebo szarzało. Dochodzili właśnie do Politechniki.

— Nie będę widywała pana — zaczęła Alicja — kierując się pobudkami wyłącznie egoistycznymi. Powiem panu szczerze... Uwaga! — krzyknęła nagle i odskoczyła na środek ulicy.

Było już jednak zapóźno. Ciężka żelazna laska spadła na jego głowę. Skulona czarna postać rzuciła mu się z tyłu pod nogi, z przodu otrzymał silne uderzenie pięścią między oczy i nie minęła sekunda, a leżał na chodniku.

Trzeci drab przystawił Alicji długi nóż do piersi:

— Tylko cichutko, sikorko, cichutko, bo tak pomagam, że no!...

Alicja nie krzyknęła.

Widziała, że Winkler leży nieruchomo. Dwie postacie nad nim czujnie wyprostowane nasłuchiwały.

— No, jazda! — ostrym szeptem zawołał drab, stojący przy niej — zabierać frajerowi forszę, taka wasza mać! Na co czekacie! Jazda!

Obaj tamci pochylili się nad leżącym i nagle stała się rzecz dziwna.

Jeden z nich wyleciał ogromnym łukiem w górę i grzmotnął się o jezdnię, jak wór z piaskiem.

W tejże chwili drugi wywinął nogami kozła w powietrzu i znalazł się na ziemi obok Winklera.

Sekunda i zerwał się, lecz trzymany w pasie przez Winklera. Opryszek z nożem, pilnujący dotychczas Alicji, jednym susem dopadł ich.

— Uwaga! — krzyknęła Alicja i odetchnęła, wi-

dząc, że Winkler zorjentował się i zasłonił się przed ciosem, trzymanym w ramionach drabem.

Przelotnie rzuciła okiem na trzeciego.

Ten dźwignął się z trudem i pełził na czworakach w stronę parkanu placu wyścigowego. Na jezdni pozostała laska.

Nie namyślając się, porwała ją i, zamierzywszy się oburącz, chciała uderzyć tego, który właśnie usiłował dotrzeć nożem do ramienia Winklera.

Pewna była ciosu, jednakże zaszło coś niespodziewanego: Winkler rzucił trzymanego w objęciach draba na jego towarzysza i cios żelaznej laski ugodził w rękę ściskającą nóż.

Napaśtnicy porwali się z ziemi i zaczęli uciekać. Spojrzała na Winklera.

Śmiał się!

— Strasznie dawno nie miałem nic w tym rodzaju — w jego głosie zadźwięczała jakby ulga.

Po twarzy sphywała mu krew. Kołnierz futra zwisał żałośnie, prawie zupełnie urwany.

Uważnie obejrzała laskę i rzuciła ją na chodnik.

— że też nikt nie nadszedł — powiedziała spokojnie, otrzepując rękawiczki.

Drucki ocierał chusteczką krew.

— Owszem — zaprzeczył — widziałem dwóch przechodniów w wylocie ulicy Śniadeckich, ale widocznie woleli nie wtrącać się do nieswoich spraw. Torebki pani nie zrabowali?

— Nie.

— Chodźmy zatem.

Szli w milczeniu. Alicja sama nie była tchórzem. To też jeżeli jej tak bardzo ten Winkler zaimponował, to nie odwagą, lecz swą niesłychaną przytomnością umysłu, no i zęczością. Jego mózg, zmysły i mięśnie znajdować się musiały od lat w zażyłej współpracy, działały tak sprawnie, i tak błyskawicznie.

— Nie uważa pani — przerwał jej rozmyślenia — że należałoby jednak dać znać policji?

— Oczywiście. Zatelefonuję z domu. W tej dzielnicy dotychczas podobne napady nie zdarzały się.

— Myślę, że się nie powtórzą.

— Czy pan przypuszcza, że specjalnie chodzą o napad na pana?

— Skądże — zaśmiał się — z nikim nie mam tu żadnych porachunków, a większych sum przy sobie nie noszę. Poza to, gdyby ci biedacy wiedzieli z kim będą mieli do czynienia — błysnął ku niej oczyma — przypuszczam, że dobraliby sobie jeszcze ze dwóch, trzech towarzyszy.

— Tak — powiedziała — ładnie pan to zrobił. Tu mieszkam... Wejdzie pan do mnie na górę, przeemyję panu ranę.

— Dobrze.

Poprawił kołnierz.

— Widzi pani — uśmiechnął się, gdy minęli zaspanego stróża — wbrew wszystkiemu przecież będę u pani.

— Proszę zachowywać się cicho — odpowiedziała, wpuszczając go do przedpokoju — niech pan zdejmie futro.

Zapaliła światło i spostrzegła błądność jego twarzy.

— Co panu? — przestraszyła się.

— Nie, nic. Tylko... może pani pomogłaby mi zdjąć... coś w karku. Trudno mi lewą rękę...

— Zaraz.

Ostrożnie ściągnęła zeń futro. Całe wewnątrz zalane było krwią. Nad lewym ramieniem móz przebił frak i tędy się sączyła.

Trzeba było zdjąć frak, kołnierzyk, kamizelkę i koszulę. Przeprowadziła go do łazienki, pomogła się rozebrać, przyniosła bandaż i jodynę.

Rana nie sięgała, na szczęście, zbyt głęboko, lecz była szeroka i bolesna.

O wiele bardziej niepokoiła się o tę nad skronią. Tu skóra była starta od uderzenia na przestrzeni kil-

ku centymetrów, lecz mogła być uszkodzona i czaszka.

— Tu boli? — pytała, naciskając okolice rany końcami palców — a tu?... a tu?

— Nie, nie boli. Trochę mi szumi we łbie, ale głowę mam twardą.

— Obandażuję panu głowę.

— Nie. Dziękuję. Krew nie idzie to i dobrze.

— Może kieliszek konjaku?

— Dziękuję pani. Proszę mi tylko pozwolić chwilę posiedzieć.

— Może położyłby się pan?

— Broń Boże!

Krzętała się chwilę, uprzętając pokrwawione kawałki waty i myjąc ręce. Potem usiadła naprzeciw niego na brzegu wanny. Teraz dopiero przyszło jej na myśl, że oto on jest tutaj, z obnażonym torsem, z muskularnymi ramionami, że przed chwilą dotykała jego nagiej skóry, brązowej, gładkiej i lśniącej. Jakże wspaniale sklepiona pierś!... I szyja smukła a mocna, jak dąb...

Miał oczy zamknięte i półuśmiech na ustach.

I czemu, czemu... teraz nie powie jej: — położę się, a ty mnie pielęgnuj, klęknij przy łóżku... zostanę tu z tobą i tylko dla ciebie... wyłącznie...

W niezastłonięte okno uderzył pierwszy promień różowawy i żółty.

Otworzył oczy i wstał:

— Przepraszam panią. Ubiorę się.

— Pomogę panu.

— Dziękuję. Dam sobie radę. Bardzo dziękuję.

— Cóż znowu, chyba się pan nie wstydzi?

— Wstydzę się — odpowiedział z uśmiechem.

— Ale, niechże pan da spokój. Jestem tylko samarytanką.

Pomogła mu ubrać się w koszulę, która tymczasem obeschła, jednak w końcu musiała zostawić go samego, gdyż i dolną część koszuli należało ulokować na odpowiednim miejscu

Tymczasem kilku szpilkami przypięła kołnierz do futra.

— Koniecznie musi pan wezwać lekarza — powiedziała, gdy wyszedł do przedpokoju.

— Dobrze. Ale ja panią też o coś poproszę. Niech pani zostawi mnie zawiadomienie policji. Wolałbym, by nazwisko pani nie było w to wmieszane

— Ależ dlaczego?...

— Ze względu na pani stanowisko i na porę, o której nas napadnięto.

— Jak pan chce.

— Więc dobrze? Dziękuję pani i dowidzenia do jutra.

— Nie.

— Gdybym temu „nie“ miał uwierzyć, nie wyszedłbym stąd wogóle.

— Uwierzy pan wtedy, gdy już pan wyjdzie.

Potrząsnął głową, syknął z bólu, roześmiał się, pocałował ją w rękę i wyszedł.

Alicja oparła się ramieniem o drzwi i zacisnęła palce. Słyszała jego kroki na schodach. Czemuż nie wraca?! Boże, czemu nie wraca?!

Omam nie sięgnęła ręką do zatrzasku, by wybiedz za mim, by krzyknąć...

Pohamowała się. Przypomniała sobie nagle pewną głupią scenę z filmu, gdzie naiwna dziewczyna stoi przy drzwiach, wsłuchując się w kroki odchodzącego.

To wystarczyło do oprzytomnienia.

Założyła łańcuch i zgasiła światło. Nie położy się spać, już późno.

Wzięła kąpiel, ubrała się w suknię biurową i zabrała się do przeglądania aktów sprawy Szermana o przemyt tytoniu.

Tak zastała ją Józefowa, która przyszła ze śniadaniem.

— Czy panna Julka już obudzona? — zapytała Alicja.

— Już myje się, proszę pani.

— To dobrze.

Śniadanie zjadły razem.

— Żle dziś wyglądasz, Alu — mówiła Julka — oczy masz smutne i jesteś blada.

— Nic mi nie jest, kochanie. No ale na ciebie czas. Odwiozę cię do szkoły.

Julka bardzo chciała zapytać, co się dzieje z doktorkiem, lecz intuicja jej mówiła, że lepiej tego tematu nie poruszać.

Alicja odwiozła ją taksówką do gimnazjum i kwadrans po ósmej była już w sądzie. Miała tego dnia masę roboty i na dobitek, konferencję u prokuratora Martynowicza. Pomimo to nie mogła pozbyć się myśli o Winklerze.

— Wypada jednak dowiedzieć się o jego zdrowie.

Wreszcie koło czwartej zadzwoniła do „Argentyny“. Jakiś męski głos poinformował ją, że pan dyrektor nigdy o tej porze nie bywa, natomiast może jest u siebie w „Bristolu“.

Tu w centrali powiedziano jej, że owszem, pan Winkler jest w swoim pokoju i połączono.

Odezwał się wesoły głos kobiety. Może to pomyłka?

— Czy to numer pana dyrektora Winklera?

— Tak — odpowiedział głos — czy mam poprosić?

I nie czekając odpowiedzi głos zawołał:

— Do ciebie jakaś pani...

Alicja szybko położyła słuchawkę, odsunęła aparat, poprawiła kołnierzyk sukni i otworzyła następną tezkę z aktami.

— Aha... sprawa Fabjana i Marjanny małżonków Jaczków o kradzież weksli...

Ciemno już było i trzeba było zapalić lampę.

ROZDZIAŁ 9.

Profesor Karol Brunicki z mniejszą niż zwykle uwagą słuchał sprawozdania doktora Kunoki. Po dziękował mu i zamknął się w swoim gabinecie.

Długo szukał w oddawna nietkniętych szufladach biurka, długo wertował stare kalendarze i notatniki, konfrontował daty różnych zdarzeń, aż wreszcie zapisał na kartce:

„Od 25-go sierpnia do 3-go września“.

Kazał podać samochód i pojechał do biblioteki uniwersyteckiej.

Pomocnik bibliotekarza zdziwił się bardzo, gdy profesor Brunicki poprosił o wyszukanie dlań kompletów sensacyjnego dziennika brukowego z przed lat piętnastu.

— Pan profesor każe „Głos Ulicy“?

— Tak. „Głos Ulicy“ z sierpnia i września.

Po kilku minutach woźny położył przed nim na stole dwa świeżo obtarte z kurzu komplety o żółtkłym papierze.

Profesor szukał dość długo, zanim znalazł. Tytuł brzmiał:

„Zbrodnia zwyrodniałego osobnika“.

A niżej:

„Dokonał gwałtu na czternastoletniej pensjonarce i zbiegł“.

Profesor zaczął czytać:

„Wczoraj o godzinie 8-jej wieczorem uczenica klasy 6-jej gimnazjum pani Wrzecińowskiej, Marja Alicja Żer...a zauważyła, iż śledzi ją jakiś osobnik w palcie koloru żółtawego i w kapeluszu „Panama“, znajdujący się w nietrzeźwym stanie.

Osobnik ten siedł za nią od Krakowskiego Przedmieścia, aż do domu przy ulicy Smolnej 17, gdzie mieszka panna Ż. przy swym ojcu, z zawodu urzędni-

ku miejskim. Nie podejrzewając nic złego, dziewczę weszło na klatkę schodową i otworzyło posiadany kluczem drzwi mieszkania. W tejże chwili wspomniany prześladowca pchnął ją do środka i, zamknąwszy za sobą drzwi na klucz, dokonał na bezbronnej ohydneho gwałtu.

Krzyki nieszczęsnej ofiary oraz donośny hałas mebli, wywracanych przez broniącą swej czci nieszczęsną dziewczynkę, zwróciły uwagę sąsiadów, którzy zaczęli się do drzwi dobijać. Gdy wreszcie drzwi wyważono, zastano ofiarę w podartych sukienkach pograżoną w łzach rozpaczy. Otwarte okno wskazywało drogę ucieczki zwyrodniałego zbrodniarza, który wyskoczył z narażeniem życia ze znacznej wysokości pierwszego piętra na bruk i wyszedł widocznie bez szwanku, gdyż korzystając z ciemności zbiegł.

Wezwana natychmiast policja znalazła widocznie w zamieszaniu walki zgubione przez zbrodniarza dowody osobiste, listy i t. p., które ustalają niezbiecie, iż sprawcą potwornego gwałtu jest (rzecz nie do uwierzenia!) młody inżynier marynarki handlowej i słuchacz akademii morskiej Bohdan Drucki...

Profesor Brunicki przetarł czoło i czytał dalej:

„...syn znanej i szanownej rodziny ziemiańskiej z Podola. Policja natychmiast udała się do jego mieszkania, lecz okazało się, że przestępca już zdołał się ulotnić. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Drucki zbiegł zagranicę. Wysłano za nim listy gończe.

Nieszczęsny ojciec ofiary, p. Z. żerański, dowiedziawszy się o strasznym wypadku córeczki, omdlał. W szerokich kołach najlepszego towarzystwa, gdzie częstym gościem bywał Bohdan Drucki, zapanowało zrozumiiałe oburzenie“.

Profesor zamknął księgę i wyszedł.

Teraz już nie miał żadnych wątpliwości. Męczyło go pytanie:

— Czy też oni, lub które z nich zdaje sobie sprawę z faktów, które ich wówczas powiązały?

Dlatego pojechał wprost do „Bristolu“, lecz tu Druckiego nie zastał i dowiedział się, że napewno „przed świtem dyrektor Winkler nie będzie w domu“.

Profesor wrócił wobec tego do domu, przebrał się w smoking i pojechał do „Argentyny“.

Druckiego zastał w świetnym jak zawsze humorze. Na czole nad skronią miał szeroką bliznę zaklejoną angielskim plasterkiem.

— Cóż to — zapytał, wskazując na nią profesor — znowu ci przybyła jedna dziura w skórze?

— A tak — zaśmiał się Drucki — znowu miałem małą awanturkę. Musi w tem tkwić jakaś tajemnica mego przeznaczenia. Dwóch rzeczy szukać nie potrzebuję: awantur i kobiet.

Spostrzegł się, że powiedział to niepotrzebnie i spodziewał się wyrazu przykrości na twarzy Brunickiego, lecz ten powiedział, wzruszając ramionami:

— Cóż chcesz. Lubisz i jedno i drugie.

— Może i lubię. Kontentuję się tem, co los mi przeznaczył.

Brunicki tym razem zajął łóżę i poprosił Druckiego:

— Wiesz co? Mógłbyś mi przecie jeden wieczór poświęcić i posiedzieć tu ze mną.

— Dokuczyła ci monna Fiametta? — wybuchnął śmiechem Drucki.

— Chyba nie dziwisz się temu? Zresztą gada wciąż o tobie. Temat ten widocznie jej bardzo odpowiada. Ja jednak wolę już mówić z tobą niż o tobie.

— Z dwojga złego?

— Z dwojga złego — potwierdził profesor.

— No więc dobrze. Załatwię jeszcze kilka spraw i wrócę do ciebie. Czy... czy może dziś masz mi narzeczcie wyjaśnić, czego odemnie żądasz?

— Może... Czekaam.

— Za dziesięć minut będę.

Zbiegł na dół, wydał kilka dyspozycji, jeszcze raz przejrzał listę gości, zamawiających stoliki i zaklął.

— Do diabła! Cóż ten Łęczycki wściekł się?!

Od pięciu dni Alicja nie zaglądała do „Argentyny“. Początkowo brał to za kokieterję, później zaczął zastanawiać się, czy rzeczywiście nie należało poważnie traktować zapowiedzi tej dziwnej kobiety, że więcej się tu nie pokaże, wreszcie zatelefonował do Łęczyckiego, zapytał o zdrowie i wywiadał się, że mecenas sam usiłował namówić panią Horn do spędzenia wieczoru w „Argentynie“, lecz napróżno.

— Udawała tylko, że się mną interesuje — pomyślał Drucki — lecz jeżeli przypuszcza, że umrę z rozpaczy, myli się bardzo. W każdym razie dziwne.

Chociaż obiecał sobie machnąć na nią ręką, jednak wyczekiwał jej codziennie i zły był ilekroć sam siebie na tem przyłapywał. Wiedział doskonale, że nie kocha się w niej, lecz wiedział również dobrze, że ciągnie go coś do niej mocniej niż do innych kobiet. Myślał, że i z nią jest to samo, lecz — jak się okazało — omylił się.

— Służę ci — powiedział, wchodząc do łóży Brunickiego — i prawdę powiedziawszy, jestem rad, że przez jeden wieczór odpocznę i pogawędzę z tobą.

— Powiedzże mi — zapytał malewając Brunickiemu wina — czy powtórne badanie krwi mojej i twojego syna dało także wyniki, jak i poprzednie?

— Tak. Ty masz krew typu „C“, on zaś typu „A“.

— No widzisz — odetchnął Drucki — byłem tego pewien. Jakieś przekleństwo zawisło nad naszą przyjaźnią, ale jestem przekonany, że w końcu twoje badania przekreślą wszystkie wątpliwości i wszystkie podejrzenia, które — już mniejsza o mnie — tak krzywdzą świętej pamięci żonę twoją...

Twarz profesora ściągnęła się i powiedział głucho:

— A jednak ona ciebie kochała...

— Pijmy — przerwał Drucki.

Brunicki wypił kieliszek do dna i potrząsnął głową:

— Tak, ty masz nieprawdopodobne szczęście do kobiet... Ale a propos — zniżył głos — nie próbowałeś się dowiedzieć co się stało z tą... no z tą dziewczynką...

— Z jaką dziewczynką?

— Z tą pensjonarką, po historii, za którą musiałeś uciekać zagranicę.

Profesor obserwował go z ukosa, lecz twarz Druckiego była spokojna.

— Owszem — skinął głową — starałem się zebrać informacje. Otóż ta mała, do dziś dnia nie mogę sobie przebaczyć mego szaleństwa, ta mała zaraz została wywieziona przez ojca na wieś. Jej ojciec porzucił posiadłość w Warszawie i wziął w dzierżawę mały folwark na Polesiu. Dziewczyna odesłana została do gimnazjum do Łodzi, lecz tam wkrótce dotarły wiadomości o skandalu i trzeba było ją przenieść gdzieś indziej. Dokąd — niewiadomo. Od tej chwili ślad po niej zaginął. Wiem tylko, że ojciec jej zmarł, kiedy jeszcze była w Łodzi.

— I nic więcej?

— Nic.

— Czy zwracałeś się do jakiegoś biura detektywów?

— Boże broń — roześmiał się Drucki — nie posądzasz mnie chyba o tak daleko posuniętą naiwność.

— Więc?

— Wypadkiem natknąłem się tutaj na niejakiego Cierżawskiego. Trochę łobuz, trochę alfons a głównie pieczeniarski. Otóż ten niebieski ptaszek był kiedyś ekonomem czy rządcą w majątku sąsiadującym z folwarkiem ojca tej małej. Mogłem go bez obawy o wspaniałą wypytac, bo chociaż spryciarz, jest dość głupawy, gdy się za niego zapłaci kolację i pozwoli się mu opowiadać stare zwierzęte anegdoty, gada jak naję-

ty. Udawałem bardzo zaciekawionego i wydobyłem od niego jeszcze i to, że w jednej ze swoich podróży, po kraju — on, uważasz, wynajmuje się na czas wyborów, jako agitator wiecowy — spotkał gdzieś w kutnowskim, czy w plockiem dalszą jej rodzinę, też żerańskich, czy żerawskich, bo już nie pamiętam. Ci wręcz wypierali się pokrewieństwa.

Stuknął się kilka razy palcem w czoło i zakończył:

— Straszna krzywdę im wszystkim zrobiłem. Warjat, osioł!

Profesor bębnił palcami po stole. Nie ulegało wątpliwości, że Bohdan pojęcia nie miał kim jest podprokuratora Alicja Horn.

— I wiesz — ciągnął Drucki — że popełniałem w życiu szaleństwo za szaleństwem, że zrobiłem moc głupstw i niczego nie żałuję, niczego nie pragnąłbym odrobić, cofnąć... A to jedno gnębi mnie, jak z mora... Ach, żebym nie był wówczas pijany. Wszystko przez ten alkohol! Pijmy!

Pili. Brunicki czuł już trochę wina w głowie i dlatego postanowił odłożyć rewelację na inny raz, lub też wogóle zataić swe odkrycie.

Dancing tymczasem huczał zabawą. Gwar rozmów, śmiechy i brzęk szkła na tle nieprzystającej grać orkiestry wytwarzały nastrój, który zdawało się przyrósł już do tych ścian.

Drucki rozglądał się i kilka razy zapytywał kelnera, czy nie przyszedł mecenas Łęczycki.

Wkońcu kelner przyszedł sam z wiadomością:

— Niema pana Łęczyckiego, panie dyrektorze, ani tej pani, co z nim bywa, ale przyszedł ten pan doktor, taki łysawy w okularach, co z nimi chodził.

— Sam? — zerwał się Drucki.

— Tak jest, panie dyrektorze, samiuteńki.

— Gdzież on jest? — wyrzwał na salę.

— Tu, panie dyrektorze, akurat pod tą lożą.

Wówczas Druckienat przyświadczył, że może
doktór Czuchnowski ma jakąś misję od Alicji

Nawet napewno, bo pocóżby przychodził?

Drucki przeprosił profesora i, nie zauważywszy
nawet jego ironicznego uśmiechu, zszedł na salę.

Czuchnowski siedział sam przy małym okrągłym
stoliku i pił koniak. Twarz jego stała się jeszcze bar-
dziej blada, oczy podsiniąły, a policzki zapadły.

— Dobry wieczór, doktorze, — przywitał go
Drucki.

Krew buchnęła do twarzy Czuchnowskiego, a je-
go oczy zaiskrzyły się z za szkiele. Wstał jednak i po-
dał rękę Druckiemu.

— Czy można zapytać — swobodnie zaczął
Drucki — dlaczego doktór jest w ostatnich czasach
tak rzadkim u mnie gościem? Może coś ze zdrowiem,
nie daj Boże?

Czuchnowski spojrział mań podejrzliwie i wzru-
szył ramionami:

— Nie, zdrów jestem, dziękuję.

— Tak jakoś i pan i pańskie towarzystwo za-
pomnieliście o „Argentynie“.

— Co pan mówi? — zdziwił się Czuchnowski —
to i... pani Horn nie bywa?

— A nie. Ani pani Horn, ani mecenas Łęczycki.
Cieszę się, że chociaż pana widzę, doktorze.

— Wcale nie bywają? — dopytywał się Czuchnow-
ski, jakby nie wierząc własnym uszom.

— Wcale. Nawet zdziwiłem się.

— I ja się dziwię — chmurnie pochwycił doktór.

— Dlaczego? — z udawaną obojętnością rzucił
Drucki.

Czuchnowski znowu poczerwieniał:

— Dlatego... dlatego, że sądziłem... że zdawało
mi się... No, myślałem, że pani Horn zależało na by-
waniu tu.

— Ach — dodał Drucki — i ja miałem wraże-
nie, że pani Horn nie nudzi się w „Argentynie“.

Połapał się już, że Czuchnowski przyszedł, bo chciał spotkać Alicję.

— Biedna fujara — pomyślał.

Poprostu w głowie nie mieściło się Druckiemu, by człowiek inteligentny, który, jeżeli nie z własnych obserwacji, to w każdym razie z literatury, musiał orjentować się o tyle o ile w psychice kobiecej, tak bezradnych chwycił się środków. Wiedział, że Czuchnowski jest jego rywalem, lecz nie czuł w nim rywala do tego stopnia, że gotów był chociażby zaraz uderzyć go po kolanie i huknąć:

— Przyjacielu! Do djabła ciężkiego, nie tak zdobywa się kobiety! Rób coś! Ruszaj się, nie jęcz i nie chlipaj do stu piorunów!

Drucki wstał:

— Zatem życzę doktorowi przyjemnej zabawy... A przy sposobności najżyczliwsze ukłony dla pani Horn i dla pana Łęczyckiego.

— Chwileczkę — zatrzymał jego rękę Czuchnowski — sekundę...

— Słucham pana!

Doktór gryzł dolną wargę:

— Nie, właściwie nic... Bardzo przepraszam... Może innym razem...

Drucki rozłościł się. Dość miał tego! Tak ścisnął dłoń doktora, aż ten syknął z bólu i klapnął na fotel:

— Słuchaj pan — wyrzucił z pasją — albo pan jesteś mężczyzną, albo miękką fujarą bez kości. Co pan ze sobą wyprawiasz, do stu par beczek! Albo pluń pan za siebie i postaw pan krzyżyk, albo weź się pan w kupę! Nie będziemy obwijali w bawełnę, bo i niema poco! Czego pan kwęcysz do pioruna! Ma pan dwa życia, czy co, że to jedno tak pan sobie zatruwa?!

Czuchnowski bezwładnie opuścił głowę na piersi.

— Bądźmy szczerzy — ciągnął Drucki podniecony beznadziejną miną słuchacza — patrzysz pan

nia mnie, jak na wroga bo myślisz, że ja ci ją zabra-
łem. Tak?

Czuchnowski milczał.

— Tak, czy nie? — nalegał Drucki.

— Tak.

— Otóż nie zabrałem, bo nie dostałem.

Twarcz doktora rozjaśniła się, gotów był uściskać
Druckiego, co tego doprowadziło omal do wściekłości:

— I czego pan się cieszy, do diabła! Czego? że
ja nie zabrałem?... Powiem panu: jeżeli nie ja to za-
bierze ją każdy, rozumiesz pan, każdy tylko nie pan.
Nie ja, to inny, ale nie pan ze swoim płaczącym sto-
sunkiem do życia. Panie, na miły Bóg, czy pan tego
nie widzi?

— Widzę... widzę — pokiwał głową doktor.

— I cóż pan zrobi?

— A cóż ja mogę zrobić?... — rozpaczliwie rozło-
żył ręce.

Drucki wstał:

— Powieść się, panie drogi, powieść się. Jabym
się na pańskim miejscu powiesił.

Był tak wzburzony, że wytlukłby tego cymbała
tu zaraz na miejscu.

Wpakował ręce w kieszenie i nie pożegnawszy
się, poszedł na górę.

Przy Brunickim siedziała Kazia i mizdrzyła się
do profesora na potęgę. Biedny Karol wyglądał bardzo
tem strapiony. To wprawilo Druckiego w taką weso-
łość, że odrazu zapomniał o Czuchnowskim.

— A, przepraszam — cofnął się, udając
dyskrecję — zdaje mi się, że państwu przeszkadzam?

— Nie, nie — zawołał skwapliwie profesor — by-
najmniej, chodźże tu!

— Może jednak?... — certował się Drucki.

— No chodźże! — prosił Brunicki tym razem,
jakby wołał: Ratunku!

— Prosimy, panie dyrektorze — rzuciła mu go-
rące spojrzenie Kazia.

Gdy tylko usiadł, stopniowo zaczęła się przysuwać do niego.

— Wiesz co, — po kilku minutach zdecydował się profesor — o naszych sprawach pomówimy innym razem. Dziś i zapóźno i za dużo było wina. Zatelefonuję do ciebie.

Drucki go nie zatrzymywał.

Nie zamierzał wykręcać się od zobowiązań wobec niego powziętych, lecz również nie śpieszno mu było do ich realizacji, tembardziej, że pojęcia nie miał jakiego to poświęcenia Karol od niego zażąda.

Gdy po odprowadzeniu profesora wrócił na salę Czuchnowskiego już nie było.

Usiadł na chwilę przy jednym stoliku, przy drugim, trzecim, później porozmawiał z barmanem zajął do piwnicy i do kuchni

Tu znalazł go kasjer:

— Panie dyrektorze, awantura!

— Na sali?

— Nie, tylko w gabinecie u pana dyrektora. Ten huncwot Kazia...

Drucki wiedział już, co to ma znaczyć. Oczywiście awantura z Tecią.

— No! Już ja im pokażę — mruczał do siebie, pędząc wielkimi krokami.

Nie omylił się.

Gabinecik wyglądał, jak pobojuwisko. Aparat telefoniczny, maszyna do pisania i moc papierów leżały na ziemi. Krzesła były wywrócone.

Panna Tecią z rozwianymi włosami siedziała w kącie na podłodze i zalewała się łzami.

Monna Fiametta stała nad nią w sukni podartej i krzyczała, wygrażając piąstkami.

— Cicho! — huknął Drucki.

Kazia opamiętała się i ciężko dysząc zwróciła się do niego:

— Panie dyrektorze...

— Milczeć!... Panno Teciu, proszę wstać!

Chlipiąc podniosła się i zakryła oczy rękami, znowu zanosząc się łkaniem.

Za Druckim i kasjerem do gabinetu wcisnęło się jeszcze kilka osób z personelu restauracyjnego i z zespołu „artystów“.

— Czego tu? — syknął na nich Drucki.

Przepychając się pośpiesznie wynieśli się na korytarz.

Drucki rozpoczął śledztwo.

Okazało się, że Kazia przyszła do gabinetu, gdyż chciała poprosić dyrektora o zwolnienie na jutrzejszy dzień i chciała na niego tu czekać. Tacia niezbyt grzecznie wypraszała ją za drzwi. Słowa przesyły w rękoczynny, przyczem niepodobna już było ustalić, która z przeciwniczek dała początek walce czynnej. Drucki jednak, znając usposobienie i jednej i drugiej, nie miał żadnej wątpliwości, że napastniczką była pełna temperamentu signorita Fiametta, a nie słodka i nieśmiała panna Tacia.

Pod koniec tych dochodzeń chciało mu się już śmiać, powstrzymywał się jednak i nie zmieniał groźnej miny. Przedewszystkiem należało utrzymać porządek i dyscyplinę. Doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że awantura wynikła na tle zazdrości o niego. Dlatego też nie sprawdziły się przepowiednie, jakimi dzielono się teraz w kuchni, szatni, w barze, a brzmiące jednogłośnie:

— Dyrektor wyleje obie na zbity łeb.

Nie wylał. Kazał Teci ubrać się i iść do domu, a jutro stawić się do pracy. Zapowiedział też, że wobec tego co zaszło, nie wypłaci jej gratyfikacji.

Kazię zatrzymał.

Gdy tylko zostali sami dziewczyna rozplakała się, zaczęła go przeproszać, próbowała rozrzewnić, potem wybuchała przekleństwami pod adresem rywalki, nie żałując najsoczystszych słów.

— Dość tego — zawołał Drucki — wiesz, co cie-

bie czeka, bo cię ostrzegałem. Kasjer wypłaci ci należną gażę i dowidzenia.

— Daruj! Daruj! Niech pan dyrektor daruje! Przysięgam, że już nigdy, nigdy!...

Rzuciła się przed biurkiem, na którym siedział, na kolana.

— Wstań, bo mnie nie rozczulisz, a kolana cię zabolą. Powiedziałem i rzecz skończona.

— Ten jeden raz — szlochała — ostatni raz... Boże, Boże! i to przez takie ścierwo, przez taką małpę!... Ja przysięgam!....

— Przysięgasz, a wymyślasz dalej, nic ci nie wierzę...

— Już nie będę, przysięgam, że nie będę, daruj, przebacz, ja tak strasznie ciebie kocham... Już tej bezczelnej małpy palcem nie tknę...

Drucki zerwał się i podszedł do okna. Musiał ukryć twarz, gdyż śmiech go poprostu dusił.

Wreszcie zdołał się opanować i powiedział:

— No dobrze może ci i daruję, ale pod warunkiem... Czekajże!

Dziewczyna rzuciła się nań i zaczęła go całować:

— O, jakiś ty dobry, jaki kochany, jaki jedyny...

— Dajże spokój — odsunął ją lekko, lecz stanowczo — wysłuchaj najpierw co ci powiem. Może wówczas będziesz wołała odejść.

— Napewno nie — potrząsnęła głową.

— Więc słuchaj. Zostawię cię pod następującymi warunkami: popierwsze zaraz jutro podejdiesz do panny Teci i przeprosisz ją, a to...

— Niech tam, dobrze...

— Czekaj. Przeprosisz w ten sposób, że ją pocałujesz w rękę.

— Ja? Tę cholere?

— Ty ją.

Dziewczyna spojrzała ponuro w podłogę i odpowiedziała:

— Niech tam.

— Ale to nie wszystko. Zrobisz to tak, żebym ja był zadowolony. Rozumiesz? Nie byle jak, tylko, jak się należy.

— Niech tam.

— Pozatem codziennie będziesz się jej pierwsza kłaniać i to uprzejmie!

— Niech tam.

— Nie żadne „niech tam” — krzyknął Drucki — tylko uważaj. Bo teraz, jeżeli tylko coś będzie, to nie tylko pożegnamy się, ale jeszcze na pożegnanie spódniczkę do góry i wlepię ci po ojcowsku takie „Paternoster“, że przez tydzień nie będziesz miała na czem siedzieć.

Kazia kiwnęła głową, pomilczała chwilę i spytała:

— To już dobrze?

— Jeżeli dotrzymasz obietnicy, to dobrze.

— Dotrzymam... O, ty jesteś bardzo srogi, ale ja i tak ciebie kocham.

Przytuliła się do niego.

— Możesz mnie nawet wybić, a i tak ciebie kochać nie przestanę... A dzisiaj... dzisiaj przyjdiesz do mnie?... Prawda, że przyjdiesz, mój kochany, mój jedyny!

Drucki roześmiał się. I rób tu coś z babami. Spłynęło po niej wszystko i ona teraz uważa, że on nie znajdzie nic lepszego do zrobienia po całej awanturze, jak właśnie pójść do niej.

Wygląda tak apetycznie, że omal nie dał się skusić, jednak ze względów pedagogicznych ostro odmówił, nie wierząc zresztą, by zrozumiała sens tej odmowy. Będzie się w duchu dziwić, o co jemu jeszcze chodzi, skoro już wszystko w porządku.

— Wszystko ma swoje dobre strony — myślał w duchu Drucki, jadąc do hotelu — przynajmniej raz dobrze się wyśpię.

— Uszanowanie panu dyrektorowi — przywitał go nocny portjer — u pana dyrektora czeka jedna pani.

Druckiemu serce zabiło mocniej.

— Alicja! — przebiegło mu przez głowę.

Ogromnemi krokami pędził po schodach i otworzył drzwi.

Na łóżku w kapeluszu w futerku i w botach siedziała skulona — Tęcia.

— Szalenie trudno wyspać się — westchnął Drucki i zaczął się rozbierać.

ROZDZIAŁ 10

Prezes Sądu Okręgowego, Turczyński, chodził po pokoju, od czasu do czasu zerkając zukosa na prokuratora Martynowicza, który zdawał się namyślać.

— Jednak trudno zaprzeczyć faktowi — podjął wobec tego prezes — że kobieta ta ma jakiś instykt psa policyjnego, czy powiedzmy ozdobniej, urodzonego kryminologa. Wiem od adwokatów, iż wprost im ręce opadają, gdy oskarża ona.

— Bo pani Horn — poprawił się w fotelu Martynowicz — połowę spraw kieruje na umorzenie.

— Właśnie — zatrzymał się przed nim prezes — ma instykt. Tam, gdzie śledztwo nie daje winowajcy, w którym ona odkryje winowajcę rzeczywistego, nie chce oskarżać. Ale przecież w setce procesów przez nią wszczętych wina była więcej niż wątpliwa, a jednak wyroki musiały być skazujące.

— Nie zawsze — zaproponował prokurator — a sprawa Kuszelskiego? Sam pan przewodniczył rozprawie i Kuszelski został uniewinniony.

— Ba — zaśmiał się Turczyński — ale pani Horn sama mi później mówiła, że pan wbrew jej opinii narzucił jej to oskarżenie.

— Narzucił, narzucił — obruszył się prokurator — nic nie miałem do narzucania. Otrzymałem wyraźny nakaz z ministerstwa. Rząd sobie tego życzył i już.

— Mniejsza o to — upierał się prezes — pozostaje faktem, że Kuszelski był uczciwym człowiekiem i ona to wyczuła.

Przeszedł się jeszcze raz i zawrócił.

— Niezwykłą, kobieta i do tego piękną, jak wszyscy diabli.

Martynowicz uśmiechnął się zjadliwie i odezwał się takim tonem, jakgdyby zmieniał temat rozmowy:

— Jakże, prezesie, nie zamierza pan żenić się?

— Ja? — stanął jak wryty Turczyński.

— No, przecie pan jest kawalerem... hm... że tak powiem, do wzięcia — odniechcienia wyjaśnił prokurator.

— Pan też jest kawalerem — szydlerczo zauważył prezes.

— Ja... cóż ja... — bąknął Martynowicz — pan co innego.

— Jesteśmy w jednym wieku.

— Tak, ale pana jeszcze kobiety, panie dobrodzieju, biorą. Może pan godzinami wypowiadać zachwyty...

— Niby ja? — oburzył się prezes.

— A no pan. Cóż to, przed chwilą chociażby o pani Horn.

— Pani Horn jest prokuratorem i wypowiadałem opinię o jej kwalifikacjach zawodowych.

Martynowicz pokiwał głową.

— No tak, oczywiście. Od dziś dnia będę zwracał baczność uwagę czy moi podwładni mają kwalifikacje zawodowe, to jest czy są — piękni, jak wszyscy diabli, jakie mają rączki, jakie oczka, jakie nóżki...

— Wcale o tem nie mówiłem — zirytował się prezes — a jeżelibym i mówił, to lepiej mówić, niż o tem myśleć i pogrążyć się w tego rodzaju kontemplacje.

— Ja też ani mówię, ani myślę.

— Tak? Wobec tego oczerniają pana tu wszyscy.

— Mnie oczerniają.

— Pana, pana, kochany panie prokuratorze. Opowiadają, że pan aż chudnie z miłości do pani Horn.

— Ja? Chudnę? — zaczerwienił się Martynowicz — chudnę, bo piję Karlsbad. A to gniazdo plotkarstwa...

Krótkie silne pukanie do drzwi i wejście Alicji Horn, jak nożem ucięło spór.

— Dzień dobry panom — przywitała się z uśmiechem i zaraz rozłożyła przed Martynowiczem jakieś papiery.

Wchodząc, odrazu wyczuła, że między obu starszymi panami musiał zajść jakiś spór. Prokurator był czerwony, a prezes nerwowo skubał wąsy. Ze spojrzeń zaś, które ją spotkały, wywnioskowała, że mówili o niej, a była pewna, że nic złego.

Nie było to zresztą dla niej nowiną. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że podkochuje się w niej niejeden mężczyzna w sądzie. Jeżeli nie sprawiało to jej przyjemności, bynajmniej nie było też przykre. Zresztą nie unikała sposobności podobania się tak, jak ich nie szukała.

Pozycja jej była coraz mocniejsza. Nie tylko w Pałacu Paców, nietylko w świecie prawniczym, lecz i w ministerstwie uważana była za jednego z najzdolniejszych członków prokuratury.

Jeżeli w jakimkolwiek stopniu do wyrobienia tej opinii przyczyniła się jej uroda, nie martwiła się tem wcale.

Przecie przedewszystkiem była kobieta, inną, niż większość, mądrzejszą, inteligentniejszą, niezależną w całym tego słowa znaczeniu, ale tem niemniej kobietą, a dopiero później prokuratorem, co — jak to udowodniła swoją półroczną działalnością —



tylko nie kolidowało ze sobą, lecz stwarzało całość, z której mogła być dumna.

Oto stała się żywym dowodem pełnego człowieczeństwa kobiety.

Prokurator Martynowicz przejrzał papiery i burkliwiej, niż zwykle wypowiedział kilka uwag, potem skinął głową na znak, że Alicji nie zatrzymuje.

Prezes Turczyński demonstracyjnie wyszedł razem z nią. Na złość Martynowiczowi!

Po drodze wypytywał Alicję o zdrowie, o zamiary na lato, wreszcie przeszedł na stosunki w Sądzie, wyraził kilka spostrzeżeń w związku z ostatnimi sprawami i, żegnając Alicję przed drzwiami jej gabinetu, powiedział:

— Nauczyłem się wierzyć w pani instynkt kryminologa. Nazywam to instynktem, gdyż zważywszy wiek pani, nie mogę mówić o doświadczeniu. Nie umiem sobie wytłumaczyć tylko jednej rzeczy: — jakim cudem w pani, istocie tak bardzo kobiecej, znalazł się talent, od wielu stuleci właściwy wyłącznie mężczyźnie.

— Przywłaszczony przez mężczyznę.

— Powiedzmy — roześmiał się Turczyński — stworzony i zmonopolizowany, tak samo, jak i wiele innych dziedzin: rządzenie, wojowanie, sądzenie.

— Upieram się jednak przy słowie „przywłaszczenie“ — zaakcentowała Alicja.

Stali na korytarzu i musieli wciąż odpowiadać na ukłony wielu przechodzących tędy osób.

Pomimo to prezes nie zdradzał widocznie chęci przerwania rozmowy, gdyż zapytał:

— Tedy, zdaniem pani, kiedyś mężczyźni dzielili z kobietami przywilej rządzenia, sprawowania sądów itp.?

— Nie dzielili, gdyż wogóle go nie posiadali. Przecie pan prezes wie, że pierwotna organizacja społeczeństw ludzkich była oparta na ustroju matrychal-

nym. Patrjachat liczy zaledwie, jeżeli chodzi o Europę, trzy do czterech tysięcy lat...

— Drobiazg — żartobliwie zauważył prezes.

— A tak — poważnie powiedziała Alicja — drobiazg. Malutki ułamek w historii ludzkości. A przedtem długie tysiąclecia panował matryarchat, rządziły tylko kobiety. A widocznie robiły to niezgorzej, skoro dziś świat usta otwiera z zachwytem nad odkryciami etruskiemi i egejskiemi z owej epoki cywilizacji wyższej, niż epoka Wersalu, a kultury wspólniejszej i wyższej, niż nasza obecna.

— Niestety, nic nie wiem o tem. Nigdy się tem nie zajmowałem — rozłożył ręce prezes — ale, przyjmując to do wiadomości, nie przypuszczam, by pani chciała przez to powiedzieć, że świat wraca do ustroju matryarchalnego?

— Któż to może wiedzieć — uśmiechnęła się Alicja — jesteśmy wprawdzie świadkami powrotu kobiety do czynnego życia społecznego i państwowego, lecz zbyt mały mamy wycinek czasu do obserwacji, Jednakże wszystko zdaje się przemawiać za uzasadnieniem... obawy pana prezesa.

— Jeżeli ustrój ten ma nas, mężczyzn, zmusić do abdykacji na rzecz takich kobiet, jak pani, proszę mi wierzyć, że obawy moje zmieniają się w szczerą radość.

Powiedział to z tak ujmującą kurtuazją dżentelmena starej dobrej szkoły, że Alicja podziękowała mu najmiłszym i najzalatniejszym ze swych uśmiechów.

Szarmancko pocałował ją w rękę i wyraźnie słyssała, jak, odchodząc, bardzo chrząkał.

Pracowała tego dnia tylko do drugiej. Julka gorączkowo przygotowywała się do egzaminów maturalnych i Alicja poświęcała teraz wiele czasu przerabianiu z nią trudniejszych przedmiotów.

Teraz, gdy oswoiła się już zupełnie z pracą w sądzie, gdy zaprzestała bywania w restauracjach i gdy

załbrakło Czuchnowskiego, Alicja niemal całkowicie zajęła się Julką. Kochała ją bardzo i za główny punkt swej ambicji uważała wychowanie Julki na kobietę-człowieka własnego pokroju, na istotę rozumną, duchowo niezależną, a życiowo samodzielną.

Taką oddała ją życiu. Uzbrojoną i opancerzoną przed niedorzecznymi wszelkimi uderzeniami, zewnątrz i zewnątrz, które Alicja sama musiała przejść i które omal nie zgruchotały jej do cna.

Julka już tego nie będzie musiała przechodzić.

Teraz jest jeszcze dzieckiem o naturze zbyt miękkiej, zbyt giętkiej i zbyt skłonnej do wygodnej a zgubnej dla kobiety roli bluszczu.

Na drodze planów Alicji stała i zmysłowość Julki, wyrażająca się w jej nadwrażliwości na wszelkie tematy erotyczne, jakie spotykały się w mitologii, anatomji, psychologii, historii, czy nawet w starannie selekcjonowanych przez Alicję utworach beletrystycznych. Małą miewała potem sny pełne podniecających wizyj i romantycznych sytuacji.

Nauczona od szeregu lat zwierzała się z nich zawsze Alicji, zapłoniona i z lśnięciami oczyma.

Do snów tych Alicja wielką przywiązywała wagę, bacznie je notowała i szukała klucza do nich w psychoanalizie. Nie była bezwzględna zwolenniczką freudyzmu, lecz brała pod uwagę wiele metod psychoanalitycznych przy wychowaniu Julki.

Widziała też u niej za silny pociąg do pieśzcot. Julka od dziecka miała nadmierne zamięłowanie do przytulań się, obcałowywała swoje koleżanki, przepadała za panami, którzy nosili „nabarana“ i lubiała wysiadywać na ich kolanach. Teraz zaś kolekcjonowała fotografie artystów filmowych i całe swoje drobne oszczędności wydawała na zakup tych pocztówek.

Wszystko to niepokoiło Alicję.

Sama, będąc dziewczynką — doskonale to pa-

miętała — była bardzo zmysłową. Może mniej to u-zewnętrzniała, niż Julka, lecz zato ileż nocy spędza-ła bezsennie, spalając się w najwstydlivszych bez-wstydných marzeniach i do krwi gryząc palce, po-plantione szkolnym atramentem.

Dlatego nie obawiała się zmysłowości Julki, zmysłowo może równie silnej lecz równiejszej i nie-burzliwej. Co więcej, była przekonana, że z łatwością zdoła rozwinąć w dziewczynie dostatecznie silne o-środki hamujące, skoro przy swoim własnym, znacznie niebezpieczniejszem usposobieniu, posiada-ła już jako podlotek tak dojrzałe, że w chwili rzuce-nia się na nią mężczyzny, w chwili gdy ziszczał się wreszcie wymarzony w długie noce moment oddania się, znalazła w sobie dość siły i dość woli, by ucie-kać po ciemnem mieszkaniu, walczyć i bronić się do ostatka sił. Jeżeli doznała wówczas szalonej, dzikiej, nieprawdopodobnej rozkoszy, to jednak już w chwile potem znalazła w sobie dość mocy psychicznej, by oddzielić oszalamiające przeżycie swego ciała od sie-bie, by wzbudzić w sobie nienawiść, żal i pogardę do tego człowieka. Mniejsza o to, że z biegiem lat, w miarę dojrzewania umysłu, uczucia te poddała re-wizji i korekturze. Pozostało faktem, że ośrodki ha-mujące miała rozwinięte wspaniale.

Tem bardziej uda się je wykształcić u Julki.

Jeżeli to było możliwe, zbliżyły się teraz ze sobą jeszcze bardziej.

Były same.

Nikt u nich nie bywał i one u nikogo. Alicja nie uznawała życia towarzyskiego, uważając je za pu-ste, jałowe i odpowiednie wyłącznie dla natur płyt-kich, pozbawionych treści wewnętrznej i jakichkol-wiek aspiracyj umysłowych.

Julka, ubóstwiając swą opiekunkę, zgadzała się z nią całkowicie i nie tęskniła za innymi rozrywka-mi, niż teatr, książka, wystawy obrazów, czy od-czyty. Tego jej nie brakowało.

Zresztą obecnie pochłaniała ją zupełnie nauka. Chwile odpoczynku wypełniała sobie marzeniami o wyjeździe nad morze i co kilka dni, dla utwierdzenia swych planów, pytała:

— Powiedz, Alu, czy myślisz, że ja łatwo nauczę się pływać?

Albo też:

— Jak wysokie bywają fale na Bałtyku?

Krótkie, informacyjne odpowiedzi Alicji, brzmiały dla Julki tak, jak: zapewnienie: — owszem, pojedziemy nad morze.

Alicja sama sporo o tem myślała, stwierdzając swój zły stan nerwowy. Należało na pewien czas zmienić środowisko. Nie przyznawała się sama przed sobą, że codziennie wieczorami, po zaśnięciu Julki odczuwała zniechęcenie do wszystkiego i pustkę swego życia. Tłumaczyła to chwilową depresją i gdyby nie natrętne wspomnienia, które — ledwie przymknęła oczy — stawiały przed nią obraz wysokiego, barczystego mężczyzny o przedziwnie złocących się żrenicach, gdyby nie echo jego niskiego przejmującego głosu, które w ciszy dźwięczało niepokojąco, mogłaby uwierzyć, że wymazała z pamięci wszystko, co miało jakąkolwiek łączność z Winklerem.

Nie spotkała go ani razu, co uważała nawet za dziwne: tylu znajomych spotyka się na ulicy.

Zresztą to i dobrze: cóż jej może na tem, a wogóle na nim zależeć? Mówił, że ich przejście obok siebie jest niemożliwością, a cóż zrobił, by ją zatrzymać? Nic! Dosłownie nic! Zostawił jej możność dostąpienia zaszczytu przez zaliczenie się do haremu jego kochanek! Grubo się pomylił! Bardzo grubo!

Nawet nie raczył zatelefonować. Napisać! Czy postarać się spotkać ją przypadkiem. Palcem nie ruszył!

Zarozumiałec! Zdawało się mu, że ona, jak inne, nie potrafi odwrócić się od niego, że z pokorą przyj-

nie rolę jednej z wielu, że nie potrafi o nim zapomnieć...

Nie umiał poznać się na niej, więc nie wart jest ani jej, ani jej pamięci.

Tak dalece nie wart, że nie pamiętałaby o nim, gdyby pamięć człowieka od niego samego była zależna.

ROZDZIAŁ 11.

— Oj, kapitanie! Ja jeszcze nie jestem gotowa— zawołała Luba przez drzwi.

— Co? Jeszcze? — z udawanem oburzeniem krzyknął Drucki.

— Aco pan chciał pokazać?

— Swój nowy sprawunek, ale jeżeli pani nie gotowa, to dowidzenia, wychodzę!

Zaczął tupać nogami i cichutko usiadł na krześle tuż przy drzwiach.

— Kapitanie! Kapitanie! — wołała Luba, a nie usłyszawszy odpowiedzi wpadła do salonu.

Była rzeczywiście nieubrana: w kombinezce i w szlafrocuku, który zdążyła nałożyć tylko na jedną rękę.

Nie spostrzegłszy Druckiego, przebiegła do drzwi prowadzących do jadalni i, wychyliwszy z za nich głowę, wołała:

— Już, już, jestem gotowa, proszę wrócić.

Jednocześnie usiłowała zwałczyć opór drugiego rękawa. Gdy wkońcu to się jej udało, Drucki, nie ruszając się z miejsca, powiedział bardzo głośno:

— No, nareszcie!

— Ach! — przestraszyła się Luba. — O, niedobry kapitan! Jak można... Podglądać mnie nieubraną!

Podbiegła do niego i, pochyliwszy się, surowo groziła mu palcem.

Zaśmiał się i złapał ją za rękę.

Czy chwyt był mocny, czy dywan jej się usunął, dość, że zachwiała się, straciła równowagę i znalazła się u niego na kolanach. Zastygła w bezruchu, nie puszczając jego ręki.

— Luba!... — ostrzegawczym szeptem powiedział Drucki.

Wybuchnęła śmiechem i zarzuciła mu rękę na szyję:

— Przestraszył mnie, to teraz musi uspokoić.

— Luba! — chrapliwie powtórzył Drucki.

Rozchyliła usta tuż przy jego wargach, oczy jej żarzyły się. Nagie ramiona przesuwały się po szyi i karku. Przywarły doń tak, że czuł przyspieszony oddech jej piersi.

Zacisnął szczęki i odwrócił głowę. Wówczas zaczęła mu szeptać do ucha, że wszystko nic, że niech świat się zawali, że służąca nie wejdzie, że już dłużej nie potrafi, że kochany, że to męczarnia, że niech się stanie co chce...

Jej chciwe wargi przesuwały się gorącą smugą po jego twarzy.

Porwał ją nagle na rękę, zdusił w uścisku, zerwał się i zaczął chodzić po pokoju. Oczy zachodziły mu mgłą, w piersi rzeziło, krew szalonym tętnem waliła w skroniach. Nie czuł jej ciężaru, a przecież zataczał się, jak pijany.

Nie, to było ponad jego siły!

Oderwał przemocą jej rękę od siebie, rzucił się na fotel.

— Nie można tak... Luba... to straszne... nie można... — mówił przerywanym głosem — dałem twemu mężowi słowo...

Podeszła do niego:

— Więc co! Więc co! Więc nie dotrzymasz — szeptała, czepiając się jego ręk.

— Dotrzymam!... Luba... Muszę dotrzymać i dotrzymam...

— Dajś słowo, — nie ustępowała — że nie weźmiesz mnie... No więc, dobrze, dobrze... Ale nie odmawiaj mi swoich pieścót... Przecież to wolno...

— Luba, ja oszaleję! Czy ty nie rozumiesz?!...

— Nic nie rozumiem, nic nie chcę rozumieć—
tulila się do niego — mój cudny, mój najśladzy...

Miał ręce gorące, jak płomień, a skóra jej, jak marmur była zimna. Miał wargi spieczone, a usta jej były soczyste i wilgotne.

Ostry dzwonek telefonu obudził ich i otrzeźwił.

Słuchawka drżała w ręku Luby i głos jej drżał:

— Słucham?

—

— A, to ty?... Co chciałeś?

—

— Mały na spacerze. A ja zaraz wychodzę, bo przyszedł kapitan. Idziemy razem.

—

— Dobrze. I ja cię całuję. A nie spóźnij się na obiad.

Drucki przetarł czoło, poszedł do jadalni, wypił duszkiem dwie szklanki wody i zapalił papierosa.

Luba pocałowała go w usta i pobiegła ubierać się. Po kilku minutach zjawila się gotowa.

— Pani Lubo — zaczął Drucki, lecz ona mu przerwała:

— Tylko nie morały, kapitanie, tylko nie morały!

— Jednak...

— Przecie to było takie niewinne, a takie cudne. Chodźmy, chodźmy.

Zajrzała jeszcze do kuchni, wydała jakieś dyspozycje i zeszedli na ulicę.

Przed bramą stał długi popielaty, jak mysz, dwuosobowy samochód, lśniący świeżym lakierem.

— Ach, jaki piękny samochód — zawołała Luba — ciekawam czyj to może być.

— Cacko — potwierdził Drucki.

— To pewnie Bauman kupił — domyśliła się Luba.

— Nie.

— Kapitanie!

— Tak — kiwnął głową — to jest właśnie ten nabytek, który chciałem pani pokazać.

— Cudowny!

— A zobaczy pani, jak chodzi!

Otworzył drzwiczki, pomógł jej wsiąść i sam zajął miejsce przy kierownicy.

— Jaka to marka? — zapytała Luba.

— „Fould“. Sześć cylinderków.

— Musiał kosztować ładne pieniądze.

— Znacznie taniej — zaśmiał się Drucki — niż wygląda.

Pojechali do Wilanowa.

Za miastem wiosna już była w pełni.

Rozorana ziemia pachniała mocnym, intensywnym zapachem, przydrożne rowy zieleniły się runią. Drzewa pokryte były pierwszym, drobniutkim liściem.

W Wilanowie pili mleko i jedli czarny, miodem pachnący razowiec.

Wracali do Warszawy w doskonałych humorach.

Wóz istotnie szedł doskonale, chociaż Drucki uważał, że trzeba będzie podkręcić amortyzatory przy resorach.

Odwiózł Lubę do domu i wrócił do hotelu.

— Jest list do pana dyrektora — zatrzymał go portjer.

W białej kopercie była tylko krótka kartka, pisana na maszynie:

„Czekam koniecznie dziś wieczorem — K.”

— A no, przyszło — westchnął Drucki.

Punktualnie o ósmej był już na Żoliborzu. Brunicki czekał nań w hallu.

— Jestem — powiedział Drucki.

— Dziękuję ci — wskazał mu fotel profesor — czy zniszczyłeś moją kartkę?

— Oczywiście.

— Musimy pomówić dłużej. Moze pozwolisz herbaty?

— Jeżeli nie zrobi ci różnicy, prosilibym o mocną.

Profesor nacisnął dzwonek. Natychmiast zjawił się kwadratowy brodac i, wysłuchawszy rozkazu, po chwili przyniósł tacę z herbatą.

— O jedno muszę cię prosić — zaczął profesor — mianowicie, o przyjęcie tego, co ci powiem z dobrą wiarą, a zatem o niepytanie, czy raczej o niewypytywanie mnie o rzeczy, których sam nie powiem.

— Nie przyszedłem tu dla zaspakajania swojej ciekawości — kiwnął głową Drucki.

— Zatem rzecz się ma, jak następuje: przepisy prawne nie pozwalają na eksperymentowanie naukowe na pacjentach. Wiesz dobrze, że pytaniem, jakie zadałem nauce i na jakie od lat szukam odpowiedzi, jest: czy, tak zwane, zapatrzenie jest możliwe?

— Wiem.

— Otóż, kierowały mną pobudki, przyznaje, a ty, Bohdanie, wiesz to lepiej, niż ktokolwiek inny, osobiste. Dlatego mógłbym być w niezgodzie z moją etyką, gdyby nie obojętność kwestji pobudek badań dla samej wiedzy. Chodzi o rzecz zbyt doniosłą, zbyt wielką, bym moje, czy twoje ewentualne skrupuły mógł tu brać pod uwagę. Badania zaś mogą być prowadzone wyłącznie drogą eksperymentalną. Do tego potrzebne mi są odpowiednie objekty, dostarczeniem których ty zająć się musisz.

— Dostarczeniem... ludzi? — zapytał Drucki.

— Kobiet — potwierdził Brunicki.

— Kobiet?... Wielu kobiet?

— Poczekaj. Jak zapewne domyślasz się, dotychczas musiałem to robić sam. Jednak z wielu względów było to niebezpieczniejsze i zbyt często niecelowe. Chodzi mi bowiem o kobiety wyłącznie ciężarne. Nie będę ci wskazywał sposobów do jakich mu-

siałem się uciekać, by kobiety takie zdobyć. Pozwolę sobie zwrócić twoją uwagę na dwa główne źródła: pierwsze to pokątne akuszerki, do których zwracają się od ciąży, drugie to brzegi Wisły, przejazdy kolejowe, ogrody publiczne i t. p., czyli miejsca najczęstszych samobójstw tych dziewcząt, które doznały tak zwanego zawodu miłosnego, a których warunki materialne, czy rodzinne, uniemożliwiają poród, lub też sztuczne poronienie. Rozumiesz?

Drucki zacisnął palce:

— I te mam dostarczać tobie?

— Nie te. Wśród nich bywa bowiem wiele i takich, które inne powody pchają do samobójstwa. Dlatego trzeba wybierać. Trzeba najpierw upewnić się, że dany osobnik rzeczywiście znajduje się w odmiennym stanie. Inaczej szkoda byłoby zachodu i narażania się na niebezpieczeństwo. Poza to trzeba wybierać kobiety młode, do trzydziestu lat, zdrowe, silne. Najpożądany jest element inteligentniejszy, o psychice wrażliwej.

— Cóż z nimi mam robić?

— Zadaniem twojem będzie odnalezienie odpowiedniego obiektu, bez zwrócenia na siebie czyjejkolwiek uwagi i następnie dostarczenie go tutaj. Ze względów bezpieczeństwa należy być szczególnie ostrożnym. Dlatego przewóz do tej willi pacjentki musi się odbyć w stanie jej odurzenia. Może być odurzona alkoholem, chloroformem, eterem, lub też innymi środkami, w które cię zaopatrzę. W każdym razie nie może ona zdawać sobie sprawy dokąd jest wieziona i gdzie się znajduje. Normalnie nie gra to większej roli, są jednak wypadki, gdy zaniechanie odurzenia może doprowadzić do nieobliczalnych następstw.

— I to wszystko, czego odemnie żadasz?

— Niezupełnie. Po kilku dniach będziesz musiał odszukać winowajcę ciąży i zdobyć jego fotografię,

oraz, o ile to będzie możliwe, podobizny jego rodziców i rodziców dziewczyny. Nie przedstawia to wiele trudności, bowiem zazwyczaj po zniknięciu dziewczyny, robi się awantura. Interesują się tem reporterzy, wywiadowcy policyjni, często detektywi prywatni. Tedy twoja osoba nie może ściągnąć szczególnej uwagi.

Profesor flegmatycznie zapalił papierosa i dodał:

— W przyszłości będę od ciebie oczekiwał jeszcze pewnych uprzejmości, ale narazie to wszystko.

Drucki wbił weń ponury wzrok:

— Trupy wywozić, co?

— Dlaczego trupy? — nieprzyjemnie roześmiał się Brunicki — żadnych trupów nie będzie, upewniam cię.

— Więc daruj, jak sobie wyobrażasz moje i twoje własne bezpieczeństwo? Przecie te nieszczęsne po opuszczeniu twego domu...

— Prosiłem cię, — przerwał profesor — byś nie wypytywał.

Drucki wstał i zaczął wielkimi krokami chodzić po hallu. Nie wierzył Brunickiemu. Teraz najfantastyczniejsze przypuszczenia i obawy, jakie go trapiły po obietnicy danej profesorowi zostały zdystansowane. Ma spełniać haniebną rolę... Oczywiście... najhaniebniejszą... Zdobywać zaufanie nieszczęśliwych, okłamywać je i oddawać, wydawać w ręce Brunickiego i tego Japończyka... na djabli wiedzą jakie udreki.

— Dla dobra nauki — zbudziła się w nim perfidna refleksja.

— Ohyda — powiedział głośno.

— Skądże nagle taka wyczulona moralność? — z gryzącą ironją zapytał profesor.

— Ohyda — powtórzył Drucki.

— Więc... odmawiasz?

— Czeka! Powiedz mi tylko... Daj mi słowo honoru, że ich nie zabijesz, że...

Profesor zatrzymał go ruchem ręki:

— Człowieku! Nie potrzebuję ich zabijać! Cóż zresztą robiłbym z trupami? Przeciwnie, są zawsze najstaranniej pielęgnowane.

— Słowo honoru?

— Więc dobrze, daję ci słowo honoru — z irytacją powiedział Brunicki. — Nie jestem bezmyślnem zwierzęciem, które zabija ludzi bez celu. Ja nietylko celu w śmierci tych kobiet nie mam, lecz chcę, by żyły w zdrowiu, szczęściu i wszelkiej pomyślności.

Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. Drucki zadzwonił do „Argentyny” i wydał kilka poleceń. Kolację jedli we dwójkę. Doktor Kunoki nie pokazał się wcale.

Drucki wyszedł zmęczony i wyczerpany nerwowo.

W najbliższych dniach miał zająć się swem nowem, obrzydliwem rzemiosłem. Ostatecznie nie miał innego wyjścia. Dał Brunickiemu solenną obietnicę i przyszedł czas jej dotrzymania.

Dnia tego dyrektor Winkler nie był usposobiony różowo. Zaraz po zjawieniu się jego, przekonał się o tem portjer, który miał pecha właśnie dziś trochę podpić. Następną ofiarą stał się inżynier Turman, któremu polecił odmówić dalszego kredytu. Podczas tańca zespołowego elektromonter zapomniał kolejności efektów świetlnych i dowiedział się, że w Ameryce poznałby zato kolejność własnych zębów. Panna Teci została poinformowana, że karczochy lubią być pisane przez „ch“, kiper, że może nie wydawać „Cristalu”, gdy proszą go o „Cordon rouge“, gospodyni zaznajomiła się z poglądami dyrektora na kwestję zamiatania kuchni, a Kazia usłyszała opryskliwe „odczep się”.

Od początku nie pamiętano tu dyrektora w takim nastroju. Na dobitek kazał podać sobie do gabinetu butelkę dżinu i pił kieliszek za kieliszkiem, nie zwracając uwagi na lekliwe spojrzenia Teci, straszli-

wie przygnębionej i zaniepokojonej stanem humoru szefa.

Drucki nie spał tego ranka wcale. Położył się do łóżka i palił papierosy.

O dziewiątej był już na nogach. Zatelefonował do banku, do jednego z dostawców, wreszcie do Zalkinda, od którego dowiedział się, że Luba jest zachwycona jego samochodem.

— Przejadę się — pomyślał — to mi dobrze zrobi.

Poszedł do garażu, obejrzał silnik, sam nalał benzyny i wyprowadził wóz.

Wszesnym rankiem musiał padać deszcz, gdyż powietrze było czyste, a jezdnia wilgotna. Ruszył przez Nowy Świat, skręcił w Aleję Trzeciego Maja i zaczął dodawać gazu. Ponieważ złożył szybę, wiatr bił mu prosto w twarz.

Przez most Poniatowskiego przeleciał, jak strzała, nie zwracając uwagi na groźną miną posterunkowego i w ciągu minuty był za miastem.

Strzałka na zegarze szybkości przesunęła się na setkę, sto dziesięć, sto dwadzieścia... trzydzieści...

Na szczęście szosa była dobra i prawie pusta.

Pęd powietrza zapierał mu oddech i wprost oślepiał. Obraz mijanych drzew, zabudowań, ludzi, zlewał się w niewyraźną mgłę.

— Tak wyróżnić się teraz o jakiś mur — myślał — sekundą i po wszystkim!

Nagle na dość łagodnym zakręcie ujrzał o kilkanaście metrów przed sobą stado krów.

Nie zmniejszył szybkości.

Wlewo biegła wąska i nierówna droga polna. **Skręcił.**

Wóz w podskokach wpadł na wyboje

— Djabli wezmą maszynę — przemknęło mu przez głowę.

Gdyby nie ścisnął w obu dłoniach kierownicy, wyleciałby w górę jak piłka.

— A niech wezmą!

Droga szła między wznoszącymi się po obu stronach zagonami, zwiwała się w bezsensowne pętla i zbiegała do małej, szeroko rozlanej i na oko niegłębokiej rzeczulki, za którą dość stromo wznosiła się na pagórek.

Woda ze świstem wzbila się dwiema szerokimi fontannami z pod kół auta.

— Hooe! — krzyknął z całej piersi Drucki, nie słysząc własnego głosu.

Na szczęście dno było równe i, choć mokry do ostatniej nitki, przejechał bród.

Z pagórka dojrzał małą wioskę, do której właśnie prowadziła droga i z furją zakreślił wprost na zorane pole.

Była to piekielna huśtawka, lecz prawie tego nie czuł. Pędził wprost przed siebie na drewniany płot. Tuż przed nim pochylił głowę i jeszcze dał gazu.

Deski nie musiały być grube i zbyt mocne, gdyż ani na sekundę nie zatrzymały auta. Krótki trzask, brzęk rozbitego szkła reflektorów, zgrzyt po blasze maski i wóz wypadł na szosę.

Drucki zamknął gaz i nacisnął hamulce.

— Jestem warjat — powiedział głośno.

Nowiuteński samochód wyglądał rozpaczliwie. Emalja poodpadała, zderzaki były pocięte, zapasowe koło gdzieś zgubił i cały wóz pokryty był błotem.

Drucki roześmiał się:

— Kwalifikuję się wprost do Tworek.

Na szczęście silnik ani podwozie nie zostały uszkodzone, a przynajmniej auto szło nieźle, chociaż wszystko w niem brzęczało i zgrzytało.

— Trzeba je odrazu oddać do remontu — pomyślał, jadąc wolno w stronę miasta — ze dwa tysiączki będzie kosztowała ta warjacka jazda.

Jednak nie żałował tego. Auto było zniszczone, sam czuł zmęczenie wszystkich mięśni i ból w karku, lecz nastrój poprawił się znakomicie. Ostatecznie,

mógł to samo osiągnąć bez psucia samochodu. Polatać po polu z wywieszonym językiem, czy postukać głową w ścianę...

— Boże drogi, — chwycił się za głowę inżynier warsztatowy, gdy zobaczył w jakim stanie jest wczoraj sprzedany, nowiuteński wóz — co się stało? Miał pan katastrofę?

— Nie—śmiał się Drucki—nie miałem. Prostu pański „Fould“ dostał szau i ponosił mnie po werstepach.

— Jakto! Hamulce nie działały?

— Owszem, tylko tak bestja rwała, że nie miałem serca hamować.

Inżynier popatrzał nań nieufnie, wymienił krótkie porozumiewawcze spojrzenie z mechanikiem i powiedział:

— Aha!

— Myśli pan, że zwarzowałem? — poważnie zapytał Drucki.

— Skądże, broń Boże! — bez przekonania zaprzeczył inżynier.

Nagle wpadł na pomysł nastraszenia inżyniera. Niespodziewanie podskoczył w górę i ryknął:

— Wiwat!

— Może pan odpocznie? — nieśmiało zaproponował inżynier — może szklaneczkę wody?...

Drucki wybuchnął śmiechem:

— No, niech się pan nie obawia, już mi lepiej. Więc na kiedy spodziewa się pan wyreperować ten gruchot.

— Najmniej tydzień — zaopinjował inżynier, strając się trzymać możliwie daleko od niebezpiecznego klienta.

Temu jednak widocznie rzeczywiście przeszło, bo już całkiem spokojnie i rzeczowo zaczął mówić o szczegółach naprawy.

— Ale był pan zdenerwowany — z westchnieniem ulgi zęgnął go inżynier.

— Panie kochany — powiedział Drucki po chwili namysłu — byłem piekielnie zdenerwowany i zaaplikowałem sobie tego bzika dla odciążenia, jak mówili nasi dziadowie, humorów.

Wrócił do hotelu pieszo i położył się na kanapie. Był bardzo zmęczony i natychmiast zasnął.

Gdy obudził się, było już ciemno. Przebrał się i pojechał do „Argentyny“.

Znowu był w normalnem wesolem usposobieniu, żartował z personelem i śmiał się.

„Humory“ zostały odciążnięte, jednak troska nie ustąpiła.

Najbliższe dni Drucki poświęcił obserwacjom „terenu“ i przemyśliwaniu nad podjętem zadaniem. W tym celu włóczył się po przedmieściach.

Postanowił ograniczyć się wyłącznie do samobójczyń. Dlatego czytywał teraz kronikę wypadków w pismach sensacyjnych.

W Warszawie codziennie kilka młodych dziewcząt odbierało sobie życie. Lecz jego prześladował pech. Raz wprawdzie zobaczył młodą kobietę, wyglądającą na kucharkę, która miała bardzo smutną minę i siedziała na przejeździe kolejowym, lecz nie tylko nie miała zamiaru rzucenia się pod pociąg, a bez zbytnich ceregieli przyznała się, że kiedyś spotykała się tu ze znajomym dróżnikiem i teraz przychodzi na ten przejazd, bo „miło wspomnieć“.

Brunicki dzwonił dwa razy w odstępach kilkunastodniowych, pytając o nowiny.

Wreszcie po tygodniu poszukiwań — udało się.

Szedł właśnie Ogrodową gdy ujrzał pod latarnią wysoką szczupłą brunetkę, liczącą drobne pieniądze.

Zwolnił kroku i czekał. Po chwili wahania obserwowana otuliła się wełnianą chustką i weszła do pobliskiego składu aptecznego.

Drucki stanął przy oknie. Sklepek był mały i wyraźnie widział obojętną minę sprzedającego i podniecony wyraz twarzy kupującej. Buteleczka esencji oc-

towej została ukryta pod chustką i dziewczyna wyszła.

Rozejrzała się niezdecydowanie dokoła, wreszcie skierowała się pośpiesznym krokiem w stronę placu Kercelego. Drucki myślał, że tu się zatrzyma lecz nie — skreśliła na Młynarską.

Ulica była pusta. Szedł szybko, bojąc się ją stracić z oczu, gdyż niemal biegła.

Zatrzymała się dopiero pod murem cmentarza i znowu się rozejrzała. Widocznie czekała, aż on przejdzie.

— Panienko — zapytał — a nie wie panienka, która to może być godzina?

— Nie wiem — odpowiedziała drżącym głosem — może ósma.

Stał o kilka kroków od niej i powiedział żartobliwie:

— A to panienka nie boi się tak pociemku tu koło nieboszczyków?

Odwróciła się odeń:

— Niech pan mnie zostawi... Nie mnie bać się nieboszczyków — dokończyła szeptem.

Drucki flegmatycznie zapalił papierosa, zgasił zapalkę i westchnął sentencjonalnie:

— Z żywymi izawsze lepiej.

— Jak komu.

— Każdemu — zapewnił Drucki.

— Idź pan swoją drogą — odezwała się nadspodziewanie opryskliwie i obrzuciła go smutnem spojrzeniem.

— Rzuci?... — zapytał krótko po pauzie.

Zakryła twarz chusteczką i zapłakała.

— Z panienki to niemądra dziewczyna — pokłamał głową — rzucił ten, to będzie inny. Mało to mężczyzn... Jeszcze dla takiej młodej i ładnej... A może wróci...

— A niech go piorun strzeli — wybuchnęła — niech go krew zaleje! Nie potrzebuję jego. Ani jego, ani nikogo! Odejdź pan, czego się przyczepił?

— No to poco sobie krzywdę robić? — nie zrażał się Drucki — dałabyś panienka spokój. żyć zawsze warto.

— Takiś pan mądry — szlochala — a co, panu zdaje się, że to dadzą człowiekowi żyć?

— Niby kto nie da?

— Wszyscy. Rodzice z domu wypędzą, z pracy wyrzucą, palcami będą wytykać. A i żyć trzeba, pan-na z dzieckiem — to nikt grosza nie da zarobić... Takie są ludzie.

— I takie i nie takie — reflektował Drucki — a zresztą może jest jeszcze rada?

— Zapóźno już zapóźno... Drań obiecał żenić się i żeni się... Tylko nie ze mną. Cóż mi zostało, gdzie ja się podziję, ot, chyba tu... za murem...

Wybuchnęła znowu płaczem.

Drucki bez ceremonji objął ją i pogładził po ramieniu:

— Cicho, cicho... Ktoś idzie.

Rzeczywiście przeszli obok nich dwaj robotnicy. Gdy kroki ich ucichły, Drucki powiedział:

— Ja panienką się zajmę. Wszystko zrobimy tak, że ani o porodzie nikt wiedzieć nie będzie, ani palcami wytykać.

Przestała płakać i wytarła nos w czystą, białą chusteczkę:

— Co też pan mnie buja...

— Nie bujam.

— A może pan z jakiej policji, czy z magistratu?

Roześmiał się.

— Ani z policji, ani z magistratu. Ot, mam za-dużo pieniędzy i chcę panience pomóc, bo i mnie ludzie pomagali.

Przełknął ślinę i pomyślał, że przecież nie skłamał. Czyż jemu ludzie inaczej pomagali? Może z wyjątkiem Zalkinda...

Dziewczyna spojrzała mu w oczy, a on opuścił powieki:

— Chodźmy.

Bez słowa szła obok niego.

— Niech panienka odda mi tę buteleczkę.

Spojrzała nań podejrzliwie i stanęła:

— Co ja pana obchodzę? — zapytała.

— A coby panienka zrobiła, gdyby zobaczyła, jak jakieś dziecko wkłada rękę do ognia.

— No tak, ale ja nie jestem dzieckiem.

— Jesteś mała, jesteś.

Znowu szli w milczeniu.

— Dokąd pan mnie prowadzi?

— Dokąd? A no najpierw musimy oblać naszą znajomość i szczęśliwe zakończenie niemądrych zamiarów.

— Ja tam nie piję — otuliła się w chustkę dziewczyna.

— Ja też nie — zaśmiał się Drucki — ale tak, raz jeden, na poprawienie humoru. O, wejdźmy tu.

Nie opierała się.

Była to mała knajpka, taka, jakich pełno na Woli. Kafłowa posadzka, wysypana trocinami, niskie okna, zaciągnięte żółtym perkalem, czerwony szynkwas i kilka stolików na żelaznych nogach. Za szynkwasem stał gruby baryłkowaty mężczyzna z wielką szramą na policzku i z zakręconemi po wilhelmowsku czarnemi wąsami, lśniącemi od fiksatuaru.

— Szanowanie — burknął takim tonem, jakby był śmiertelnie obrażony.

— Servus, panie starszy, — skinął mu głową Drucki, nie zdejmując kapelusza — zakrapiana wiśniówką i jaką byczą zagrychę.

Siedli w kąciku. Oprócz nich w knajpce był tylko stary dorożkarz, który nawet nie zwrócił na ich wejście uwagi.

Dziewczyna mogła mieć dziewiętnaście, może dwadzieścia lat, ubrana była bardzo skromnie, lecz schludnie. Drucki, chociaż do swoich wycieczek uży-

wał najbardziej zniszczonego ubrania, spostrzegł, że i to budziło w jego towarzyszce estymę.

Gospodarz przyniósł wódkę, kielbasę, serdelki i dwa widelce.

— Ogórka? — zapytał.

— Daj pan ogórka.

Gdy wypili po tegim kieliszku, dziewczyna westchnęła:

— Pan to naprawdę musi być dobry człowiek!

— Eee tam, dobry...

— Z oczu panu dobrze patrzy — uśmiechnęła się blade.

— Panience jeszcze lepiej.

— Co tam mnie, ja się nie liczę... Przepadłam...

— Zdrowie nasze kawalerskie — uderzył w jej kieliszek Drucki.

Po półgodzinie humor jej poprawił się. Oddała buteleczkę z esencją octową, zaczęła opowiadać o sobie. Była córką motorniczego z tramwajów, mieszkała na Pelcowiźnie z rodzicami, a pracowała w sklepie modniarskim na Ogrodowej, zarabiając trzy złote dziennie. Tak ją los pokierował, bo miała być nauczycielką. Skończyła szkołę powszechną i chcieli ją oddać do gimnazjum. Ale przyplątał się drań bez sumienia i zawrócił jej głowę. Głupia była i tyle. Teraz za to odpokutuje. A on żeni się z córką kelnera, z taką dziobatą Jadzią, co to psy na nią wyją, bo i ruda do tego.

— A on?

— Ma się rozumieć, ślusarz, u Liłpopa pracuje. Może pan słyszał: Walendziak Józef, taki brunet.

— A może zjedlibyśmy co gorącego? — zachęcał Drucki.

— Dobrze. Tylko pieniędzy szkoda.

— Dużo mam, nie szkoda.

Wyjął stuzłotówkę i położył na stole.

— Panie starszy, a może co na gorąco?

— Albo kotlet wieprzowy, albo nie — zawarczał gospodarz.

— Każ pan zrobić dwa. Ale, panie starszy, telefonu tu niema?

— Czego?

— Telefonu?

— Na rogu w aptecę — otarł nos rękawem, poprawił wasy i poszedł do kuchni.

— Ja zaraz wróce. sekundka — powiedział Drucki — tylko proszę czekać! Dobrze?

Dziewczyzna kiwnęła głową.

— A gdzie się podzieję? Będę czekać. Tylko niech pan przyjdzie, bo jak nie, to ja nie mam czem zapłacić i do komisariatu odprowadzą.

— Przecież zostawiam za siebie zastaw — zaśmiał się Drucki, podsuwając banknot pod talerz.

Roześmiała się i ona. Alkohol robił swoje.

Poglądził jej podbródek i wyszedł. Apteka była tuż i telefon wolny. W kilku słowach rozmówił się z Brunickim, używając języka angielskiego, by aptekarz nie mógł zrozumieć.

Gdy wracał, przemknęło mu przez głowę, że dziewczyna zabrała pieniądze i ulotniła się. Wbrew zdrowemu sensowi ucieszyłby się tem ogromnie.

Zastał ją jednak przy stoliku.

— O, wrócił pan! — zawołała prawie radośnie.

— Pijmy! — odpowiedział, nalewając kieliszek.

Była już prawie neprzytomna, gdy wychodzili. Wziął ją pod rękę. Ulice były zupełnie ciemne i zanim doszedł do umówionego miejsca, nie był pewien, czy profesor przysłał samochód, tembardziej, że szofer zgasił światła.

— Taksówką pojedziem? — pytała, zataczając się.

— Taksówką — potwierdził wciągając ją do auta.

Zasnęła prawie natychmiast na jego ramieniu. Żuł między zębami przekleństwa.

Teraz może cofnąłby się, lecz auto mknęło z wzrastającą szybkością. W niespełna kwadrans zatrzymali się przed bramą willi na Dębowej. Widocznie czekali tu na nich uważnie, bo brama otworzyła się natychmiast. Wóz zatoczył koło i stanął przed małymi drzwiami na tyłach willi. Dwie postacie wynurzyły się z mroku. Drzwiczki samochodowe otworzyły się zzewnątrz i Drucki usłyszał przytłumione pytanie Brunickiego?

— Przytomna?

— Nie. Śpi.

— Alkohol?

— Tak.

— Dawaj ją tu.

Pomógł wydobyć bezwładną dziewczynę i chciał zamknąć drzwiczki, lecz dotknął czegoś wilgotnego. To Japończyk mokrą serwetką wycierał klamki i poduszki wozu.

— Weź za nogi — szepnął Brunicki.

Szli, niosąc ją poomacku przez długi, ciemny korytarz.

Za nimi rozległ się warkot odjeżdżającego samochodu, trzaśnięcie klucza w zamkniętych drzwiach i szybkie kroki Japończyka.

Dr. Kunoki wyprzedził ich i zapalił światło.

Był to ładny biały pokój, przypominający urządzeniem sanatorium i nieco pracownie malarskie, gdyż okna umieszczone były w suficie.

Położyli dziewczynę na łóżku. Japończyk zbadał jej puls, Brunicki przyniósł aparat do iniekcji i zastrzyknął jej pod skórę na rękę jakieś lekarstwo.

— Chodź — wziął pod rękę Druckiego.

Szli znowu korytarzem, mijając kilkoro drzwi, bliźniaczo podobnych do tych, za jakimi została nowa pacjentka profesora. Wszystkie były obite grubym wołokiem i nie miały klamek.

Przeszli obok pokoju kąpielowego, w którym słychać było pluskanie wody i płacz dziecka.

— Ty masz tu cały szpital — zauważył Drucki.

Przeszli dość dużą, ciemną salę, pobłyskującą z kątów niklowanymi aparatami. Laboratorium, czy też sala operacyjna. Znowu korytarz, grube drzwi, które profesor otworzył kluczem i oto znaleźli się w znajomym hallu.

— Dziękuję ci — powiedział Brunicki.

— Karolu — przytrzymał jego dłoń Drucki — pamiętaj, że ona ma żyć.

— Będzie żyć — poirytowanym głosem odparł profesor — teraz powiedz mi tylko, czy wszystko w porządku?

— Myślę, że tak.

— Nie śledzono cię?

— Tego jestem pewien.

— Nie będą mogli cię poznać?

Drucki zapewnił, że nie ma żadnych obaw.

— Dziś już zapóźno i ty pewno nie masz czasu — spojrzał na zegarek profesor — zatem może będziesz tak dobry i wpadniesz jutro koło południa do Kliniki Psychiatrycznej.

— Bo co jeszcze?

— Muszę opisać szczegóły biograficzne, rodzinne i t. p. tej dziewczyny. Teraz powiedz mi tylko, czy ona napewno jest w ciąży?

— Napewno.

A, który miesiąc?

— Pojęcia nie mam.

Zamach samobójczy?

— Tak, chciała się otruć esencją octową

Profesor odprowadził go aż do furtki i ostrzegł:

— Uważaj na ulicy.

— Nie bój się — skrzywił się Drucki — na tem znam się lepiej od ciebie.

Nikogo w pobliżu nie było. Jednak nie wziął najbliższej taksówki, a wsiadł do tramwaju. Po przejechaniu kilku przystanków wyskoczył, skręcił w boczną ulicę i tu dopiero wziął auto.

Gdy przebierał się, znalazł w kieszeni buteleczkę z esencją.

— Jednakże jestem nieostrożny — pomyślał.

Po drodze do „Argentyny“ wrzucił buteleczkę do kosza na śmiecie.

— Panie dyrektorze — z uśmiechem przywitał go kasjer Justek — dzwonił mecenas Łęczycki i zamówił łożę.

— Co pan mówi! — ucieszył się Drucki.

— Zarezerwowałem dziewiątkę.

— Dziękuję panu.

Odzyskał dobry humor.

— Więc jednak przyjdzie — pomyślał.

Omylił się. Alicja nie przysłała. Łęczycki zjawił się z większym towarzystwem, lecz bez Alicji.

— To zacięta baba — z podziwem skonstutował w duchu Drucki.

Pił tej nocy i zburczał Kazię za natręctwo. Wszakże wolał nie być sam i zabrał ze sobą do hotelu Tecię. Starał się nie myśleć o swej dzisiejszej eskapadzie lecz nie mógł w żaden sposób odpędzić wspomnienia tamtej dziewczyny.

Wreszcie alkohol i zmęczenie zrobiły swoje.

Wyprawił Tecię i zasnął kamiennym snem.

Obudziło go pukanie do drzwi. Spojrzał na zegarek: — jedenasta, to pewno służący. Ryknął:

-- Proszę — i usiadł na łóżku, szeroko otwierając oczy.

We drzwiach stała Luba.

— O, kapitan jeszcze śpi? — zawołała swobodnie — dzieńdobry.

— Luba! — powiedział z wyrzutem — poco pani to zrobiła?

— Co? — zapytała z naiwną minką.

— Niech pani zejdzie do hallu i zaczeka. Za pół godziny będę gotów.

Zaśmiała się i podeszła do łóżka:

— Miałam o panu lepszą opinię. Sądziłam, że taki

mężczyzna, jak pan, zawsze jest gotów... Szczególniej, kiedy leży w łóżku i to w takiej ładnej pidżamie.

— Luba! Proszę się wynosić!

Usiłował swemu głosowi nadać możliwie groźne brzmienie, lecz ona wciąż się śmiała.

— Patrzcie, jaki niegościnnie! No, nie przywita się pan ze mną?

— Nie przywitam się!

Zawinął się w koldrę i z rozmachem odwrócił się twarzą do ściany.

Wówczas usiadła na łóżku i, zdjawszy rękawiczkę, przesunęła rozstawionymi palcami po jego włosach.

— Jedwab — powiedziała, cicho.

— Luba! Czy jedwab, czy szczecina, a zaraz wyskoczę i bez ceregieli dam w skórę.

— Nie wiedziałam — zaśmiała się, — że kapitan jest sadystą.

Zsunęła kapelusik i zdjęła futro.

— Gorąco tu — zauważyła.

— Luba, — zaczął tonem perswazji — poco pani to robi. Przecie trzeba się zastanowić! Jak można?

— Boże, jaki pan dziś nudny — westchnęła, znowu siadając na łóżku i pochylając się nad nim — przychodzi do niego piękna, młoda i spragniona kobieta, a on...

— A on nie jest wcale spragniony — przerwał Drucki.

— Nie? — zapytała z kokieterją.

— A nie! Zupełnie nie! Żebyś wiedziała, że przed chwilą miałem tu, w tem samym łóżku młodą i piękną kobietę.

Powiedział to umyślnie. Przypuszczał, że tem ją zrazi, lecz Luba jeszcze bliżej przysunęła się:

— Tak, tak, łóżko pachnie jeszcze jej perfumami, jeszcze jest ciepłe od jej pieszczot. Jakaż ona musiała być szczęśliwa! Powiedz, czy była namiętna?

— Wiesz, Luba — oburzył się Drucki — jesteś bezwstydną.

— Jestem, jestem, chcę być bezwstydną. Powiedz, czy była ładniejsza odemnie? Ach, kapitanie, chciałabym chociaż widzieć, jak ją brałeś, jak jej ciało gięło się w twoich ramionach, jak oplatała cię sobą... To musiało być piękne!... żywiol! Płomień! Huragan! Wszystko, co ty robisz musi być piękne i potężne...

Tuliła się do niego i jej gorący szept oblewał mu szyję.

— Luba, oszalałaś?

— Oszalałam! Ach, jacy jesteśmy głupi i przesądni! Czemuż nie mogę upić się tobą! Upić się do nieprzytomności! Pojęcia nie masz, co dałabym za to, byś mi pozwolił tak leżeć przy tobie i patrzeć, jak bierzesz inną!

— Luba!

— Nie, nie, ty tego nie rozumiesz, że to jest druga połowa rozkoszy... Och, chciałabym być taka bezwstydną, tak rozkielzana, rozpustna... Wiesz, co byłoby mojem marzeniem?... żeby w twoich oczach oddawać się Borysowi i w jego oczach tobie i żeby była jeszcze druga kobieta tak ładna i tak rozpustna, jak ja i żeby...

Drucki usiadł i zawołał:

— Luba! Ty jesteś chora!?! Czy ty zdajesz sobie sprawę, że to jest wstrętne, co ty mówisz!?

— Upojne, oszalamiające...

Oplotła go ramionami i rozpaloną twarzą przywarła do jego piersi.

— Weź mnie, weź — szeptała urywanym głosem — bo się spalę na popiół...

Drapieżnymi chwytami zdarła zeń koldrę i całym ciałem przywarła.

— Jak blisko jestem ciebie... Jak czuję cię... kochany... kochany — kochany...

Głos przeszedł w rzeźenie, w długi jęk, w krzyk i zemdląca, — ramiona jej opadły.

Drucki, zataczając się wstał i przetarł oczy. Sam był nieprzytomny.

Dopiero po dłuższej chwili znalazł flakon z kołońską wodą i zaczął jej nacierać skronie.

— Luba! Luba! — potrząsał nią.

Była bezwładna i blada, jak płótno.

— Co tu robić?

Poważnie zaniepokojony chciał już dzwonić po pogotowie, gdy otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

— Luba, czy lepiej pani?

Ruchem powiek przytaknęła. Podał jej szklanke wody i, przytrzymując głowę, wlał do ust kilka kropel.

Była bardzo jeszcze osłabiona, ale usiadła.

— Może kieliszek wina? — zaproponował.

— Dobrze.

Wypiła chciwie.

— Jeszcze? — zapytał.

— Proszę.

Gdy osadził, że już jest jej lepiej, zaczął perorę. Mówił długo i bardzo przekonująco. Ona słuchała z uśmiechem i wkońcu powiedziała:

— Chciałabym tak umrzeć, jak teraz zemdląłam. Jeżeli w ten sposób odczuwa się śmierć, życie jest znacznie mniej warte niż sądziłam.

— Kobieto! Zlituj się nad sobą! Trzeba przecie panować nad swojemi namiętnościami.

— Ja wyznaję inną zasadę — przecząco potrząsnęła głową — nie wiem, kto to powiedział, ale musiał być mądry: — jedynym skutecznym środkiem zwalczania pokus jest ich zaspakajanie. Czyż to nie słuszne?

— Niesłuszne! — z przekonaniem zaakcentował Drucki i pomyślał, że sam wprawdzie zawsze postępował w ten sposób, lecz wcale przez to nie utrzymuje, że postępował słusznie.

Luba wstała i zrobiła kilka kroków:

— Nogi mi drżą, to dziwne — powiedziała z uśmiechem.

— No, widzi pani.

— Nie widzę: — czuję. Och, mój słodki!

Usiadła mu na kolanach i bezwładnie oparła głowę o jego policzek.

— Przyjdę tu jutro... pojutrze... codzień będę przychodziła.

— Nie przyjdiesz! — rozgniewał się.

— Nie potrafię nie przyjść.

— Więc wyniosę się gdzieindziej i nie zostawię adresu.

— Wdzisz, jakiś ty niedobry!

Drucki zdjął ją z kolan.

— Luba, musisz to zrozumieć. Jestem mężczyzną i palnąłbym raczej sobie w łeb, niż mógłbym zostać twym kochankiem. Mam jedno słowo honoru! Gdybym je złamał, gdybym twemu mężowi tak się odplacił za jego przyjaźń i pomoc, uważałbym siebie za łajdaka. Dlatego też błagam cię, byś mnie zrozumiała. Nie potrafię żyć, mając dla siebie pogardę.

— O, ty jesteś bardzo szlachetny!

— Nie o to chodzi — zirytował się — inaczej patrzę na szlachetność i moralność, niż inni. Mam rację, czy oni ją mają, to druga sprawa. Dość, że oświadczam ci kategorycznie: — jeżeli jeszcze raz przyjdiesz do mnie, zmusisz mnie do wyjazdu. Pojadę do Ameryki, czy do ciężkiego djabła i nie zobaczymy się więcej. Daję ci na to słowo.

Zrozumiała, że dotrzyma groźby i rozplakała się.

— Strasznie głupie jest życie, strasznie...

— No, nie płacz, Luba, to też nie jest mądre.

— Wiem — ocierała łzy.

— Chyba wiesz, że nie odpycham cię, bo nie dla ciebie nie czuję. Chyba wierzysz, że robię to wielkim kosztem.

— Tem gorzej. Och, te obrzydliwe przesady!
Roześmiał się.

— Anarchistko!

— A żebyś wiedział! Tonia jest idjotka ze swoim komunizmem. Idjotka. Burzy jedno więzienie, by wybudować sobie drugie. Jabym wogóle to wszystko wysadziła w powietrze. W drobne kawałeczki!

— I poco?

— żeby była prawdziwa wolność!

— A cóż to jest prawdziwa wolność?

Luba zamyśliła się.

— żeby każdemu wszystko było wolno!

— Jakto wszystko? Więc wolno byłoby, na przykład, mnie zabić twego syna?

— A tak, wolno!

— Głupstwa gadasz, kochana Lubo, w największym więzieniu można być wolnym. Patrz na mnie, ja właśnie jestem wolny, jak ptak.

— Ładna mi wolność. Mówisz sam, że chciałbyś mnie mieć, a nie możesz, bo krępuje cię słowo, które dałeś Borysowi.

— Dałem je z własnej woli!

— Ale ci teraz ono ciąży.

— Nie.

— Jesteś, kapitanie, impertynentem!

— Żle mnie zrozumiałaś. Mnie ciężyłoby bardziej złamanie słowa. Widzisz, w tej chwili jestem szczęśliwy, że zdołałem zapanować nad sobą, gdyśmy byli tam — wskazał na łóżko.

— Kapitanie! — westchnęła żałośnie.

— Luba, bądź prawdziwym mężczyzną — powiedział ze śmiechem — a teraz zejdź do hallu. Za kwadrans będę ubrany i odprowadzę cię. Jak się czujesz?

Czuła się już dobrze.

Wstąpili do cukierni na kawę, poczem odwiózł ją do domu.

Rzeczywiście, nie przyszła ani nazajutrz, ani dni



następnych. Wstawał zresztą teraz znacznie wcześniej, gdyż auto już wyszło z remontu, dzięki czemu mógł robić wycieczki za miasto.

Czasem zabierał ze sobą Lubę, Tecię, lub Tonię. Kazia też kilkakrotnie napraszała się, lecz zawsze zbywał ją wymówkami.

Dokuczyła mu. W ostatnich czasach nie odwiedzał jej wcale. Dlatego ona wilkiem patrzyła na Tecię a to znów odsuwało ją od Druckiego.

Była to sobota, dzień z najlepszą w „Argentyne“ frekwencją i kasowo najmocniejszy. Drucki przyszedł już o ósmej. Przejrzał listę zamówień i wziął się do przeglądania korespondencji. Przeważnie były to listy handlowe i miłosne. Wśród nich znalazła się jednak duża, szara koperta, zaadresowana pismem maszynowym. Wewnątrz zawierała arkusik papieru, również zapisany maszynowo i bez podpisu.

Ze zdziwieniem przeczytał:

„Dziś w nocy odbędzie się rewizja. Proszę usunąć wszystko. Pisze to nieznany panu przyjaciel. Koniecznie spalić ten list“.

Następowała data.

— Co za rewizja, u diabła? Jakiś warjat, czy co?

Pomimo to list spalił.

Napróżno łamał sobie głowę, nie mógł pojąć, przed jaką rewizją go ostrzegano? Z jakiej racji miano rewidować „Argentyne“? I co ma usunąć? Przecie nie ma tu tajnej gorzelni, ani fabryki fałszywych pieniędzy!

Jakby naprawdę powziął w tym względzie wątpliwości, obszedł cały lokal od piwnicy do balkonów. Wszystko było w zupełnym porządku.

— Albo mistyfikacja, — pomyślał — albo pomyłka, a raczej mistyfikacja.

Bo i kto w dodatku mógł go ostrzegać o rewizji? W policji nikogo nie znał, a o takich rzeczach może wiedzieć tylko policja, czy tam inny sędzia śledczy.

Gości było coraz więcej. Bawiono się świetnie. Minęła druga, trzecia, czwarta...

— Oczywiście, mistyfikacja!

Drucki w swej wędrowce od stolika do stolika śmał się, witał się, przysiadał, gdy podszedł doń kelner i szepnął do ucha:

— Panie dyrektorze, policja!

— Co?

— Policja.

Czempredziej wybiegł do hallu; istotnie pełno było policji mundurowej i ubranej po cywilnemu.

— Czy pan jest właścicielem tego lokalu? — zwrócił się doń komisarz, tęgi brunet, którego nieraz widywał na ulicy.

— Ja — powiedział spokojnie — czem mogę panu służyć?

— Otrzymałem rozkaz przeprowadzenia tu rewizji.

— Rewizji? — udał zdziwienie Drucki — ależ, panie komisarzu, z jakiego powodu?

— Otrzymałszy rozkaz. Jedyne, czem panu mogę służyć, to okazanie go na piśmie, jeżeli pan mi nie wierzy.

— Ależ wierzę w zupełności.

— Zatem zechce pan mi towarzyszyć

W ciągu pięciu minut wszystkie drzwi zostały obstawione. Wśród publiczności zapanowało niezadowolone. Służba szeroko otwierała oczy i była wystraszona.

Rewidowano lokal systematycznie, zagiądano do każdego kąta, ostukiwano ściany i podłogi, badano zawartość worków z kawą i z cukrem.

Drucki uśmiechał się tylko:

— To musiał być jakiś lajdacki donos.

Komisarz wreszcie wszedł do gabinetu Druckiego, wyprosił przerażoną pannę Tecię i zażądał kluczy, od szafy ogniotrwałej i od biurka.

— Służę, oto klucze od kasy. Biurko jest otwarte.

— Tu są pieniądze — powiedział komisarz, otwierając pancerną szafę — pan będzie łaskaw asystować przy rewidowaniu. A to, jak się otwiera? — wskazał małą kasetkę.

— O tak — podniósł wieko Drucki.

Wewnątrz były kontrakty, kwity podatkowe i t. p.

Kasę zamknięto i przystąpiono do badania biurka. W środkowej szufladzie, w której tkwił klucz, Drucki ujrzał ze zdumieniem dość dużą płaską paczkę w żółtym papierze. Wiedział napewno, że takiej paczki nie miał w ręku i z całą pewnością nie wkładał jej do szuflady.

Na paczce przyklejona była drukowana etykieta: „Tłuszcz roślinny Bix”.

Wywiadowca, który ją wydobył, zamienił z komisarzem porozumiewawcze spojrzenie, które nie uszło uwagi Druckiego,

— Czy w kuchni „Argentyny“ — zapytał lekko komisarz — używany jest ten tłuszcz roślinny?

— Bynajmniej, panie komisarzu, wogóle nie używamy żadnych tłuszczów.

— Aha, więc to zapewne kupił pan na próbę.

— Bynajmniej, wcale nie kupowałem. Wogóle widzę tę paczkę po raz pierwszy w życiu — odpowiedział spokojnie.

— Otworzyć — kazał komisarz.

W papierze było drewniane pudełko, a w pudełku mocno upakowane stały dwa rzędy flakonów z białym proszkiem.

Komisarz przymrużył oko i zaśmiał się:

— Ładny tłuszcz! Co?...

— Morfina — zawołał wywiadowca.

Wszyscy funkcjonariusze policyjni, znajdujący się w gabinecie, stłoczyli się koło biurka

— Dobry zapasik — odezwaly się głosy, pełne zadowolenia.

— To nie należy do mnie — nie tracił spokoju Drucki.

— Wziął pan na przechowanie? — ironizował komisarz.

— Nie. To zostało podłożone.

Komisarz usiadł i wyjął z teki papier.

— Podłożone? No, oczywiście! Zrozumiałe? Zapewne ktoś z publiczności?

— Z publiczności — to wykluczone. Publiczność niema tu dostępu.

— Zatem kogo pan posądza?

— Nikogo nie posądzam.

— No, dobrze, a kto z personelu ma tu dostęp?

Drucki wzruszył ramionami.

— Gdy ja jestem — każdy.

— A gdy pana niema?

— Gdy mnie niema, jest tu zawsze obecna moja sekretarka i często kasjer, pan Justek.

— Więc ich pan podejrzewa?

— Bynajmniej, panie komisarzu. Oczywiście, nieraz wchodzi tu i inni pracownicy. Lecz nie mogą przecie zaglądać mi do biurka. Ani kasjer, ani sekretarka nie pozwoliliby na to.

Komisarz szybko robił notatki. Mimo powagi, z jaką słuchał objaśnień Druckiego, widać było, że zupełnie mu nie wierzy. Szepnął coś jednemu z policjantów i ten po chwili powrócił z panną Tecią. Dziewczyna cała się trzęsła.

— Czy pani jest sekretarką dyrektora Winklera? — zapytał komisarz.

— Ja.

— Pani imię i nazwisko?

— Antonina Kruczevska.

— Czy pani zna tę paczkę? — pokazał jej zapakowaną już zpowrotem morfinę.

— Owszem, znam.

— Tak? Napewno

— Z całą pewnością, panie komisarzu. Gdy dziś przyszedłam do pracy, znalazłam ją na swoim stoliku przy maszynie.

— Ach tak? A skąd znalazła się w biurku?

— Sama ją włożyłam.

Zapanowała cisza. Nikt nie spodziewał się tej odpowiedzi.

— Powiada pani — odezwał się wreszcie komisarz, — że pani ją włożyła do biurka. W jakim celu?

— Żeby nie leżała na wierzchu. Myślałam, że to paczka pana dyrektora, więc włożyłam do biurka do środkowej szuflady.

— A wie pani, co ta paczka zawiera?

— Owszem. Jakiś tłuszcz roślinny.

— A dlaczego sądziła pani, że ta paczka jest własnością dyrektora? Czy widywała pani u niego dawniej takie paczki?

— Nie. Ale tu tylko bywają rzeczy pana dyrektora. Pan kasjer nigdyby tu nic swego nie położył.

— Więc pani jest pewna, że takich paczek nie widywała pani dawniej.

— Ależ nigdy, panie komisarzu. Jeszcze nawet powiedziałem panu Justkowi, że dziwię się, poco panu dyrektorowi ten tłuszcz.

— Więc i kasjer był przy tem?

— Tak jest.

Zeznania kasjera Justka potwierdziły to w zupełności. Widział, jak panna Teca wkładała paczkę do biurka.

Sprawa komplikowała się i komisarz widział się zmuszonym aresztować nie tylko dyrektora, lecz także jego sekretarkę i kasjera.

— Zatrzymuję państwa do dyspozycji sędziego śledczego. Proszę ubrać się.

Decyzja ta była konieczna już nie tylko ze względu na znaleziony dowód rzeczowy, lecz i na to, że wśród bywalców, obecnych na sali, poznano sześć o-

sób, noto , jako nałogowych morfinistów, którzy zapewne w Argentynie zaopatrywali się w narkotyki.

Trójkę aresztowanych przewieziono do Urzędu śledczego i po przesłuchaniu zamknięto w oddzielnych celach.

Kasjer był zrozpaczony, Teczka zalewała się łzami. Tylko Drucki nie przejmował się zbyt. Popierwsze warunki, w jakich się obecnie znalazł, nie były dlań nowością, podrugie pewien był, że go uwolnią, potrzebie nie wątpił, że barman Grabowski da ostatecznie sobie radę z prowadzeniem „Argentyny” przez kilka dni.

Oczywiście, był to łajdacki podstęp, morfinę mu podłożono. Kto to mógł zrobić i jaki w tem miał cel — Drucki napróżno usiłował domyślić się. Łączyć się to musiało z autorem anonimu, lecz w jaki sposób? I dlaczego?

Nie tracił ani na chwilę nadziei, że śledztwo szybko to wyjaśni.

W ciągu doby dochodzenie policyjne zostało zakończzone i sprawa przeszła do rąk sędziiego śledczego.

Gdy Drucki został doń przeprowadzony, w poczekalni ujrzał, oczekujących widocznie na przesłuchanie : portjera, dyrygenta orkiestry, kilku kelnerów, kwiaciarke i parę osób z bywalców dancingu.

Sędzia, niski i dość otyły starszy pan z kozią bródką, robił wrażenie człowieka poczciwego. Uprzejmie wskazał Druckiemu krzesło i rozpoczął badanie stylem rozmowy salonowej. Drucki odpowiadał krótko i jasno, powtarzając zeznania, złożone policji. Nie obawiał się niczego, nie bez słuszności przypuszczając, że nikomu nie przyjdzie na myśl zakwestjonowanie autentyczności jego amerykańskich dowodów tożsamości.

— Sprawa zupełnie inaczej wyglądałaby dla pana — mówił sędzia śledczy — gdyby zapas morfiny, znaleziony w pańskim biurku, przeznaczal pan do

wyłącznego swego użytku. Czy pan nigdy nie używał morfiny?

— Nigdy, panie sędzio.

— Tem gorzej — westchnął sędzia — ale może miał pan zamiar?

— Żałuję bardzo, ale nie.

— Podczas rewizji w zajmowanym przez pana numerze hotelowym znaleziono tę oto buteleczkę bez etykiety. Co ona zawiera?

— Chloroform — bez wahania odparł Drucki.

— Aha, a do czego pan go używał?

Chloroform był przeznaczony do usypiania kobiet, na które polował dla Brunickiego. Teraz należało szybko coś skomponować.

— Miewam silne bóle newralgiczne — powiedział — w klatce piersiowej. Kilka oddechów chloroformem uspakaja je, pozwalając szybko usnąć.

Sędzia widocznie nie znał się zupełnie na medycynie, gdyż wobec tego wyraził gotowość oddania flakonu dozorczy aresztu, który każdorazowo, w razie powtarzania się przypadłości, mógłby wręczać Druckiemu lekarstwo do użytku.

— Będę bardzo wdzięczny panu sędziemu — z uśmiechem zaczął Drucki — lecz mam nadzieję, że pan mnie wogóle wypuści

Sędzia rozłożył ręce:

— Narazie jest to niemożliwe

— Więc może za kaucją?

— Zobaczymy za kilka dni. Teraz pan będzie takkaw podpisać swoje zeznanie. I proszę nie mieć do mnie żalu, że jeszcze dziś popołudniu będę pana trudił do siebie.

W ciągu najbliższych trzech dni Drucki był bądny i konfrontowany niezliczoną ilość razy.

O ile mógł sobie wyrobić pogląd na stan swojej sprawy, nie przedstawiała się ona zbyt różowo. Kasjer i panna Tecia zostali zwolnieni bez kaucji. Jego zaś przetrzymywano. Portjer poznał, że dyrektor

Winkler dość często przychodził do lokalu z różnemi paczkami. Z drugiej strony ustalono, że niektórzy goście „Argentyny” istotnie tam zapatrywali się w morfinę, a chociaż nie chcieli powiedzieć, kto ją im wręczał, było zupełnie prawdopodobne, że załatwiał to dyrektor, często przysiadający się do różnych stolików.

Twierdzenie aresztowanego, że paczkę mu podrzuciono, na niczem się nie opierało, przeciw niemu świadczył zaś dowód rzeczowy pod postacią znalezionego narkotyku i cały szereg poszlak.

W tym czasie dowiedział się od uprzejmego sędziego śledczego, że był tu Zalkind, by przyjęto odeń kaucję.

— Ów pan Zalkind — śmiał się sędzia — musi być wielkim pańskim przyjacielem. Ofiarowywał każdą kwotę, przysięgając, że i głowę dałby za niewinność pana.

Czy to, czy też przeświadczenie o tem, że Drucki nie będzie chciał zbiec, wpłynęło wreszcie na decyzję sędziego: po tygodniu Drucki został wypuszczony za kaucję dwudziestu tysięcy złotych.

Pierwszą osobą, którą ujrzał po wyjściu na ulicę, była Luba. Czekala nań i teraz nie mogła mówić ze wzruszenia i z radości.

Kurczowo przylgnęła do jego ramienia.

— Cóż tam dobrego? — zapytał.

— O, teraz wszystko jest dobre! — patrzyła mu w oczy promieniejącym wzrokiem — jedziemy do nas na obiad. Borys czeka, mrozi szampana.

— Aż taka uroczystość?

— Ogromna!

W taksówce zaczęła go całować:

— Kochany, słodki, biedactwo, tak nacierpiał się...

— Luba, chyba pani żartuje?! Taki drobiazg! Żebym tylko większych zmartwień nie miał.

— Tak, prawda, Borys mówił, że kapitanowi byle czem nie zaleją sadła. Kochany!

— Borys? — zrobił do niej oko.

— I Borys też. Nie masz pojęcia, kapitanie, jak wysiłał się, by ci dopomódz! On za ciebie dałby się porąbać.

Zalkind stał na balkonie i już zdaleka powiewał ku nim chusteczką, poczem, kulejąc bardziej niż zwykle, wybiegł aż na schody.

Mocno uścisnęli sobie dłonie

— Hallo, old Jack! — powiedział Drucki.

— All right, John! — ochryplym głosem odpowiedział Zalkind.

A Luba stała tuż przy nich i czuła, że jej serce wyrywa się z piersi.

Weszli do salonu i mężczyźni długo nic nie mówili, siedząc naprzeciw siebie.

Luba, nucąc jakąś piosenkę, krzątała się w jadalni.

— Myślę, Jack, że mamy ładną wiosnę — zauważył Drucki.

— Dni robią się coraz dłuższe — dorzucił Zalkind.

I obaj odchrząknęli.

— Wiecie — zawołała, stojąc w drzwiach, Luba — że w tem musi być kobieta. Głowę dałabym, że kobieta. Chodźcie, już podają.

— Bardzo możliwe — powiedział Zalkind — bo przecie kapitan wrogów tu nie r.a. Co pan sądzi o tem, kapitanie.

— Jestem ciemny, jak tabaka w rogu.

— Ale prawda, Borys, że kapitan zostanie uniewinniony?

— Hm... Któż to może wiedzieć? W każdym jednak razie mamy teraz dość czasu, by na własną rękę rzecz zbadać.

— A co, Jack, pan od początku byłeś pewny, że mi morfinę podłożono?

— No, naturalnie! Po jakiego diabła zajmowałby się pan morfiarą? Przecież o pieniądze panu nie chodziło nigdy, kapitanie, a dla sportu? To też nie pański rodzaj.

— A spirytus? — zaśmiał się Drucki.

— W spirytusie pluskały kulki, kapitanie! Ba! Alboż to i z armat nie walili do pańskiej „Aurory”?!

— Dobre były czasy, co, Jack!

— Ba!

— A pozatem — postukał się w czoło Drucki — byłbym skończonym idjotą, gdybym trzymał morfinę w biurku.

— Powiadam, że to jakaś kobieta — powtórzyła Luba — niech się pan zastanowi, kapitanie, czy nie może tu w grę wchodzić kobieta?

Drucki roześmiał się.

— Za dużo ich wchodziłoby w grę — domyślnie odpowiedział Zalkind.

— Ale! — zawołał Drucki — wyobraźcie sobie, że na kilka godzin przed najściem policji, otrzymałem anonim z ostrzeżeniem, że będzie rewizja.

— Anonim?

— Tak. Podpisany był „dobry przyjaciel”, czy coś w tym rodzaju, i ostrzegał przed rewizją, radząc usunąć wszystko”.

— Ajajaj! — podrapał się po nosie Zalkind.

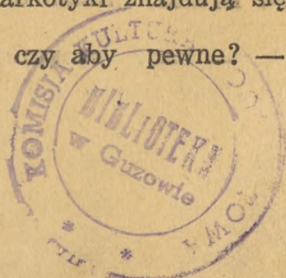
— Właśnie! Myślałem, że to jakaś mistyfikacja. Miałem przecie zupełnie czyste sumienie

— A kto mógł to napisać?

— Djabli wiedzą.

— Bo ciekawe, że — jak tego dowiedziałem się, po pańskim aresztowaniu, policja też otrzymała anonimową denuncjację na „Argentynę”. Tylko w tej denuncjacji było podane, że narkotyki znajdują się u sekretarki dyrektora.

— Skąd pan wie o tem, czy aby pewne? — Zdziwił się Drucki



— Najpewniejsze. Moja siostra dowiedziała się, przez jednego wywiadowcę z Urzędu Śledczego. Donos był napisany ręcznie i wysłany pocztą do prokuratora, a dopiero prokurator przesłał ten anonim policji. W policji nawet bardzoby chcieli złapać tego, co anonim wysłał, bo daliby mu też bobu.

— Autorowi donosu?

— Tak. Bo on, uważa kapitań, napisał, że dlatego zawiadamia wprost prokuratora, bo policja wzięłaby łapówkę i zatuszowała sprawę.

— Głowę dam, że to kobieta! — twierdziła Luba.

— No, a drugi anonim, ten do mnie z przestroga?

Pani Luba zamyśliła się:

— Kto wie? Może ta sama kobieta?...

— że opamiętała się w ostatniej chwili? — zapytał Drucki.

— Kobiety są nieobliczalne — odpowiedziała

Jednak Załkind wykluczał tę możliwość. Gdyby anonimy pochodziły z jednych rąk, byłyby oba pisane na maszynie.

— W każdym razie, kapitanie — ciągnął — teraz, gdy jest pan na wolności, znacznie łatwiej panu będzie wyszukać zamieszane w to osoby.

Dlatego też Drucki nie pojechał na Dębową. Zadzwoił z mieszkania Załkinda do Brunickiego i zawiadomił profesora, że został wypuszczony za kaucją do czasu rozprawy sądowej. Profesor ze swej strony również ostrzegł przed inwigilacją, tem samem dając do zrozumienia, że narazie rezygnuje z pomocy Druckiego.

— A czy wszyscy zdrowi? — zapytał ogólnikowo Drucki, myśląc o porwanej przez siebie dziewczynie.

— Bądź spokojny — zapewnił go Brunicki — wszystko jest w porządku.

— Nie będę się odzywał do ciebie, Karolu, póki ta rzecz nie skończy się.

— Jakże przewidujesz zakończenie?

— Jestem niewinny. Podłożono mi, widocznie przez zemstę, tę morfinę.

— I ja tak myślałem — powiedział profesor — Może potrzebujesz pieniędzy?

— Nie, dziękuję ci.

— Więc życzę ci powodzenia.

— Servus.

Położył słuchawkę.

Długo jeszcze rozmawiał z Lubą i z Borysem o swojej sprawie i o szkodach, jakie cała awantura wyrządzi „Argentynie”.

— Obawiam się, że publiczność przestanie chodzić — martwił się Zalkind.

— A ja nie przypuszczam. Ci goście, co mnie znają, nie powinni uwierzyć w moją winę.

— Naturalnie! — zawołała Luba.

W hotelu portjer i cała służba przyjęli Druckiego z dość chłodną rezerwą.

Kończył właśnie przebieranie się, gdy przyszedł doń dyrektor hotelu.

— Strasznie przykra historia — zaczął.

— Przykra — wzruszył ramionami Drucki, — ale skończy się dobrze.

— Ja też tak sądziłem — powiedział dyrektor z miną świadczącą, że wcale tak nie sądził.

— Czemże mogę panu służyć?

— Ja... tego... przyszedłem — jąkał się dyrektor — zapytać, czy szanowny pan nadal zatrzyma swój numer?...

Drucki wyprostował się i prosto spojrzał mu w oczy:

— Zatrzymam.

— A, no tak... Bo myślałem..

— Nie dogadza to może panu? — zapytał z groźbą w głosie.

— mnie? — uderzył się w piersi dyrektor — skądże mnie?

— No to dobrze. Jeżeli zaś komukolwiek to nie podoba się, przyślij go pan do mnie. Ręczę panu, że mu... dogodzę.

— Che... che... — śmiał się dyrektor — pan to jest prawdziwym amerykańnikiem. I doprawdy źle mnie pan rozumiał. Skoro zamierza pan nadal zaszczyścić nasz hotel...

— Zamierzam zaszczyścić nadal — przerwał mu Drucki — a teraz żegnaj pana.

— Moje uszanowanie panu.

Dyrektor, który przyszedł oczywiście z zamiarem wymówienia Druckiemu gościny, wyszedł z niczem.

Na dworze był dopiero zmierzch, gdy Drucki zjawił się w garażu.

Tu przeciwnie — powitano go z radością, a szofer, zarządzający garażem odprowadził go na stronę:

— Proszę pana, był taki agent z Urzędu Śledczego i kazał mi telefonować doń, jeżeli tylko pan pojeździ wyszykować wóz do dalszej drogi. Takie szpicle, cholera! — zakończył z oburzeniem, zaprawionem odrobiną podziwu.

— Dziękuję panu — potrząsnął ręką Drucki — w żadną dalszą podróż nie wybieram się. A teraz daj mi pan wóz. Przewietrzę się trochę po tej ciupie.

— Z pana to morowy człowiek — zaśmiał się szofer — tak tu mówilim ze sobą, że panu i wszyscy „jabli nie daliby rady.

Gdy wóz zniknął za bramą, szofer zwrócił się do pomocnika, i wskazując głową w kierunku odjeżdżającego auta, powiedział:

— Złoty gość. Już ja niejednego widziałem, na ludziach znam się, a ten to i swój chłopak, można powiedzieć, co to nie nawali i pan z panów całą gębą. No, co stoisz, jak malowany? Zamykaj!

R O Z D Z I A Ł 12.

O uwolnieniu szefa nie wiadano w „Argentynie“. To też jego zjawienie się wywołało wśród personelu sensację.

Wszyscy pracownicy zebrali się w hallu. Z uśmiechem ścisnął im dłonie. Potem zamknął się w gabinecie z kasjerem i z Grabowskim. Wysłuchiwał ich sprawozdań, przejrzał książki.

Frekwencja istotnie znacznie spadła, lecz Drucki bardziej zmartwił się tem, że obniżył się też poziom publiczności. Zdarzały się ordynarne awantury, a raz nawet musiano wezwać policjanta.

— Z tem musimy z miejsca skończyć. Panie Grabowski, niech pan tu wezwie portjera i Wrzoska.

Starszy kelner Wrzosek i Grabowski otrzymali kategoryczne polecenie zupełnego ignorowania nieporządnych gości.

— A w razie awantur zawiadamiać mnie.

Portjer zaś miał odtąd nie wpuszczać byle kogo, co mu się zresztą podobało:

— Może pan dyrektor być spokojny — powiedział — od dziesięciu lat jestem portjerem po pierwszorzędnym interesach i wszystkich porządnym gości znam, a hołodrańca poznam o milę.

Następną czynnością Druckiego był drobiazgowy przegląd lokalu. Znalazł wiele zaniedbań i nieporządków. Winowajcy otrzymali po jednym, krótkim spojrzeniu. To im wystarczyło.

Gdy wrócił do gabinetu była już tam Tecia. Musiała już przed przyjściem do „Argentyny“ dowiedzieć się o uwolnieniu Druckiego, gdyż ujrzał pęk kwiatów na swoim biurku.

Ze wzruszenia drżały jej usta, a oczy jarzyły się radością.

— Nareszcie, nareszcie... Boże drogi — szeptała, kurczowo ściskając jego dłonie — a to wszystko przezemnie przez moją głupotę. Ty mi do śmierci tego nie darujesz....

— Czego głuptasku, czego? — śmiał się, tuląc ją do piersi.

— No tego, że ja włożyłam tę przeklętą paczkę do biurka, ale ja naprawdę nie myślałam...

— Uspokójże się niemądrasku, najmniejszego żalu do ciebie nie mam. Tyle samo jesteś winna co i ja. Ale nie smuć się, bo już minęło. No, nosek do góry i daj pyszczka... Tylko poco robisz wydatki na kwiaty — pogroził jej palcem.

— Na kwiaty? — zdziwiła się.

Ruchem głowy wskazał biurko.

— To nie ja — potrząsnęła głową.

— Nie ty?

Zbladła i powiedziała:

— To Kazia.

— Eee.... skądże.

— Z całą pewnością. Gdy wchodziłam, na własne oczy widziałam, jak kładła tu te swoje kwiaty.

Drucki nagle zmarszczył brwi. Uderzyła go myśl:

— A może i morfina?...

Tak, mogła tak samo wejść i położyć. Tylko w jakim celu? Zaniedbywał ją ostatnimi czasy, ale przecież był dla niej dobry, nie miałyby za co mścić się aż w tak łajdacki sposób.

— Nie, nonsens — powiedział głośno.

— Ależ to ona, sama widziałam — zapewniła Tacia, sądząc, że Drucki myśli o kwiatkach.

— Jakto? — zerwał się. — Widziałas?

— Widziałam. Układała je bardzo starannie.

— A... kwiaty!... No tak — zaśmiał się — teraz do roboty.

Załatwił zaległą korespondencję, podyktował kilka wzmianek reklamowych do prasy.

Z sali dochodziły dźwięki orkiestry i gwar głosów. W korytarzu coraz częściej rozlegało się przytłumione dywanem dudnienie szybkich kroków. To kelnerzy, kursujący między kuchnią a dancینگiem.

Przyszedł kasjer Justek:

— Dziś nieźle, panie dyrektorze. Połowa łóż zajęta i prawie wszystkie stoliki.

— No muszę się pokazać — zdecydował się Druciki — urządę im dziś kocią muzykę.

Jednak szedł ociągając się. Niezbyt to miło świecić czołem, gdy się jest tak usmarowanym choć i niewinnie.

Przechodząc obok pokoju „artystów“ ujrzał Kazię.

— Jak się masz, mała? — zawołał wesoło — poco wyrzucasz pieniądze na kwiaty? No, ale dziękuję ci. Cóż się tak na mnie gapisz?

Rzeczywiście patrzała nań rozszerzonymi oczyma, jakby z przestraczem.

— No? — pogładził ją po policzku.

— Dyrektorze — wyszeptala — ja mam panu coś ważnego do powiedzenia.

— Ważnego? O, słucham?

— Nie, nie tu. Na osobności. Ja przyjdę do gabinetu po moim występie. Tylko w cztery oczy.

— Dobrze.

Znikła za drzwiami.

Już z za kontuaru amerykańskiego baru ogarnął wzrokiem salę. Nie brakowało stałych bywalców. Właśnie orkiestra kończyła bostona i pary tańczących rozchodziły się do stolików.

Jego zjawienie się na sali wywołało chwilę ciszy. Nagle ktoś głośno krzyknął:

— O! Patrzcie Winkler! Servus dyrektorze! Servus!

— Vivat! — wrzasnął ktoś z kąta.

Z drugiego rozległy się oklaski. Zrazu samotne pociągnęły jednak za sobą inne, brawa przeszły w huk, napelniający salę. Pojedyńcze okrzyki zmieniły się w ogólny hałas.

Niektórzy mężczyźni powstawali i otoczyli Druckiego zwartem kołem. Pytania, zapewnienia, szczere uściski dłoni, a zdala uśmiechnięte zalotne oczy kobiet.

Orkiestra rznąła w ogólnym zgiełku fanfary. Służba z pełnemi rękoma zamarła w bezruchu, tłocząc się w drzwiach.

Grabowski pochylił się do Justka i krzyczał mu do ucha:

— Ma szczęście do ludzi nasz stary! Co!?

Dancing grzmiał.

Miauczenie udało się świetnie. Drucki wracał do gabinetu sam rozbawiony, jak nigdy, kiedy zobaczył oczekującą nań Kazię:

— No, mała?

— Ale ja muszę w cztery oczy — powiedziała dziewczyna, wskazując ruchem głowy drzwi, z których rozległ się lekki klekot maszyny do pisania.

— To, może jutro?

— Nie, muszę dziś. Bardzo ważna sprawa.

Drucki zamyślił się:

— No, więc dobrze. Przyjdź za pół godziny. Wyprawę pannę Tecię do domu.

Nie zastanawiał się nad tem dłużej. Podpisał przygotowane listy i zwolnił Tecię:

— Dowidzenia mała. Idź do domu.

— Mnie się nie śpieszy — spuściła oczy

— Będę tu miał różne rozmowy, a roboty już niema. Dowidzenia i niech ci się aniolki przyśnią. Zobaczymy się dopiero jutro.

Ostatnie dwa słowa wypowiedział z naciskiem. Nie chciał, by przychodziła teraz do hotelu. Napewno i on, a może i ona są teraz śledzeni.

Przysiadł na parapecie okna, przeglądając ra-

chunki i czekał. W kilka minut po wyjściu Teci w drzwiach ukazała się Kazia.

— No, chodź tu i gadaj. Co się stało?

Stała przed nim milcząca z szeroko otwartymi oczyma, z których wyglądał strach.

— Cóż u diabła, oniemiałaś, moja mała?

— Niech mnie pan tak nie nazywa — powiedziała cicho — nie jestem tego warta. Za chwilę kopnie mnie pan jak psa, bo na nic innego nie zasłużyłam. To ja podłożyłam morfinę.

Drucki wstał, włożył ręce w kieszenie spodni i wolno podszedł do niej.

— Upiłaś się?! — zapytał spokojnie — jesteś pijana?!

— Nie — potrząsnęła głową — jestem trzeźwa i mówię prawdę. To ja, podła, podłożyłam. Z zemsty, ze ślepej zemsty.

Położył jej rękę na ramieniu:

— Z zemsty? Kobieto! Za cóż ty się na mnie mścisz? Czem cię skrzywdziłem?

— Ooo... — jęknęła — nie na panu, nie na panu... Dla pana serce wydarłabym ze swojej piersi... Ja na niej chciałam się zemścić.

— Na kim, ty szalona!?

— Na tej Teci, na tej chytrej dziwie, co to świętoszkę udaje, co zabrała mi ciebie... Ja ją chciałam usunąć z pańskich oczu. Ale byłam zagiupia. Nie wiedziałam, jak to zrobić i wszystko spadło na pana. O ja nieszczęśliwa!

Wpiła sobie palce we włosy i oparła się o ścianę.

Druckiemu twarz ściągnęła się, a na czole wystąpiły zmarszczki.

— Więc to ty sprzedawałaś tutaj morfinę?

— Ja, ja... Ja przekłeta, ja zgubiona...

— Opowiadaj — rzucił rozkazująco.

Zacząła opowiadać cichym znękanym głosem. Już dawno poznała niejakiego Cierżawskiego, takiego machera od wyścigów i od innych rzeczy i on ją na-

mówił. On przynosił jej do domu morfinę i on sam brał z góry pieniądze od odbiorców, a jej zadaniem było tylko wręczanie im słoików. Przychodzili tu, a ona wręczała. Cierżawski płacił jej po pięć, dziesięć złotych od słoika, a sam, hajdak, brał od nabywców po dwadzieścia złotych za gram. I to jeszcze oszukiwał ich, bo z każdego pięćdziesięciogramowego słoika odsypywał potrochu. Sama to widziała, bo on to robił u niej w mieszkaniu. A odbiorcy nawet tego nie zauważyli, bo zawsze byli zdenerwowani i zadowoleni, że otrzymują.

— Bo wiadomo, wybuła takim u okazuszy tyśiąć złotych, a czy to starczy, to i nie wiadomo. Pan dyrektor niema pojęcia co to za numer ten Cierżawski.

— Znam go. Mów dalej.

— On i polityką zajmuje się, mówi, że ma stosunki i że mu nikt nic nie zrobi. Ale zobaczymy! Otóż niektórzy goście byli tak zadowoleni, że jeszcze ten i ów wsunął mi do torebki jeden dwa papierki. Nie mogłam się skarżyć. Najwięcej dawali stali odbiorcy. Ale jak ja zobaczyłam, że ta świętoszka całkiem paną opętała, to djabeł jakiś we mnie wlaź. Myślę, co mi po tych pieniądzech, a ją tak zapakuję, że jej prędko pan nie zobaczy. A ot... tymczasem..

Odwróciła się doń plecami i zapłakała.

— Dalej! — krzyknął brutalnie.

— A no — ciągnęła, łkając — złe mnie podkusiło. Poprosiłam takiego jednego, żeby mi napisał donos do prokuratora.... I posłałam. A wieczorem, jak ta Tecią wyszła za potrzebą, wpałam tu i wsunęłam paczkę za jej torebkę.

— Och, ty idjotko! — wzruszył ramionami Drucki.

— żebyś przypuszczała, że ta cholera znajdzie paczkę i wsunie panu do biurka!... Ale ja myślałam, że policja prędeż przyjdzie i żeby pośpieszyli, to ta świętoszka nie zdążyłaby. Akurat złapałaby ją...

— Jak mogłaś! Jak mogłaś!?

— Potem głową w ścianę tłukłam, tą moją głupią głową. Ale co miałam robić? Jeszcze myślałam sobie, że pana wypuszczą, a ją zatrzymają... Ale tak wszystko nagle spadło i ten s.....n Cierżawski jeszcze do mnie się czepia, że taki majątek — powiada — zaprzepaściłam, dziesięć tysięcy złotych, a ja mu figę pod nos, bo mówię, że rewizja przyszła i co, miałam sama dać się złapać?

— No i cóż teraz będzie? — zapytał ponuro Drucki.

— Co będzie? — zapytał ponuro Drucki.

Wyjęła z torebki grubą kopertę i pokazała Druckiemu. Niezbyt wprawną ręką wypisany był na niej adres:

Do Wielmożnego Sądu Okręgowego w Warszawie.

— Co to jest?

— A no opisałam tu całą prawdę i co, i jak. Wszystko poporządku. że nikt nie winien tylko ja i Cierżawski. Wszystko opisałam.

Rzucił list na biurko i zaczął chodzić po pokoju z rękoma w kieszeniach.

— A pana przepraszam, przed Bogiem przepraszam i proszę o darowanie. Jestem zła i nieszczęśliwa. Djabłu duszę zaprzedałam, ale swój honor mam. Ten list jeszcze dziś wyślę.

Chrząknął i zatrzymał się przed nią:

— I cóż, uciekniesz?

Uśmiechnęła się blade.

— A paszport masz?

— Mam. Mam dobry paszport — przycisnęła torebkę do piersi.

— Bo jak cię złapią — ostrzegł, — to dwa, albo i trzy lata murowane. Może nawet i więcej.

— O, nie, z tym paszportem przejadę tak, że mnie nikt nie znajdzie.

— Zagranicę jedziesz, oczywiście?

— Tak -- kiwnęła głową, po chwili milczenia,

dodała: — nic tu już po mnie, nic po wszystkim.

— No, jesteś młoda, ładna, zrobisz jeszcze zagranicą karierę — powiedział, patrząc w okno.

— Ścierka — odezwała się bezwzględnie.

Odwrócił się zdziwiony:

— Jaka ścierka?

— Ja jestem ścierka, łachman... O, niech pan wie, że przez ten tydzień ja więcej zmądrzałam niż przez całe życie... Pójdę już — wzięła list z biurka — nie pożegna się pan ze mną?...

Głos jej drżał.

— Nie jestem tego warta, ale niech pan ot tak, przez litość...

Podszedł do niej i pogładził ją po włosach, po policzku:

Chwyciła jego rękę i przyłgnęła do niej ustami.

— Jedź. A list lepiej wrzuć, jak już będziesz zagranicą. Ty przez Gdańsk, czy jak?... Wizę masz?... Pokażno paszport.

Odskokczyła, jak oparzona.

— Nie, nie, ja wszystko mam w porządku i wizy i papiery.

Przyjrzał się uważnie i zrodziła się w nim podejrzenie.

— Daj tu paszport! — kazał.

— Dowidzenia! — zawołała i rzuciła się do drzwi.

Jednym skokiem był przy niej, jednym szarpnięciem wyrwał jej torebkę. Przekreślił klucz w zamku, wyjął i schował do kieszeni.

— Oddaj, niech pan odda — błagała.

— Cicho! — huknął na nią.

Otworzył torebkę: list, chusteczka, puderniczka, pomadka do ust i — mały czarny rewolwer.

Drucki wyjął broń, podrzucił do góry, złapał za lufę w powietrzu i schował do kieszeni.

Dziewczyna klęczała, skulona na ziemi z głową

ukrytą między ramionami, a szloch wstrząsnął tym bezradnym kłębkim ciała.

Drucki stał i milczał.

Wyjął papierosa i zapalił, nie śpiesząc się rozerwał kopertę i rozwinął duży arkusz papieru.

Pod śmiesznym, naiwnym nagłówkiem: „Wielmożny Sądzie Okręgowy“ zaczynało się:

„O śmierć moją proszę nikogo nie winić. Odbieram sobie...”

Nie czytał dalej. Złożył arkusz i szarpnął. Przez pół i jeszcze raz przez pół i jeszcze raz.

Posypały się na dywan małe skrawki papieru. Jedne padały tuż przy jego nogach, inne odlatywały dalej.

Strzepnął ręce, zgasił papierosa, pochylił się nad Kazią, wziął ją za ramiona, bez wysiłku uniósł i posadził na stole. Trzęsła się, jak w febrze, twarz miała mokrą od łez.

— I cóż ty sobie myślałaś, smarkata, — zaczął drwiąco — że takie szczenię, jak ty, ma jechać na tamten świat, bo takiemu słoniowi, jak ja, ktoś czemś grozi? Patrzcie-no! Ofiarę mi tu robi! Poświęcenie!...

Roześmiał się, a ona wciąż płakała, spoglądając nań od czasu do czasu zażawionemi oczyma.

Tłumaczył, strofował, żartował, gniewał się, wymyślał, groził, upokarzał, aż przestała szlochać i uspokoiła się.

— No, sama widzisz, że byłaś głupia?

— Nie, potrząsnęła głową.

— Ale dasz mi słowo, że będziesz mnie słuchała?

— Będę.

— Więc teraz zapudruj nos i marsz do domu.

Coś dla ciebie wymyślę. Ale, jeżeli zrobisz to, jeżeli swoim głupim samobójstwem obciążysz moje sumienie, to ci nigdy nie przebaczę. Zrobiłaś mi krzywdę, chcąc, czy mimowoli, ale zrobiłaś. Prawda?

— Wielką krzywdę — szepnęła.

— No, widzisz i chcesz ją naprawić?

— Chcę.

— Zatem pozwól mi, bym ja sobie wybrał satysfakcję. A ty chciałaś mi jeszcze jedną krzywdę zrobić.

— A jak pana zasądzą?

— Nie bój się, nie zasądzą. A jeżeli nawet, to już nie twoja rzecz. Masz słuchać i tyle. Buzię na kłódkę i rób tymczasem swoje. A ja coś dla ciebie...

Zapukano do rzwi i Kazia drgnęła.

Drucki otworzył. Za drzwiami stał chłopiec z portjerni:

— Tam jeden pan do panny Kazi.

— Kto taki? — zapytał Drucki.

— Taki łysy jeden.

— To on — spochmurniała Kazia — Cierżawski.

— Czekał — kazał chłopcu Drucki i, zamknawszy mu drzwi pod nosem, zwrócił się do niej — czego ten iotr chce od ciebie?

— Wiadomo, — wzruszyła ramionami — chce, żebym morfinę wręczała odbiorcom. Ale ja za żadne skarby... Dość mam tego...

— Więc słuchaj, — wziął ją za rękę Drucki — idź do swojej garderoby i za dziesięć minut masz iść do domu. A nie przyjdź jutro! To ci nic nie powiem!

Cniała go znowu pocałować w rękę, lecz ofuknęła ją.

— Dajże spokój, głupia. Jeszcze nie jestem biskupem.

Cmoknął ją w policzek i mocno poklepałszy po plecach, wypuścił na korytarz.

— Słuchaj, chłopcze, i uważaj: pójdziesz do tego łysego i powiesz, że panna Kazia nie może do niego wyjść, ale że czeka na niego...

— W garderobie — pojętnie zakończył chłopak.

— Nie w garderobie, a tu, w gabinecie. Powiedz, że jest sama i czeka. Żeby koniecznie przyszedł. Rozumiesz?

Czekał długo. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Cierzyński, wysoki, tęgi, prawie czterdziestoletni drab z lysą czaszką i z grubym faldzistym karkiem. Zrobił ruch, jakby się chciał cofnąć, lecz opanowawszy się, zawołał z uśmiechem na błyszczącej, obłej twarzy:

— A, kogo widzę, kochany pan dyrektor Winkler.

— Cieszę się, że pana widzę, panie Cierżawski.

— Ja właściwie nie do kochanego dyrektora, ale chłopiec mi tu wskazał. Skoro jednak...

Urwał, bo Drucki podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

— Zamykam, — wyjaśnił — bo chcę, by nam nie przeszkodzono. A ja mam z panem do pomówienia, panie Cierżawski.

— Zawsze do usług — bąknął ten niepewnie.

— Wię pan, że jestem oskarżony o handel morfiną?

— Właśnie! Co za nieszczęście — jęknął żałośnie Cierżawski. — To napewno jakieś nieporozumienie, a tyle przykrości!

Drucki systematycznie zdjął marynarkę i powiesił ją na poręczy krzesła. Cierżawski natychmiast zorientował się w sytuacji i zrobił krok ku drzwiom.

— Czekał! — warknął Drucki, nie ruszając się z miejsca.

— Czego pan chce odemnie, panie Winkler?

— Chcę ci podziękować osobiście za uprzejmość, zanim poczęstują cię kryminałem.

— Niby za co? — bezczelnie podniósł głowę Cierżawski.

— Nie bój się, draniu! Już mam wszystko. Twoja Kazia powędrowała na posiedzenie, a i tobie kilka lat odpoczynku się należy.

— Niech mnie pan wypuści!

— Nie, braciszku, niema tak dobrze.

Szedł ku niemu wolno, uśmiechnięty, spokojny,

jak nigdy. Nie mógł go wprawdzie oddać policji, gdyż równałoby się to wydaniu i Kazi, ale ten musi mu zapłacić za wszystko.

Cierżawski cofał się krok za krokiem. Z małych zatłuszczonych powiek, strzelały szybkie, nespokojne spojrzenia, szukające drogi ratunku, na lśniącej twarzy wystąpiły grube krople potu.

Znalazł się już w kącie i jego grube ręce o palcach przypominających serdelki, podniosły się obronnym ruchem.

O sekundę, o ułamek sekundy zapóźno.

Zwarty węzeł pięści mignął błyskawicznym łukiem i ze straszliwą siłą spadł na szeroki nos Cierżawskiego. Niemal jednocześnie druga pięść sztychowym uderzeniem w ogromny brzuch skurczyła jego ciało w wielki kłęb, który pod nieustającymi ciosami zwiżał się, falował, przewalał w sobie, zmieniając swój kształt.

— Aaaaa... — charczał Cierżawski.

To, że nie próbował obrony, zwiększyło jeszcze bardziej pasję Druckiego. Olbrzymie chłopisko, zdrowe, niczem wół, a takie niemrawe.

Silnem pchnięciem wyrzucił go na środek pokoju i zaaplikował kilkanaście nowych ciosów, niezwykle bolesnych. Drab wydobył z siebie głuchy ryk i zaczął bezładnie machać rękami.

— Licz zęby! — krzyknął Drucki i potężny cios spadł na szczękę z prawej strony. Cierżawski zatoczył się, lecz nie upadł, gdyż z lewej otrzymał jeszcze silniejsze uderzenie i znowu z prawej, a wreszcie sprawne pod brodę.

Teraz runął na podłogę, jak piorunem rażony, całym ciężarem swoich niemal stu kilogramów. Musiał jednak być niesłychanie wytrzymały, gdyż nie stracił przytomności. Jego oczy żarzyły się wściekłością, z grubych ust język wypychał krwawą pianę z wybitemi zębami.

— Dentysta policzyłby ci za to ładnych parę złotych — powiedział Drucki, lekko dysząc.

Cierżawski nagłym ruchem sięgnął do tylnej kieszeni, lecz zanim zdołał wydobyć broń, otrzymał tak błyskawiczne kopnięcie w łokieć, że zawył z bólu i poderwał się na równe nogi.

— A widzisz, wróbelku, — zaśmiał się Drucki i natychmiast odskoczył, gdyż Cierżawski pochylił się całym tułowiem. Było jasne, że chce atakować tak zwanym „bykiem”, czyli uderzeniem głowy w dółek przeciwnika.

Drucki dobrze to znał. Kiedyś, gdy jeszcze był niedoświadczonym młodzieńcem, został zwalony takim ciosem na tydzień do szpitala i w dodatku połamał sobie kości trzech palców o twarde łeb irlandzkiego bosmana. Wiedział, jak się ma bronić. Są tylko dwa sposoby: uskoczyć i wyrznąć pięścią w odsłoniętą nasadę czaszki — to znaczy zabić na miejscu, i drugi, odparować uderzeniem kolana.

Nie ruszył się z miejsca i gdy lśniaca czaszka rozmachem całego tułowia zamierzyła się do ataku, w samą porę poderwał kolano. Trafił w pochyloną twarz między oczy i głowę Cierżawskiego, opisawszy wielki łuk, pociągnęła za sobą tułów i grzmotnęła ciecieniem o podłogę.

Leżała teraz bezwładna nawznak ta góra mięsa i sadła z twarzą, przypominającą opuchłą i niezbyt świeżą wątrobę.

Drucki z pewnym wysiłkiem przewrócił go plecami do góry, wyjął rewolwer z tylnej kieszeni i schował do swojej, poczem podciągnął Cierżawskiego i posadził go na ziemi, oparłszy o ścianę.

Sam stanął naprzeciw i z satysfakcją przyglądał się swemu dziełu. Lubił solidną robotę.

Wyladował furję i teraz był w doskonałym humorze. Cierżawski jęczał, zwolna odzyskując przytomność.

— No — zaczął Drucki — tym razem, wróbelku,

pomacałem cię lekko. Ale nie życzę twojej siwej prababce, byś się kiedyś na oczy mi nawinął. Wówczas, robaczku, obawiam się, że dla djabłów na piecyste mało z ciebie zostanie i do trumny cię przez lejek wleje twoja nieutulona w żalu rodzina...

— Wody!... — chrapliwym głosem odezwał się Cierzawski.

— Przyjemności na później, gołąbku. Teraz gadaj: masz dosyć?

Stęknęcie było jedyną odpowiedzią.

— Więc zbieraj twoje gnaty i niech cię diabli porwą. Na ten raz daruję ci. Idź na zbity łeb.

Cierzawski spojrział nań nieufnie z pod straszliwie opuchniętych powiek:

— To znaczy — zapytał — że pan nie wezwie policji?

— Nie. Pal cię lichu.

Z trudem, jęcząc i krzywiąc się, podniósł się z ziemi i, zataczając się, padł na krzesło. Wsadził gruby palec w usta.

— Prawie wszystkie zęby — skarżył się żałośnie.

— Uważaj na resztę! — ostrzegł Drucki. — Najlepszym sposobem konserwacji pozostałego uzębienia jest unikanie spotkania ze mną. A teraz uważaj. Puszczę cię i zmiataj na cztery wiatry. Nie radzę ci zaglądać do domu, bo tam już na ciebie czeka pewno policja. Twoje mieszkanie i mieszkanie twojej współpracownicy jest obstawione. Wal na dworzec kolejowy i korzystaj z tego, że teraz cię rodzona matka nie pozna. Masz pieniądze?

— Mam... Ile pan chce?...

— Idźże do diabła ze swymi pieniędzmi. Nic nie chcę — nacisnął dzwonek i otworzył drzwi.

— A tu na ulicy niema szpiclów? — nieufnie zapytał Cierzawski.

— Myślę, że są, ale pewno pilnują frontu.

— Dlaczego pan mnie puszcza?

— Taka moja pańska fantazja.

Do drzwi zapukał chłopiec. Wszedł i, rzuciwszy okiem na Cierzawskiego, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Uważaj, smarkaczu, — ofuknął Drucki — ten oto pan hrabia czuje się cokolwiek niedysponowany.

Usta chłopca rozciągnęły się od ucha do ucha.

— Jest niedysponowany, bo ma jakieś zmartwienia familijne. Odprowadzisz go do kuchennych drzwi i powiesz dozorczy, by go wypuścił przez bramę. Rozumiesz?

— Tak jest, panie dyrektorze

— Marsz! Uszanowanie panu hrabiemu!

Cierzawski chwiejnym krokiem wyszedł za chłopcem, który po drodze wziął z krzesła jego kapelusz.

Drucki nałożył marynarkę

Sala była już pusta. Służba sprzątała. Huk wentylatorów i brzęk naczyń, pośpiesznie zbierających, głuszył rozmowy.

Znowu obszedł cały lokal, zrobił kasę z Justkiem, wydał dyspozycje i pojechał do hotelu.

Pierwsze promienie słońca zalewały ulicę jasnym przezroczystym, jakby świeżo wymytem światłem.

— W gruncie rzeczy warjat ze mnie — pomyślał Drucki, konstatuując, że samochcąc wziął na siebie cudzą winę — warjat nieuleczalny!

Dodał gazu i świeży wiatr uderzył w zmęczone oczy.

— Ale dobrze jest być warjatem! — zaśmiał się, a motor mu odpowiedział cichym pomrukiem aprobaty.

W powietrzu pachniało bzem.

ROZDZIAŁ 13.

Gdzieś, w najdalszym korytarzu rozległ się pierwszy dzwonek, w sekundę po nim ostro zaterkotał drugi na dole, aż wreszcie i ten już przy ósmej klasie odezwał się radośnie. Nudna, zasuszona pani Krupowa w pół zdania przerwała swój wykład o produkcji ropy naftowej i zaczęła składać książki i notatki.

Nikt już zresztą na nią teraz nie zważał. Panienci powstawały z miejsc, szybko dopinając teczki. Klasa napelniła się gwarem pośpiesznie rzucanych przypomnień o pożyczaniu podręczników, o spotkaniu się wieczorem przed kinem, o wzorach na hafciki. W rzeczywistości żadna z nich nie myślała już o nafcie pani Krupowej, ani o hafcikach, ani o książkach.

Teraz całe były pochłonięte świadomością swobody, tej największej chwili dnia, kiedy znajdują się same na ulicy. Na jedne z nich czekają w pobliskich bramach studenci czy kadeci, na inne więcej jeszcze, bo całe tłumy nieznanym przechoźniów, przystojnych mężczyzn, pod łakomymi spojrzeniami których będą się popisowały sprężystością swoich młodych ciał.

Wysypują się oto na chodnik w swoich granatowych mundurkach z marynarskim kołnierzem, różmiarne, rumiane, piskliwe, śmiałe. Ich oczy iskrzą się, ich krok staje się elastyczny, nerwowy, od którego nawpół rozwinięte piersi drgają pod luźnym materjałem bluzki.

Jakże chciwe są ich świeże nieumalowane usta, jakież wielkie czują w sobie bogactwo te jędrne młode ciała, bogactwo, któreby garściami rozrzucwały

między tych panów w jasnych ubramach o szykownie zawiązanych krawatach. Głupcy! Czyż mogą domyślić się, że mijają oto skarby najfantastyczniejszych pragnień, oszalamiających marzeń, tajonych wstydów!...

Idą po dwie, po trzy, przykulone do siebie, ruchliwe, niezgrabne, rozszczebiotane, odważnie szukające oczyma wzroku mężczyzn, wzroku, który czują na swojej gładkiej skórze poprzez zakieciki.

— Jak myślisz, czy spotkamy dziś tego aktora?

— A ja ci mówię, że to jest inżynier. I w dodatku żonaty. Wczoraj widziałam go, jak kupował papierosy na Marszałkowskiej. Ma na palcu obrączkę.

— Nie krwaw serca Julki!

Julka wzruszyła ramionami:

— On ma rudy zarost i zawsze jest źle ogolony — powiedziała pogardliwie.

— Nie mów! To też ma swoje zalety. Jak tak drapie! To musi podniecać!

Julka w duchu przyznawała jej słuszność, lecz właśnie nadchodził obiekt ich rozmowy, więc zdążyła tylko powiedzieć:

— Idzie.

Wszystkie trzy zrobiły do niego oko i obejrzały się.

Staął i patrzył za nimi z uśmiechem.

— Czekajcie! — zawołała jedna. — Teraz pożegnamy się i zobaczymy, za którą z nas pójdzie.

Zgodziły się. Karpowska poszła w ulicę Śniadeczek, Bodzikówna w Polną, a Julka w stronę domu. Szła prędko. Pewna była, że on idzie za nią, ale bała się obejrzeć. Gdy na rogu Topolowej zdecydowała się wreszcie, przekonała się, że ten cymbał ani myślał jej towarzyszyć.

Pal go sześć! Niechby sobie nawet poszedł za piegowatą Bodzikówną!

Drzwi otworzyła Józefowa.

— Czy panienka będzie czekać z obiadem na panią? — zapytała.

— Zaczekam.

Przebrała się i poszła umyć ręce. Na oknie stała torba papierowa. Zajrzała do niej i zdziwiła się.

— Józefowo! Poco Józefowa postawiła w łazience cukier?

— Jaki cukier?

— No stoi ta torbka z pudrem cukrowym.

Staruszka przydreptała.

— A rzeczywiście. Ale to chyba pani tu przyniosła. Bo kóżby?

— Poco pani przynosiłaby?

— A no w domu zawsze przydać się może.

Julka nakryła do stołu i zadzwoniła do Alicji. Odezwał się woźny i oświadczył, że pani prokuratorka już wyszła, będzie ze dwadzieścia minut, jak wyszła.

Prawie w tejże chwili Julka usłyszała trzask otwieranych drzwi.

— Alu, to ty?

— Ja.

— To świetnie. Można podawać obiad?

— Naturalnie.

Siedziały naprzeciw siebie przy stole i Julka opowiadała, co dziś było w gimnazjum.

— Jesteś blada dziś, Alu — zauważyła ze współczuciem — może się źle czujesz?

— Nie, trochę się przemęczyłam.

— Czy to ty postawiłaś cukier w łazience?

— Cukier? — zarumieniła się Alicja — a tak... tak. Kupiłam sobie do herbaty.

— Puder?

— Właśnie, dali mi przez pomyłkę puder. Zresztą czy to nie obojętne. Powiedz, czy pytano cię już z łaciny?

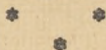
— No, przecie przed chwilą ci mówiłam!

— A tak, tak. Jestem dziś trochę roztargniona. Miałam bardzo męczącą rozprawę.

— To tego bandyty z Mazowieckiej?

— Tak. Dożywotnie więzienie.

Alicja wstała i zabrawszy tekę, przeszła do swego pokoju. Miała jeszcze dużo pracy z przygotowaniem się do jutrzejszego oskarżenia, w sprawie o rozpowszechnianie narkotyków przeciw Janowi Winklerowi, właścicielowi nocnego dancingu „Argentyna“.



Adwokat huśtał się na swym amerykańskim fotelu i milczał.

— Zatem — przerwał ciszę Drucki — jak pan oblicza szanse za i przeciw?

— Gdyby oskarżała nie ta piekielna baba, wierzyłbym w wyrok uniewiniający, a tak... No, powiedzmy z pewną dozą optymizmu, że szanse są równe.

Mecenas Koldinger nie zbyt podobał się Druckiemu. Możliwie, że był rzeczywiście tak sprytny, jakim go przedstawił Załkind, możliwe, że na sali sądowej potrafił wydobyć z siebie energję, teraz jednak robił wrażenie apatycznego i zrezygnowanego, co irytowało w najwyższym stopniu.

— Niech pan mi powie, mecenasie, jedno: czy w razie wyroku skazującego aresztują mnie natychmiast?

— Nie sędzę. Kaucja jest wysoka, posiada pan duże i dobrze prosperujące przedsiębiorstwo, ucieczki pana nie będą się chyba obawiali. Chociaż z drugiej strony, jeżeli prokurator bardzo będzie nalegał...

Drucki wstał.

— Dowidzenia. O której trzeba być w sądzie?

— O dziesiątej. Dowidzenia panu. I niech się pan nie denerwuje. Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy.

Drucki, zbiegając po schodach, żuł przekleństwa. Ładnie go ten adwokat urządzi. Ciepłe kluski. Niby fachowiec, a nie wie. Powiedziałby poprostu: uciekaj pan, bo sprawa przegrana, albo: kpij pan sobie ze wszystkiego, wyrok uniewinniający jest pewny. Wiadomo byłoby czego się trzyma!.

Drucki nie żałował już wypuszczenia z rak Cierżawskiego i swojej wielkoduszności wobec Kazi, którą wysłał do Krynicy, pod warunkiem, że w ciągu roku nie pokaże się w Warszawie.

— Pał ich wszyscy djabli!

Przypomniała mu się Luba i dlatego poszedł do Toni.

Spędził u niej noc i za kwadrans dziesiąta był już w sądzie. Poprawił mu się humor tak dalece, że weselo zapytał woźnego, gdzie tu jest miejsce dla głównej osoby.

Rozprawę wyznaczono w niedużej sali, to też ta wkrótce po brzegi zapełniła się publicznością: kilku panów i około setki pań. Luba, Teczka, generałowa Wolińska, kwiaciarka Zosia, hrabina Holanowska, baletnica Jeresówna, córka prezesa Celińskiego, pokojówka z „Bristolu”, siostra kapelmistrza z operetki, rudowłosa manicurzystka od fryzjera... Wszystko klientki „Argentyny”, lub też jego osobiste, a często łączące w sobie obie zalety, względnie takie, które chciałyby je łączyć.

Drucki swobodnie rozmawiał z mecenasem Koldingerem, który wydawał się dziś zmieniony do niepoznania. Ruchliwy, wesoly, dowcipny, dzielił się ze swym mocodawcą pikantnymi uwagami na temat publiczności.

— Ma pan szczęście do kobiet—mówił—szkoda, że zagalopowało się ono aż tak daleko, że i oskarżycielem jest kobieta.

Prawda! — przypomniał sobie Drucki — co za kaprys losu. Oskarżać mnie będzie ta piękna blondynka! Podprokurator Alicja Horn.

Rozległ się dzwonek i przeciągły ostry głos woźnego oznajmił:

— Proszę wstać. Sąd idzie.

Rumor wstających i z drzwi, znajdujących się za zielonym stołem, wysunęły się postacie trzech starszych panów w togach, oraz małej czupurnej protokolantki w wielkich rogowych okularach.

Jednocześnie z bocznych drzwi weszła Alicja Horn, wysoka, smukła o wspaniałych płonących oczach, zasłoniętych do połowy nieprawdopodobnie długimi rzesami, o wypukłych zmysłowych ustach, których tak pragnął.

Drucki przez chwilę miał nieprzepartą ochotę ukłonić się jej według wszelkich zasad dobrego tonu, lecz pohamował się.

Czytano akt oskarżenia.

Przewodniczący, prezes Turczyński, miły siwy pan o inteligentnym wyrazie twarzy, nerwowy drobny sędzia Pszczółkowski, którego rysy przypominały srokę i referent sprawy, gruby, ponury jegomość, sędzia Hum, z wystającymi z twarzy złego buldoga, krzywymi złotymi zębami.

— Ten mi da bobu — szepnął do wcha adwokato-
wi.

— Hum? Myli się pan. Człowiek o najlepszem sercu. Kolosalnej dobroci. Najgorszy jest Pszczółkowski.

Drucki złapał kilkakrotnie wzrok, wpatrującej się weń aplikantki i spojrzał na Alicję.

Ta nie odrywała oczu od papierów.

— Niemożliwe, żeby mnie nie poznawała — stwierdził w myśli.

Na stole leżała pączka z morfiną: dowód rzeczowy.

— Ach, ta głupia Kazia!

Jakże łatwo mógł się uwolnić od oskarżenia. Wystarczyłoby szepnąć kilka słów Koldingerowi!...

Patrzył na Alicję. Marmurowy spokój, pod którym ukryte jest całe piekło temperamentu. Dlaczego go odepchnęła?...

— Oskarżony Jan Winkler! — rozległ się głos przewodniczącego.

Imię, nazwisko, wiek... Obywatel amerykański, urodzony w Detroit, kapitan marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, później handlowej, obecnie kupiec, właściciel zakładu gastronomicznego „Argentyna“ w Warszawie. Do winy się nie przyznaje. Jak może wytłumaczyć obecność w jego gabinecie paczki z morfiną? — Całkiem prosto. Ktoś podrzucił. Z jakich pobudek?... Może zawiść konkurencyjna, może chęć zemsty osobistej, a może prosto żart... psikus...

— Czy strony mają zapytania?...

Owszem. Prokuratorka Alicja Horn zapytuje, czy oskarżony przychodził do swego zakładu z paczkami? — Owszem. — Czy często?... — Dość często przynosił sobie papierosy, książki...

— Czy „Argentyna“ miała licencję na sprzedaż papierosów? — Ma ją. Ale oskarżony pali inne. — Oskarżony miał dużo zajęć w lokalu? — Tak. — Zatem nie miał wolnego czasu? — Nie, lub bardzo mało. — Kiedyż więc czytał przynoszone przez siebie książki? — Zabierał je zpowrotem do hotelu. — Oskarżony twierdzi, że morfina została podrzucona ze złej woli. Czy oskarżony nie podejrzewa nikogo? — Nie. — Więc ktoś to mógł zrobić? — Może ktoś dla żartu.

Padają zimne, krótkie pytania, wypowiedziane głosem, który dźwięczał jak stal, jak stal, zadająca błyskawiczne, a celnie wymierzone pchnięcia.

Drucki odpowiadał spokojnie. Jego niski baryton nie drgnął ani razu, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że każdą odpowiedzią obciąża siebie, że każde pytanie jest jakby drobnym nakłóciem. Nakłócia jedno przy drugim tworzą oto cały ścieg, prze-

cinający jego obronę. Wystarczy później mocne szarpnięcie i zostaną z niej szmaty.

A pytania wciąż padały. Zręczne, wnikliwe, na pozór niegroźne. Osaczały go ze wszystkich stron, zamykały wszystkie drogi odwrotu. I zatrzymały się nieruchome, czujne i nieprzebyte, jak zasieki z drutu kolczastego.

— Dziękuję. Skończyłam.

Na sali zapanowała głęboko cisza.

— Ona mnie nienawidzi — pomyślał Drucki. — I za co?...

Zaczął pytać adwokat. Był blady, jego usta lekko drżały. Prostu obezwładniała go finezja przeciwnika. Nie wygrał przeciw tej babie ani jednej sprawy, a przecież ta właśnie była do wygrania!

Nastąpiła nowa serja pytań. Drucki odpowiadał z równym spokojem. Nigdy nie miał do czynienia z narkotykami. Dochód przedpłatny z „Argentyny“ wynosi znacznie więcej, niż potrzeba mu na wydatki, książki kupował najczęściej popołudniu, do stolików się przysiadł, ale nigdy nikomu nic nie wręczał, ani pieniędzy żadnych nie inkasował, do gabinetu mógł wpaść na chwilę nawet ktoś z gości...

Odpowiadał, lecz czuł, że zasieki ustawione przez tę piękną kobietę, która nienawidzi go z całej duszy, ani drgnęły.

Przesłuchiwanie świadków. Znowu jej drażniący metaliczny głos, Barman Grabowski, portjer, starszy kelner Wrzosek. Zeznają, że Drucki był lubiony nie tylko przez personel, ale i przez gości. Czy kto mógł mieć do niego złość? Poczciwi powiadają, że broń Boże. A do jego paczek nikt nie zaglądał. Jak dyrektor Winkler mówi, że tam były książki, czy papierosy, to pewno tak i było. A czy brał papierosy z baru? — Czasami brał. — Jak często? — A no raz na tydzień, może dwa. — A może i trzy? — Może.

Koldinger wydobywa z nich, że dyrektor był zawsze wesół, pogodny, dobry dla służby, sprawiedliwy,

że nie był skąpy, że nikt z nich nie widział, by wręczał gościom jakie paczki, lub by brał pieniądze.

Przesuwają się przed stołem sędziowskim świadkowie jeden za drugim. Mecenas Koldinger gryzie wargi i stuka nerwowo ołówkiem o pulpit. Druciki widzi swoją sytuację zupełnie jasno. Odwraca się. Spojrzenie jego spotykają oczy czarne, niebieskie, zielone, orzechowe... Oczy wszystkie pełne przestachu.. Cto odzywa się znowu metaliczny, dźwięczny jak stal, głos i oczy zwracają się na Alicję Horn, oczy odwołujące się do wspomnień — palą się teraz nieważnością.

Przed pulpitem dla świadków staje aspirant policji z Urzędu Śledczego, kierownik brygady, tępiącej handel narkotykami. Wysoki, zgrabny, inteligentny mężczyzna.

— Czy pan może powiedzieć, co zawiera ta paczka? — pyta Alicja Horn.

— Morfinę. W takich paczkach szmuglują morfinę z Niemiec.

— Jakie są ceny morfiny?

— Musiałbym obejrzeć etykiety na słoikach — mówi aspirant.

Sędzia Hum podaje świadkowi paczkę. Ten otwiera pudełko, wyjmując słoik z białym proszkiem:

— Morphium muriaticum — czyta — w handlu legalnym gram kosztuje około złotówki.

— A w nielegalnym jaką cenę można osiągnąć?

— O, to ogromna różnica. Morfiniści płacą za jeden gram od dwudziestu do trzydziestu złotych, a czasem i więcej.

— Zatem, jaką wartość w nielegalnym handlu ma cały ten transport?

Aspirant obejrzał słoiki i policzył w pamięci:

— Jest tu pięćset gram, zatem wynosi to od dziesięciu do piętnastu tysięcy złotych.

Sędziowie spojrzeli po sobie. Na sali nastąpiło poruszenie. Alicja Horn zapytała znowu:

— Czy handlarze narkotykami są ludźmi tak bogatymi, że kwota taka może nie robić im większej różnicy?

— Skądże — zaśmiał się świadek — najczęściej to ich cały kapitał obrotowy.

— Oskarżony twierdzi, że ta paczka wartości kilkunastu tysięcy złotych została mu podrzucona przez kogoś z zemsty, lub też dla... żartu. Czy świadek przypuszcza, że którykolwiek z handlarzy mógłby w tym celu poświęcić taką kwotę?

— Uważam to za absurdalnie niemożliwe. Wystarczyłby mały słoik, gdyż...

Adwokat zerwał się, sam zły na siebie za spóźnione zorjentowanie się:

— Wysoki Sądzie, proszę o uchylenie tego pytania! Świadek nie jest kompetentny w tym względzie.

Przewodniczący Turczyński zerknął na Alicję i otworzył usta, lecz ona zareplikowała:

— Świadek jest kompetentny, gdyż z racji swego stanowiska zna stosunki panujące wśród handlarzy narkotykami. Obrona zaś nie kwestjonuje faktu, że dowód rzeczowy pod postacią dziesięciu słoików zawiera narkotyk, a mianowicie morfinę.

Przewodniczący kiwnął głową i Alicja Horn zadała świadkowi nowe pytanie:

Mecenas pochylił się do ucha Druckiego.

— Przegraliśmy — szepnął ponuro.

— Napewno?

— Bez wątpienia. Dwa, trzy lata.

— Mogą mnie aresztować? — szepnął Drucki.

Adwokat skinął głową i powiedział cicho:

— Jedyne, co mogę zrobić, to zażądać odroczenia, jeżeli pan pan... chce zrezygnować z kaucji i ulotnić się?

— Wal pan — zdecydował się Drucki i pomyślał, że widocznie nie sądzono mu zagrażać miejsca w Warszawie. Znowu ucieczka, znowu włóczęga...

Mecenas Koldinger wstał:

— Wysoki Sądzie, składam wniosek o powołanie eksperta dla zbadania zawartości słoików i odroczenie rozprawy.

— Przecie na słoikach — skrzywił się przewodniczący — jest wyraźny napis.

— Tak — upierał się adwokat — ale etykieta może być nalepiona na słoikach z każdym proszkiem, z sodą, z chininą itp. Wobec powstania kwestji ceny tej paczki, zbadanie produktu jest konieczne i dlatego żądam analizy chemicznej.

Prokurator Alicja Horn oświadczyła, że chociaż wniosek pana obrońcy zmierza do przewleczenia sprawy, jednak nie sprzeciwiła się mu, gdyż w rzeczywistości niepoddanie morfiny, stanowiącej dowód rzeczowy, analizie — jest przeoczeniem śledztwa.

Przewodniczący wstał:

— Sąd udaje się na naradę.

Salę nappełnił gwar rozmów. Mecenas Koldinger pochylił się do swego klienta:

— Muszą uwzględnić mój wniosek.

Drucki wzruszył ramionami. Doskonale wiedział, że to mu nic nie pomoże.

— W każdym razie — mówił adwokat — będzie pan miał przynajmniej dobrą czas. Zanim odeślą morfinę, zanim zrobiona będzie analiza, zanim przyślą orzeczenie... Przepuszczam, że sprawa będzie odroczone nawet na trzy dni.

Drucki rozejrzał się po sali, z uśmiechem kłaniając się paniom, przestracach, których był dlań zabawny. W gruncie rzeczy nic w tem nadzwyczajnego. Jutro o tej porze będzie już daleko. Czyż nie wygląda na takiego, co to sobie potrafi gwizdać na drobne niepowodzenia w tym rodzaju?...

Narada sędziów przeciągała się. Dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny.

— Cóż do licha!...

— Pewno jedzą śniadanie — ziewnął Drucki.

Lecz oto rozległ się dzwonek. Sąd powraca, zaj-

muje miejsca. Wśród zupełnej ciszy przewodniczący komunikuje, iż Sąd przychylił się do wniosku pana obrońcy, postanawiając wezwać w charakterze biegłego stałego eksperta sądowego, docenta Politechniki, doktora Marjana Krawca. Został on już wezwany telefonicznie i wkrótce przybędzie, wobec tego Sąd postanowił nie odraczać rozprawy, lecz prowadzić ją w dalszym ciągu.

Drucki obejrzał się: sala miała troje drzwi, lecz przez żadne z nich niepodobna było próbować ucieczki. Dwoje prowadziło wgląd gmachu, a przejście do trzecich zatłoczyła publiczność. Nadto stał tam policjant.

Tymczasem przesłuchiowano następnych świadków, zatrzymanych w „Argentynie“ morfinistów. Ci nic nowego do sprawy nie wnieśli, potwierdzając jedynie zeznania aspiranta, co do cen płaconych za morfina.

— Jeżeli mnie aresztują — myślał Drucki — na pewno nie dadzą eskorty większej, zaś z jednym policjantem rozprawię się bez trudu.

Przebiegł w pamięci plan najbliższych ulic. Popędzi Miodową do Kapucyńskiej, tu wpadnie do bramy i na drugie podwórze... Zresztą, może obawy są przedwczesne. Skazujący wyrok nie jest jeszcze równoznaczny ze zmianą kaucji na areszt.

Woźny zameldował przybycie eksperta, który też natychmiast został wezwany przed stół sędziowski. Na pytanie przewodniczącego odpowiada, że owszem, może natychmiast zbadać przed Sądem zawartość słoików, gdyż przywiózł ze sobą wszystko, co jest potrzebne do pobieżnej analizy.

Podsuwają mu pudełko. Wyjmuje zeń jeden słoik, potrząsa nim, wysypuje szczyptę białego proszku na papier i przez wydobytą z kieszeni lupę przygląda się mu chwilę.

— No? — pyta niecierpliwie sędzia Pszczółkowski.

— Proszę Sądu — mówi powoli ekspert — morfina zwykle bywa sprzedawana w kryształkach, tu zaś mamy do czynienia z proszkiem tartym.

— Ale bywa i morfina tarta?

— Może być, chociaż ja dotychczas takiej nie spotykałem.

— A czy we wszystkich słoikach jest taka sama? — zapytał przewodniczący.

Chemik starannie obejrzał przez lupę resztę słoików i skinął głową:

— Tak. Morfina krystalizuje się w drobnych igielkach, a tu wszędzie jest miał.

Wydobył z kieszeni dwa flakony. Jeden z cieczą przezroczystą, drugi z rudawą, koloru rdzy. Następnie do dużej epruwetki nasypał po odrobinie proszku z wszystkich słoików i nalał nań sporo przezroczystej cieczy, poczem, zatknąwszy probówkę palcem, zaczął flegmatycznie potrząsać rękami.

Drucki przyglądał mu się obojętnie, przesunął spojrzenie po skupionych twarzach sędziów i zatrzymał wzrok na Alicji Horn. Siedziała nieruchomo, wpatrzona w eksperta. W jej oczach tliła się jakby iskierka ironji. Naturalnie — myślał — przejrzała podstęp adwokata i teraz cieszy się, że podstęp zostanie udaremniiony w ciągu pół godziny.

— Co za djabeł w niej siedzi! — zgrzytnął zębami — och, żebym ją mógł dostać w swoje ręce! Sam może oszalałbym, ale ją nauczyłbym szaleństwa, nauczyłbym, że mnie nienawidzić nie potrafi, wyostałbym z niej całe piekło...

Poczuł wzdłuż stosu pacierzowego przebiegający dreszcz.

Wśród ciszy rozległ się głos eksperta:

— Zmieszałem proszek i rozpuściłem w wodzie dystylowanej. Teraz wleję do tego roztworu kilka kropel chlorku żelaza. Chlorek żelaza wykrywa obecność morfiny, nawet w najdrobniejszych ilościach. Jeżeli w tej próbówce znajduje się bodaj miligram,

bodaj setna część miligrama morfiny, płyn nabierze natychmiast jaskrawej barwy szafirowej.

Wszystkich oczy zawisły na próbówce.

Chemik, nie spiesząc się, odkorkował flakon z rdzawym płynem.

Jedna kropla zawisła na brzeżku i wpadła do próbówki, druga, trzecia, czwarta... piąta...

Bezbarwna ciecz w szklanej rurce zaczęła się zabarwiać na brudno żółty kolor.

Chemik potrząsnął epruwetką i wznosił ją na wysokość oczu.

Mijały sekundy... minuta, dwie... trzy..

Ani śladu niebieskiego koloru. Płyn pozostawał brudno-żółtawy.

W śmiertelnej ciszy sali rozległo się przytłumione:

— Aaaaa....

Ciecz nie zmieniała barwy.

— Aaaaa... — rósł dźwięk ulgi.

— Aaaaa... — potężniał, wydobywający się z licznych piersi, w których obawa i nadzieja zatrzymały oddech.

Oczy adwokata Koldingera rozszerzyły się i, zdawało się, wypadną z orbit.

Drucki przetarł dłonią wilgotne czoło.

Ekspert z niewzruszonym spokojem odłożył swoje przybory, wytarł ręce chusteczką i powiedział:

— To nie jest morfina.

— Czy może pan stwierdzić z całą pewnością?— zapytał przewodniczący.

— O tak. Z zupełną pewnością. We wszystkich tych słoikach niema źdźbła morfiny.

Jeszcze raz przyjrzał się epruwetce i powtórzył:

— Ani źdźbła.

— Cóż to zatem za proszek — odezwał się sędzia Pszczółkowski.

Docent chemji wzruszył wątlami ramionami i bezradnie rozłożył ręce:

— Ustalenie składu tego proszku wymagałoby dłuższej analizy laboratoryjnej. W każdym razie nie jest to morfina. Zresztą...

Zanurzył palec w słoiku i wziął na język odrobinę białego pyłu. Na jego twarzy zjawił się obojętny uśmiech.

— Tak — powiedział — wykluczona tu jest morfina. Wszystkie związki morfiny mają smak wyraźnie gorzki, bardzo gorzki, a to jest zupełnie słodkie.

Przewodniczący Turczyński również wyciągnął palec, dotknął proszku, oblizał, posmakował chwilę, jego brwi podniosły się wyrazem zdumienia i powiedział tonem odkrycia:

— Cukier!

— Najprawdopodobniej zwykły cukier. Puder cukrowy — potwierdził ekspert.

Wśród publiczności rozległy się śmiechy.

Przez mózg Druckiego przebiegały myśli: Cukier?... Skąd? Przecież on wiedział, wiedział ponad wszelką wątpliwość, że w tych słoikach była morfina!

I nagle w jego świadomość uderzył fakt: — dowody rzeczowe przechowywane są przez prokuratora!... Alicja Horn... No tak! Całe oskarżenie skoncentrowała na autentyczności morfiny. Na tem oparła wszystko... Boże! Jakiż ze mnie głupiec!

Adwokat coś mówił do niego, lecz on nie słyszał, nie rozumiał.

— Alicja Horn... A ja myślałem, że mnie nienawidzi... Cóż za potężna skala działania! I odwaga!... Śmiałość raczej. Prawda, że z samej natury swego stanowiska mogła nie obawiać się podejrzeń, że otoczona opinią najsurowszego oskarżyciela...

Ekspert zabrał swoje przybory i przeciskał się do wyjścia.

Przewodniczący ruchem ręki uspokoił szmer sali i powiedział:

— Głos ma pan prokurator.

Alicja Horn wstała. Boże, jakaż ona piękna.
Drucki dostrzegł drwiący triumf na twarzy swe-
go obrońcy i pomyślał:

— A to bałwan!

Alicja Horn powiedziała:

— Zrzekam się oskarżenia — i usiadła, nieco
błada, lecz niezmiernie spokojna i opanowana.

Drucki już nie zwracał uwagi na dalszy przebieg
rozprawy.

Wpił się oczyma w jej opuszczone powieki i pa-
trzał. Patrzał tak długo, aż powieki — uniosły się
zwolna i płomień jej oczu uderzył w jego źrenice.

Och! Trwało to sekundę, ułamek sekundy, — lecz
i to mgnienie wystarczyło, by zrozumiał.

Przewodniczący ogłaszał wyrok uniewinniający,
Ostatnie jego słowa zagłuszył hałas okrzyków i okla-
sków. Początkowo chciał przywołać publiczność do
porządku, lecz powiódłszy wzrokiem po rozpalonych
twarzach kobiecych, uśmiechnął się i machnął ręką.

Alicja stała, a koło jej ust błakał się uśmiech
smutny, uśmiech człowieka, który złamał siebie i za-
parł się siebie — i wie, że wszystko to utonie w
pustce.

Nie patrzyła już na historyczną scenę obsypywa-
nia jego kwiatami. Czula jego wzrok na sobie i szła
zgięta, z opuszczoną głową, nieludzko zmęczona.

Na korytarzu przyłączył się do niej prezes Tur-
czyński. Mówił coś o niedbalstwie sędziego śledcze-
go, o wiecznych niedopatrzeniach, o niedopuszczal-
ności dawania wiary anonimowym denuncjacjom...

Nie słyszała go.

Zaczął pocieszać. Sypał zachwyty nad jej ta-
lentem, rozpywał się podziwem dla jej metod.

— Pocziwiec — pomyślała.

— Niema doprawdy czem się tak martwić, pani
Alicjo.

— Myli się prezes, ja się cieszę — powiedziała
złamanym głosem i podała mu rękę na pożegnanie.

Niezwykły wysilek nerwowy ostatnich dni, bezsenność długich nocy, oddanych na pastwę, walki z sobą, najwyższe napięcie woli, gorączkowa czujność mózgu — wszystko to teraz odezwało się niezmiernem zmęczeniem, przytłaczającym ciężarem, dzwoniącą próżnią.

— I poco!

Za co zapłaciła tak ogromnym haraczem!

— Musiałam... musiałam...

Zresztą i o tem myśleć nie mogła — w głowie miała chaos. Nerwy zdrętwiały. Rozegrała wielką ciężką grę, grę więcej niż śmiertelną. Miała teraz prawo stanąć przed sobą i powiedzieć:

— Zwycięstwo!

Miała prawo teraz stanąć przed światem i powiedzieć:

— Wieździe, że jestem mocna, straszliwie mocna!

A szła blada i czuła w sobie klęskę i czuła w sobie słabe, biedne, samotne serce — kobiety.

Automatycznie ubrała się, wyszła na ulicę, wsiadła do tramwaju. Bezmyślnie patrzyła w okno.

Jakże była wyczerpana, jak bezsilna wobec bezładnego natłoku myśli.

Otworzyła drzwi z zatrasku. Na spotkanie wyszła Józefowa:

— Jezu Nazareński, pani do siódmej bez obiadu, jakże tak można! Cielecina przegrzała się, nie będzie smakować, ale ja nic innego nie mam. Czy zaraz podać?

— Nie. Nie trzeba.

— Wolałabym zaraz, bo to muszę już iść na majowe nabożeństwo.

— Niech Józefowa idzie.

— A obiad?

— Nie chce mi się jeść.

— O tak nie można. Pani zapracowuje się...

— Niech Józefowa idzie, sama sobie wezmę. A gdzie panna Julka?

— Panienska poszła do koleżanki uczyć się. Mówiła, że o dziewiątej wróci.

— Dobrze.

Alicja przeszła do swego pokoju i położyła się na łóżku. Słyszała trzask drzwi, zamykanych przez Józefową, urywane krzyki dzieci, bawiących się na ulicy. Nie spała, lecz pogrążyła się w stan jakby półświadomości.

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Nie od razu uprzytomniła to sobie.

Gdy zadzwonił powtórnie, ciężko wstała. Leniwie przeszła do przedpokoju i otworzyła.

Nagle cofnęła się: — w drzwiach stał on.

W głowie Alicji zawirowało wszystko. Oparła się o ścianę i chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła wydobyć głosu.

Druki nie zdejmując kapelusza zamknął za sobą drzwi, bez słowa podszedł do niej, wziął jej bezwładnie zwisającą rękę w obie dłonie.

Patrzyli sobie w oczy: — oczy o złotawych źrenicach w oczy płomiennie czarne, oczy płomiennie czarne w oczy o złotawych źrenicach.

Pomału wysunęła dłoń z jego ręki i zaczęła się cofać. Wolno krok za krokiem...

— Pani — odezwał się cicho.

Stanęła, drżąc na całym ciele.

— Pani!...

— Czego pan chce, poco pan przyszedł? — zawołała z rozpaczą w głosie.

— Dlaczego pani to zrobiła?... Dlaczego poświęcała się pani dla mnie?... Dlaczego narażała się pani na niebezpieczeństwo?...

Przycisnęła ręce do piersi i milczała.

— Dlaczego? — mówił. — Przecież mam prawo zapytać się, dlaczego?

Alicja opuściła głowę i wyszeptwała:

— Bo kocham... Ja pana kocham...

Objął ją ramieniem i mocno przytulił do siebie.

Nie broniła się, a gdy jego usta przywarły do jej ust, zarzuciła ręce na szyję.

Jakże wielkie jest szczęście, które pozwala zapomnieć o tem, że codzień tysiące pospolitych, naiwnych kobiet taksamo zarzuca ręce na szyję tysiącom mężczyzn, które pozwala zapomnieć, że w tych ramionach tyle już tuliło się innych...

Pragnęła go, pragnęła wbrew samej sobie, wbrew zapomnianym teraz przysięgom... Wbrew wszystkiemu, na czem zbudowała swoje życie.

— Nareszcie... nareszcie...

Ogarnął ją i prawie niósł przez otwarte drzwi na szeroką, pokrytą dywanem tachtę. Krew szybkimi falami, falami coraz gwałtowniejzemi nabiegała do mózgu.

Oto miał ją wreszcie, płonąca, jak żagiew, powolną, bezsilną, wspaniałą...

Nagle niespodziewanie dla siebie samej wyrwała się z jego rąk, odepchnęła go i potrafiwszy krzesło, które przewróciło się z hałasem, zaczęła uciekać.

Rzucił się za nią i chwycił ją za rękę, lecz bezmyślny paniczny strach dodał jej sił...

Jednem szarpnięciem uwolniła dłoń i uskoczyła w bok...

Lecz Drucki był już nieprzytomny. Jego płuca spazmatycznie łapały powietrze. Nie rozumiał, dlaczego ona ucieka, jak niczego teraz nie rozumiał. Wiedział jedno, że chciał ją mieć, że niema siły na świecie, jaka zdołałaby go powstrzymać.

Oboje nie słyszeli brzęku rozbitej porcelany, która wraz ze stolikiem legła na ziemię, nie spostrzegli przewróconych sprzętów.

Widzieli tylko siebie, słyszeli tylko własne przyspieszone oddechy.

Dopadł jej...

Teraz broniła się zaciekle, aż z sykiem bólu wykręconych rąk, z ustami pełnemi krwi z jego dłoni,

w którą wpila się zębami, w podartej na strzępy sukni, znalazła się w mocy jego dzikiego uścisku.

W przemocy upokarzającej, pijanej, zwierzęcej, szalonej, upragnionej...

Zwarły się dwa ciała w potężny węzeł, zwinęły się w hieroglif, którym natura znaczy swoje odwiecz-
1. prawo życia.

* * *

...Pokój tonący w mroku, bezkształtne kontu-
ry przewracanych mebli, i tuż nad jej oczyma zło-
cące się źrenice... i tuż nad jej ustami usta... i ten
owal twarzy... Halucynacja?... Czy to halucynacja?...
Jakiś koszmarny refleks wspomnienia?...

Nie... nie...

Pomału odzyskiwała przytomność, a obraz nie
zmieniał się...

Odsunęła go od siebie i szeroko rozwartemi źre-
nicami wpatrywała się w bladą, rozedrganą twarz.

— To ty — powiedziała tępo.

Nie zrozumiał.

Oparła się na łokciu i pokazała mu przewracane
sprzęty.

— Czy pamiętasz?

— Co? — zdziwił się.

— Nie poznajesz?

— Daruj, byłem szalony — przytulił ją — ale
czemu opierałaś się?...

— Czekał — przerwała mu — czy nie pamię-
tasz letniego wieczoru, pokoju tonącego w mroku,
przewracanych mebli?

Zerwał się i przetarł czoło.

— Nie pamiętasz poszarpanej sukienki młodej
dziewczyny, którą wzięłaś przemocą?...

— Boże! — krzyknął i zasłonił twarz rękoma.

— Poznałam cię teraz... Tak, to ty...

Oderwała jego ręce od twarzy.

— To ty... Nazywasz się Bohdan Drucki.



— Boże, Boże... — jęczał — jakże mogłem ciebie nie poznać, jakże mogłem...

Alicja oparła głowę na dłoni i powtarzała:

— To ty... to ty...

W jej głowie kłębiły się myśli pełne niepokoju... Więc jakieś niepojęte fatum... Dzika fantazja losu, kaprys, czy świadomą ręką kierowana siła...

— Nienawidzisz mnie — przybitym głosem powiedział Drucki.

— Kocham ciebie.

— Musisz mnie nienawidzieć... Byłem planą na twojej młodości.

— Mylisz się... Byłeś przekleństwem całego mego życia. Złamałeś je... Byłeś autorem tragedji nie tylko o mojej... O, straszną, straszną krzywdę mi zrobiłeś... Nie możesz wiedzieć, jak wielką krzywdę...

Przygryzł wargi i wstał:

— Mogę ci zapłacić za to tylko mizerną ceną. Zabij mnie.

Wyjął z kieszeni rewolwer i wyciągnął rękę.

Wzięła broń i ważyła w rękę.

— Zabiję ciebie — powiedziała poważnie — zabije, gdy... przestaniesz... być moim...

— Więc... ty naprawdę mnie kochasz?... naprawdę pomimo tamto?

Przygarnął ją do siebie.

Oparła głowę na piersi Druckiego. Oboje w tym uścisku szukali obrony przed lękiem, jaki w nich zadygotał na widok tajemniczej maski przeznaczenia. Oboje spotkawszy się na niezrozumiałym zygżaku ponownego skrzyżowania dróg swego życia, uczuli wokół przepaść, karkołomną przepaść niepojętego, przed którym jedyną ostoją i jedyną nadzieją ratunku dla każdego z nich dwojga było to drugie. A przecież wiedzieli, że są dla siebie groźbą i niedającym się wydrzeć z piersi memento klęski, że związała ich pętla tragicznej fantazji losu, jak dwóch śmiertelnych wrogów, skutych łańcuchem na złowieszczej

pustce wielkich wód, dwóch rozbitków na resztkach zdruzgotanej łodzi. Któreż z nich oszaleje i zepchnie towarzysza w otchłań, wiedząc, że nieuchronnie pójdzie za nim?...

Za oknami gęstniał mrok. Ciężkie, wzdęte chmury zaciągnęły niebo.

Przez otwarte okno wpadł poryw wiatru, na blaszanych parapetach zadzwoniły pierwsze grube krople. Uderzyły coraz prędzej, coraz niecierpliwiej, coraz gwałtowniej... ulewa.

Alicja mówiła.

Nie rozumiał jej słów. Czuł na policzku ciepłą gamę jej oddechu i dotyk jej ust. I wiedział. Wiedział, że te wyrazy wiążą się taśmą bolesnych wyznań, że oplatają go, jak jej ręce, drżące ręce skrzywdzonego dziewczęcia, pełne nierozdanych pieśzcot, ręce kobiece, chciwe ręce człowieka, które w rozpaczliwym wysiłku zdobyły oto swoje dzikie, niespodziewane, umęczone szczęście i nie oddadzą go inaczej, jak wraz z własnym życiem.

Alicja mówiła:

— ...każdą myślą, każdym nerwem, każdą kroplą krwi... Ileż hańby, ile upokorzeń, ile nienawiści przeżarło moje życie...

Za oknami huczała ulewa.

— ...i kocham ciebie, i obłąd mię ogarnia na myśl, że ty mnie nie kochasz...

Przytulił ją mocniej do piersi.

— Powiedz... — szeptała — powiedz...

— Kocham, jakżebyem mógł nie kochać — powiedział poważnie.

Milczała, zasłuchana w echo jego głosu i zapytała z niepokojem, który ścisnął jej krtań:

— Iluż kobietom... powtarzałeś to samo?...

Drucki odsunął jej twarz od swojej:

— Spójrz mi w oczy, poznasz, że nie kłamię: — żadnej, rozumiesz, żadnej, nie powiedziałem tego nigdy.

— Dlaczego?

— Bo żadnej nie kochałem... Owszem, było ich wiele. Niektóre lubilem bardzo... Nie kochałem żadnej.

Mówił prawdę. Miał wstręt do tego rodzaju kłamstwa. Nie analizował pobudek tego wstrętu, lecz zadawał się tem, że wiedział, iż poprostu kłamać nie potrzebuje. Teraz nagle zaniepokoiło go własne zapewnienie: czy istotnie Alicję kocha? Czy to jest miłość?

Dla uspokojenia samego siebie zaczął mówić:

— Widzisz, nigdy jeszcze nie spotkałem takiej kobiety, jak ty... Już wtedy... przed laty... Pomyśl, przez chwilę nie zastanawiałem się, że łamię sobie życie, a nawet nie powstrzymała mnie świadomość, że popełniam podłość, że i tobie, właśnie tobie, której sam widok mnie obejmował płomieniem, wyrządzam straszliwą krzywdę... Byłem wówczas pijany, ale nawet... Prawda, wiele miałem w życiu pożądań... lecz ani jedno nie ośwładnęło mną tak potężnie... A teraz, gdy cię już wówczas, pamiętam, w cukierni zobaczyłem, nie poznałem cię wprawdzie, tyle lat minęło, a jednak odrazu ogarnęło mnie to dziwne uczucie... i później... Jakże wyczekiwałem każdego twego przyścia... Jaka wściekłość ogarniała mnie, gdyś nie przychodziła... Zdawało mi się, że i ty nie możesz pozostać obojętna...

Zamilkł na chwilę.

— Mów, mów — tuliła się do niego.

— A kiedy odepchnęłaś mnie... nie zrozumiałem o co ci chodzi... Tłumaczyłem to sobie, jako chęć zdrwienia ze mnie. I... bardzo to mnie bolało... Dopiero dziś... poznałem, że mnie kochasz, że kocha mnie najpiękniejsza, najwspanialsza kobieta, jaka kiedykolwiek żyła na świecie... I jakżebym cię mógł nie kochać?

— Wierzę ci i tylko boję się, że się mylisz...

— Jeżeli się myślę, więc jakąż jest miłość? Więc

czemże się wyraża? Jeżeli myślę się, to niema wogóle miłości... To i ty mnie nie kochasz, chociaż nie zawahałaś się dziś popełnić przestępstwa, dla uratowania przestępcy...

— Ty nie byłeś przecie winien — uśmiechnęła się i raczej odczuł jej uśmiech, niż mógł go dojrzeć w ciemności.

— To prawda, nie jestem winien. Jednak ty nie wiedziałas o tem.

— Wiedziałam.

— W jaki sposób? — zadziwił się.

— Gdybyś istotnie był winien, wiedziałbyś, że masz w biurku tę paczkę z morfiną. A przecie otrzymałaś list, ostrzegający przed rewizją?

— Ach... — uderzył się w czoło — więc to ty?...

— Ja — skinęła głową.

Zamyślił się i odezwał się po chwili:

— Więc jednak... jednak ostrzegłaś mnie. Zatem wierzyłaś oskarżeniu, byłaś więc przekonana, że mam tę morfinę. A jednak...

— Mylisz się. Byłam przekonana, że jesteś wciążgnięty w pułapkę, że... ty nie zrobiłbyś tego.

— Może zbyt pochlebnie mnie oceniasz — roześmiał się cicho.

— Cóż chcesz, intuicja... Intuicja...

Zwarli się w długim pocałunku.

— Muszę wyglądać strasznie — opamiętała się Alicja — która to godzina?

Wydobył zegarek, nafosforyzowane wskazówki którego zbliżyły się do dziesiątej.

— Muszę pokój doprowadzić do porządku — zerwała się Alicja — zaraz mogą powrócić...

— Kto? — zapytał.

— Służąca i moja wychowanka. Tylko ulewie zawdzięczamy naszą samotność — zaśmiała się nieszczerze.

Oboje czuli się teraz nieswojo. Alicja wyjęła z

szafy suknię i przeszła do sąsiedniego pokoju, by się przebrać.

Tymczasem Drucki spuścił rolety, odszukał kontakt, zapalił światło i energicznie zabrał się do uporządkowania powywracanych mebli. Przechodząc obok lustra poprawił krawat i przyglądał włosy.

Teraz dopiero zauważył, że ma pokrwawioną rękę. Wytarł zakrzepłą krew chusteczką, umaczną w wodzie toaletowej i ku swemu zadowoleniu stwierdził, że deszcz nie przestaje padać.

Weszła Alicja. W czarnej jedwabnej sukni wydawała się jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej giętka i tak wspaniale kobieca. Chociaż wyglądała teraz niemal młodocianie, nic w niej nie było z dziewczęciami, a wszystko właśnie z kobiety, wprost bił od niej dosyć kobiecości, świadomej, dojrzałej, imponującej siłą wyrazu, skończonością linii.

W jej oczach dostrzegł tensam, tak dobrze mu znany pobłysk, który niezliczoną ilość razy wywoływał na jego usta niefrasobliwe, pieśczołliwe, zwycięskie słowa:

— Moja mała...

Teraz jednak oczywistością stał się absurd użycia tych słów. A innych — nie umiał.

Widocznie i ona nie mogła znaleźć żadnych, gdyż rozejrzała się niepewnym wzrokiem po pokoju i zapytała:

— Napracował się... pan?

— Tak, zdaje się, że wszystko w porządku...

Zawisło między nimi jakieś zakłopotanie, jakaś obopólna nieśmiałość, dla obojga nieznośna, prawie zawstydzająca.

Drucki zbuntował się przeciw tej niewidzialnej przemocy i pierwszy zaśmiał się:

— Czujemy się, jak dorośli ludzie — powiedział — którzy przyłapali siebie na dziecinnej zabawie.

Zdefinjowanie przykrego nastroju zawsze jest równoznaczne z jego rozchwianiem. Został jakby

zdemaskowany i nie pozostaje mu nic innego, jak zniknąć. Po odezwaniu się Druckiego oboje poczuli się swobodniej. Alicja zbliżyła się i pocałowała go w usta.

Objął ją, w uścisku uniósł w górę, przytrzymał lewą ręką, prawą podsunął pod jej kolana i oto trzymał ją na rękach.

Gdy mówił, usta ich niemal dotykały siebie:

— Wiesz, kiedy cię tak trzymam, mam poczucie jakiegoś wielkiego bogactwa, tyle, tak dużo mam cię w ramionach... I zdaje mi się, że gdy cię wypuszczę, stracę coś niesłychanie cennego, coś, czegom całe życie pragnął...

Jej ręce otoczyły jego szyję, usta zwały się z ustami.

Gorąca fala przepłynęła mu po grzbiecie, szczęki zaciskały się kurczowo.

Oderwała się od jego warg:

— Powiedz, powiedz, czy mnie kochasz?...

— Kocham, kocham do szaleństwa — zarzęziło mu w płucach.

Alicja opamiętała się.

— Nie, nie, już późno...

— Najdroższa, jedyna..

Znów był półprzytomny i niósł ją na tachtę.

— Zaraz przyjdą!... — broniła się.

— Nie przyjdą, nie, deszcz pada...

W tejże chwili rozległ się trzask otwieranych drzwi frontowych.

Alicja wyrwała się z jego ramion

— Psiakrew — strzepnął palcami i opadł na fotel.

Alicja wyszła do przedpokoju:

— Czy to Józefowa?

— Tak proszę pani. Leje, jak z cebra. Nie mogłam wyjść z kościoła.

— Zmokła Józefowa?

— Do suchej nitki, proszę pani. A czy panienka wróciła?

— Właśnie nie. Niech Józefowa weźmie parasol, wsiądzie do taksówki i przywiezie pańienkę. Zaraz dam Józefowej pieniądze.

Drucki usłyszał szcęk otwieranej torebki, brzęk monet, ciężkie westchnienie Józefowej i znowu trzask drzwi.

Weszła i stanęła w progu.

— Poszła? — szeptem zapytał Drucki.

— Tak — zaśmiała się — ale najdalej za dziesięć minut wróci. Taksówki stoją tuż przed domem, a moja Julka jest u koleżanki, która mieszka blisko.

— To fatalne — powiedział żałośnie.

— Fatalne — potwierdziła — ale przecie dziś... nie kończy się nasze życie... Moje... dziś się zaczyna.

— Piękne jest życie. Prawda? — zapytał, tuląc ją do siebie.

— Mocne jest, mocne, jak ty...

— Kochana...

— I jasne, i żywiołowe, jak ty... Gdybyś odszedł i onoby odeszło.

— Nie odejdę. Nie chcę, nie potrafię.

Wzięła jego głowę w obie ręce i wpatrywała się mu w oczy.

— Życie ma złote oczy, jak ty...

Ich usta znowu zwarły się w długim, bardzo długim pocałunku.

— Już musisz iść — oderwała się od niego.

— Muszę koniecznie?

— Koniecznie.

— Więc... do jutra?

— Do jutra!

Jeszcze jeden uścisk, jedno spotkanie ust, potem chwila poszukiwania kapelusza i już zbiegł ze schodów.

Zatrzymał się na pierwszym podeście. Alicja stała oparta o drzwi.

Uśmiechnęła się i zawołała głośnym szeptem:

— Jestem sentymentalna!...

— Do jutra! — powiał ku niej kapeluszem.

Deszcz nie ustawał. Z podniesionym kołnierzem marynarki dopadł rzędu samochodów i wskoczył do pierwszego.

— „Argentyna“ — krzyknął szoferowi.

Z pod kół bryzgała woda, migwały latarnie uliczne.

Drucki zapalił papierosa. Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że od kilku godzin nie miał papierosa w ustach.

Nie należał do natur refleksyjnych. Wprost brzydził się szperania w tem, co minęło. Powieści, w których bohaterzy zagłębiali się w labirynty samoanalizy, doprowadzały go do wściekłości. Jeżeli myślał o „wczoraj“, to tylko i wyłącznie w związku z przewidywaniami na „jutro“. Fakt raz dokonany stawał się dlań pozycją istotną, z którą się należy liczyć bez względu na jego dodatnie, czy ujemne strony. Mózg poprostu notował, wciągał do rejestru rzeczywistości i wyprowadzał wnioski na przyszłość. Na tem zamykała się funkcja mózgu.

Oczywiście w zupełnej niezależności od tego procesu racjonalnego, rozwijał się proces emocjonalny. To znaczy: Drucki był wesół, był zły, był smutny, czy wściekły. Był i tyle. Dlaczego? — Nigdy się nad tem nie zastanawiał.

Teraz jednak zauważył dziwne zaburzenia w swych myślach i w stanie psychicznym.

Zjawiały się jakieś niedorzeczne pytania: — co się właściwie stało? POCO się stało? Jakie są tajemnicze przeznaczenia? I czy cieszyć się wypadem, czy martwić, czy rozpaczać, czy wyć z radości?...

— Do stu diabłów, co mi jest? — zacisnął pięści.

I odpowiedział sobie pytaniem:

— A może to właśnie jest miłość?...

W każdym razie był nie w swoim sosie i czuł się z tem nieznośnie, póki taksówka nie zatrzymała się przed „Argentyną“.

— Panie drogi — zapytał szofera, czekając na

resztę — cobyś pan zrobił, gdybyś nie mógł wymiarować, czy panu dobrze, czy źle?

Szofer, młody chłopak o ściągłej twarzy, zerknął nań z pod oka i powiedział z przyjaznym uśmiechem:

— A no, zrobiłbym to samo, co i pan.

— To znaczy?...

— Ano, poszedłbym do knajpy.

— Masz, bracie, rację.

Publiczności jeszcze nie było i służba mogła zrobić swemu szefowi owację. Znowu zebrali się w westybiulu i po krótkim przemówieniu Justka, wśród ogłuszających wiwatów zaczęli podrzucać Druckiego do góry. Cieszyli się naprawdę z pomyślnego zakończenia sprawy, a ponieważ ten i ów napomknął coś o „oblaniu“, Drucki oświadczył, że po rozejściu się gości „stawia“ im bibę.

Tecia, która nie brała udziału w ogólnej owacji, spotkała go w gabinecie najradośniejszym z uśmiechów.

— No, mała, — zawołał — wszystko w porządku!

— Jaka jestem szczęśliwa! — złożyła ręce, jak do modlitwy.

Oczekiwała, że Drucki — jak zwykle — przygarnie ją i pocałuje, lecz zawiodła się. Wprawdzie zrobił taki ruch, jakby zamierzał ją objąć, ale schował zaraz ręce w kieszenie i lekko zmarszczył brwi.

— Daj mi mała konjak — powiedział — i kaź przynieść z kuchni coś na przekąskę.

— Coś gorącego? — zapytała zdziwiona, gdyż Drucki nigdy tu nic nie jadał.

— Nie, jakieś kanapki, byle prędko i dużo. Jestem głodny.

Tecia postawiła na stole butelkę konjaku i kieliszek, zerknęła na opartego o framugę okna szefa i szybko wybiegła.

Po kilku minutach powróciła z tacą pełną przekąsek.

— Gdzie mam to postawić? — zapytała.

— Postaw na biurku.

Zauważyła, że tymczasem sporo ubyło w butelce, a i teraz Drucki napelnił kieliszek, wychylił duszkiem i usiadł przy biurku.

Zaśmiała się.

— Co tam? — zaciekał się jej wesołością.

— Eee... nic... tylko, że usiadłeś przy biurku — zaczęła zmieszana — jeszcze nigdy nie widziałam, byś siedział przy biurku.

W tej chwili zorjentował się, że ona sama przynosiła mu przekąski. Napewno też sama wybierała i układała tak starannie. A w sędzie miała oczy pełne łez.

— Jakie to dobre i jakie śliczne stworzenie — pomyślał i nagle zrobiło mu się żal jej i żal siebie.

— Malutka — powiedział — dziękuję ci bardzo. Malutka!...

— Za co?...

— Za twoje serduszko.

— Oooch — uśmiechnęła się, jakby zawstydzona.

On znowu zmarszczył brwi i nie wiedział dlaczego, ale zdawało się jej, że musiało zajść coś ważnego, coś, co wywoła jakieś smutne dla niej zmiany.

Drucki pił i jadł. Dużo pił i dużo jadł. I Teci wydało się to nienormalne, przykre, prawie chorobliwe. Przytem nie ruszał się od biurka.

Nawet gdy zagrała orkiestra, nie podniósł głowy, a gdy wszedł kasjer Justek, kazał mu przysłać jeszcze butelkę konjaku.

Zadzwoił telefon.

— Niech sobie dzwoni — burknął Drucki.

— Ale może coś ważnego?

— No więc odbierz, mała, a jeżeli poproszą mnie powiedz, że nie przyszedłem i że dziś nie będę. Chyba, że...

Dzwonek telefonu turkotał natarczywie.

— Zresztą — wziął słuchawkę — słucham?

— Jak się masz, kapitanie.

Poznał głos Zalkinda.

— A, serwus — odpowiedział — trochę źle mam się... nie, nic nadzwyczajnego, leć mię boli... Co?...

Zalkind mówił, że Luba chce koniecznie jechać do „Argentyny“, a ponieważ on sam nie chodzi nigdzie, więc tylko odwiezie Lubę i odda ją pod opiekę Drucekiemu.

Druceki skrzywił się.

— Dajcie spokój, może innym razem. Głowa mnie boli i sam zaraz wychodzę.

— To Luba zmartwi się, ale trudno. Życzę zdrowia kapitanowi.

Druceki położył słuchawkę i znowu wypił kieliszek koniaku.

Tecia chciała go prosić, by nie pił, skoro go głowa boli, chciała zapytać, czy rzeczywiście wychodzi, czy weźmie ją ze sobą, lecz miał minę tak nieprzystępną, że nie odezwała się ani słowem.

— Co mu jest — myślała — co mu jest?...

Był już mocno podchmielony, a kazał sobie podać butelkę szampana i butelkę portera. Mieszał półna-pół i wypił wszystko.

O dwunastej wezwał Justka, wydał mu dyspozycje ogólne, a w szczególności dotyczące „biby“, którą obiecał personelowi, kiwnął głową Teci i wyszedł.

W hotelu polecił portjerowi dostarczenie do numeru jeszcze butelki szampana, otworzył okna i chwiejnym krokiem chodził po pokoju, popijając musujący płyn i wsłuchując się w monotony szum deszczu.

Gdy w butelce nie zostało ani kropli, rozebrał się i zasnął kamiennym snem.

Obudził się wcześniej. Pokój zalany był słońcem i pełen świeżego, ożywczego powietrza.

Zerwał się z łóżka rzeźki i wesoly. Goląc się

gwizdał bez przerwy, dzięki czemu omal się nie zaciął brzytwą, wziął chłodną kąpiel, ubrał się.

— Życie jest piękne! — zawyrokował i nagle uprzytomniwszy sobie wczorajszy wieczór, chwycił katalog telefoniczny, odszukał numer, spojrzął na zegarek:

— Pół do ósmej, chyba już nie śpi.

Zadzwoił.

Odezwał się jasny, metaliczny głos.

— Hallo!

— Życie jest piękne, jak ty! — powiedziały.

Chwila ciszy, jakiejś ciepłej, pełnej niewymówionych słów ciszy i krótki okrzyk:

— Wiedziałam!...

— Czy pani moja pozwoli, bym po nią przyjechał?

— Nie, nie... I to, poco „pani moja“?

— A jak?

— Trzeba sobie wymyślić — zaśmiała się — ja już wymyśliłam. Całą noc myślałam i mam.

— Więc jak?

— Boh!

— Nie dosłyszałem?...

— Boh! B, jak bajka, o, jak oszołomienie, h, jak... czwarta litera w słowie Kocham. Boh!

— Tak mnie nazywano, gdy byłem małym chłopcem.

— A ty?...

— Będę mówił: — moja Al.

— Moja?... Nie rozumiem tego, zdawało mi się zawsze, że potrafię być tylko... swoją...

— A teraz będziesz czyjaś, moja Al.

— Tem lepiej dla mnie, jeżeli zdołasz mnie tego nauczyć.

— Tem lepiej dla nas, moja Al. Będę wzorowym pedagogiem.

— Al, to brzmi orjentalnie.

— Nie. Na wyspie Waihu istnieje legenda, że

kiedyś rządziła tam królowa piękna, jak płomień.
Nazywała się Al.

— Jestem nieukiem — zaśmiała się Alicja —
i nie wiem, gdzie leży wyspa Waihu? Czy kapitan
zawijał do jej portów swoją armadą?

— Nie zawijałem armadą. Były to inne okolicz-
ności, lecz na tej wyspie spędziłem trochę mniej, niż
pół roku. Jest to jeden z najpiękniejszych zielonych
klombów na starym Pacyfiku. . Na południe aż do
bieguna niema już żadnego lądu. Na wschód trzeba
tydzień wiosłować, przy pomocy starego żagla, by
dotrzeć do skalistego wybrzeża Chile.

— Tak — westchnęła — świat jest olbrzymi.
A dlaczego powiedziałeś, że była piękna jak płomień?

— Tak mówi legenda starych polinezyjczyków z
czasów jeszcze, gdy czcili ogień.

— Kiedyś opowiesz mi o królowej Al, wyspie
Waihu, i o wielu innych wyspach.

— Opowiem, moja Al.

— A dziś przyjdiesz na obiad do... twojej Al.

— Czy... będziemy sami?

— Nie. Poznasz moją wychowankę i starą Jó-
zefową, której głos już znasz. Przyjdź o czwartej.

— Dobrze, moja Al.

— Dowidzenia, mój Boh.

— Mój? — roześmiał się — to rewanż?

— Gorące pragnienie rewanżu. Może nawet więcej:
konieczność... Chyba... chyba rozumiesz? — w jej
głosie zabrzmiała twarda stalowa nuta.

— Więcej niż rozumiem, moja Al. Ja tego chcę
— powiedział poważnie.

— Życie jest mocne, jak ty.

— Jest bogate, jak ty, moja Al.

— Tak. Bogate w piękność, w rozkosze, niebez-
pieczeństwa, w tysiące możliwości i niemożliwości,
w promienistość słońca i w burze, w huragany...

— Takie jest twoje życie?

— Takie, jak ty.

— Widzisz — zaśmiała się — już muszę iść, a tak trudno położyć słuchawkę. No, dowidzenia!

— Dowidzenia, moja Al.

Podszedł do okna i przeciągnął się w słońcu:

— Tak — pomyślał — ona jest, jak moje życie. Bujna, radosna i niebezpieczna... Czy radosna? Ach! Co tam!

Należało pomyśleć o mieszkaniu. Trzeba przecie liczyć się z faktem, że ona nie może przychodzić do hotelu. A znowuż u niej ta jakaś wychowanka i służąca... Alicja musi liczyć się z opinią i to bardzo. Jest prokuratorem.

Uśmiechnął się do siebie: do długiej galerji jego kobiet przybywa i taka, która jest prokuratorem.

— Nie — zaprzeczył samemu sobie — to nie to, co tamte... Tu jest coś całkiem innego.

Zabrał się do roboty.

Znalazł ogłoszenie biura pośredniczącego w wynajmie mieszkań, rozmówił się telefonicznie, kazał podać swój wóz i zajechał przed biuro, zabrał agenta, który miał mu pokazać kilka mieszkań do wynajęcia.

— Powiem panu krótko, o co mi chodzi — zaczął ruszywszy z miejsca w stronę Belwederu — muszę mieć dwa, ewentualnie trzy pokoje z łazienką...

— I z kuchnią.

— Nie. Kuchnia jest mi niepotrzebna.

— Rozumiem, garsonjera, pied à terre...

— Nic pan nie rozumiesz. Będę tam mieszkał. Słuchajże pan, do djaska: mieszkanie musi być przyzwoicie umeblowane, wygodne, słoneczne w ładnym i dużym domu.

— Czy całe urządzenie będzie szanownemu panu potrzebne?

— O, tak. Jestem Amerykaninem. U nas wynajmując można mieszkanie w ten sposób, że wprowadzając się, trzeba mieć jedynie własną szczoneczkę do zębów.

— O?! — zdziwił się agent.

— Chodzi mi o coś zblizonego.

— Owszem, mam kilka takich obiektów, ale tam, na Górnośląskiej, dokąd właśnie jedziemy, niestety, niema całego urządzenia. Jest tylko umeblowanie jadalni... Co to zepsuło się coś?

Drucki zatrzymał samochód:

— Do stu piorunów! Nic nie zepsuło się, tylko ja nie mam czasu do stracenia. Po djabła będę oglądał to na Górnośląskiej, skoro mi nie odpowiada?

— Ale to bardzo ładne mieszkanie...

— Albo pan wysiadaj, albo wyciągaj swój notes i dawaj adres takiego, o jakie mi chodzi!...

— Szanowny pan — upierał się agent — może bardzo tanio kupić umeblowanie, na dowolne raty... Już, już — przerwał sobie — widząc, że Drucki otwiera drzwiczki: — pojedziemy na Aleję Szucha.

— Nie rozumiem — podjął, gdy samochód ruszył — dlaczego szanowny pan nie chce sam się umeblować podług własnego gustu. Byłoby to taniej.

— A zna pan ewangelję? — niespodziewanie zapytał Drucki.

— Znam — zdziwił się agent.

— Otóż tam jest powiedziane: — Nie skarbcie skarbów na ziemi!... Uważasz pan?... Ja właśnie wszystko rezerwuję na Niebo. To tu?

— Tak jest.

Wysiedli. Było to jasne dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze, urządzone z luksusem.

Przyjął ich sam właściciel, szczupły wymokły blondyn, nie wymawiający litery „r”. Miał różową jedwabną pidżamę, ondulowane włosy i przyczernione rzęsy i brwi.

— Dziwaczny facet — pomyślał Drucki.

— To jest roszkowne mieszkanie, wymarzona garsoniera — omdlewającym głosem tłumaczył blondas — a proszę zobaczyć, co za łazienka. Kocham się w pięknych pokojach kąpielowych i ten urządziłem ściśle według wzoru łazienki lorda Kentbury... Prawda, że wspaniała?...

Istotnie, Drucki musiał przyznać, że niczego podobnego w życiu nie widział.

Obszerny pokój o ścianach z mozaiki, utrzymanej w pastelowych tonach, wyobrażającej różne sceny z mitologii greckiej, o posadzce wyłożonej kunsztownym wzorem parkietu z żółto-różowego korka, miękkiej i elastycznej. W głębi nisza, zasłonięta jasnobarwną zasłoną dżetową z prysznicami, natryskałkami, niezliczonymi rurkami, połyskującymi niklem. Naprzeciw druga z szerokim białym tapczanem.

W środku wspaniała marmurowa wanna, a raczej basen, wpuszczony w podłogę, na czterech rogach którego cztery marmurowe posągi, spełniające jednocześnie rolę kranów w ten sposób, jak służy temu celowi słynny posążek w Brukselli.

— Do diabła — zaklął Drucki — musiał pan w to wpakować masę pieniędzy!

— I gustu — zachichotał blondas — posągi Adonisa i Apolina są dłuta Pevery, a Neptuna i gladiatora wyszły z pracowni van Recka.

Przeszli dalej. Mieszkanko istotnie urządzone było z przepychem, chociaż raziło w niem Druckiego dziwne upodobanie gospodarza do miękkości linji i półtonowości barw. Obszerna sypialnia z kolosalnym, niskim łóżem, zawieszona była cennymi obrazami o treści erotycznej, poprzedzający ją hall urządony był w stylu wschodnim.

Pokoju służbowego nie można było obejrzeć, gdyż, na dyskretne pukanie gospodarza, służący odpowiedział, że jeszcze jest w łóżku i nikogo przyjąć nie może.

W małej kuchence stały potężne kufry już zapakowane.

Wyjeżdżam do Lizbony — objaśnił blondas — i pragnąłbym, by moje mieszkanie przez ten rok zostało w ręku człowieka ucywilizowanego i kulturalnego.



— A? Pan tylko na rok wyjeżdża?

— Tak sędę — wskazał im fotele blondas — jestem w służbie dyplomatycznej i zostałem przeniesiony do tamtejszego poselstwa.

Nastąpiło omawianie warunków. Młody człowiek był widocznie nieobeznany z interesami, czy też zbyt bogaty, by troszczył się o dodatkowy dochód z odnajmu mieszkania, gdyż zażądał stosunkowo niezbyt wygórowanej, jak na ten luksus, kwoty stu dolarów miesięcznie. Główny nacisk kładł na kwestję konserwacji urządzenia i, przyjrzawszy się Druckiemu, oświadczył, że co do tego nie żywi żadnych obaw.

Załatwienia wszelkich formalności podjął się agent mieszkaniowy, ponieważ zaś blondas wraz ze służącym wyjeżdżał nazajutrz wieczorem, Drucki miał się wprowadzić pojutrze rano. Pozostawało jeszcze wynalezienie służącego, czy służącej. Wobec tego, że blondas polecał stróża, jako człowieka zupełnie uczciwego, a posiadającego liczną rodzinę, Drucki posłał poń agenta.

Stróż oświadczył, że ma dwóch synów i dwie córki i zawsze będzie ktoś do dyspozycji, a jaśnie pan będzie napewno zadowolony, gdyż i tak oni zawsze robili tu większe sprzątanía i ze wszystkim są obeznani. Przed wprowadzeniem się jaśnie pana doprowadzi się mieszkanie do porządku i wszystko będzie świeciło, „jak lalka“.

Drucki nie mógł znaleźć nic równie wygodnego i był zupełnie zadowolony. Poświęcił jeszcze godzinę czasu na zakupy niezbędnych uzupełnień, jak pościel i t. p., poczem wrócił do hotelu, kazał podać rachunek i przebrał się.

— Swoją drogą to zabawne — pomyślał — od ilu to lat nie miałem własnego mieszkania!

ROZDZIAŁ 14.

Alicja, już ubrana do wyjścia, wydawała dyspozycje Józefowej gdy do kuchni zajrzała również gotowa Julka:

— Idziemy Alu?..

— Zaraz — kiwnęła jej głową Alicja i przedko skończyła instrukcje.

— Cóż to dziś taki wspaniały obiad? — zapytała Julka, gdy już były na schodach.

— Mamy dziś gości.

— Doktorek — krzyknęła Julka.

Alicja zaśmiała się:

— Nie, nie pan Czuchnowski. Stary mój znajomy, pan Winkler.

— Stary! — z nutką zawodu skrzywiła się Julka. Czy bardzo stary?

— Niebardzo.

— Ale pewno bardzo poważny i nudny, jak flaki z olejem.

— O, nie. Zobaczysz.

Powiedziała to bez namysłu i dopiero teraz spostrzegła się, że w jej powiedzeniu brzmiała jakby dumą. Dodała zatem:

— Bardzo miły jegomość.

Odprowadziła Julkę do szkoły i pojechała na Miodową.

W bramie spotkała aplikanta Modronia, który niezręcznie jej się uklonił i obrzuciwszy jej postać zachwyconym wzrokiem, westchnął.

Nagle poczuła chęć kokieteryj, nieprzeparta chęć oddziaływania na zmysły Modronia. Modronia, Martynowicza, Peszkowskiego, każdego mężczyzny, każde-

go bez wyjątku. Chciała teraz czuć się pożądaną, podziwianą, otoczoną spragnionemi spojrzeniami. Potrzebowała tego, jakby sprawdzianu uczuć Druckiego, a może — myślała — dlatego, by dla niego właśnie uczynić się cenniejszą.

— Jaka pani dziś cudna — dreptał przy niej Modroń, potykając się o okrągłe kamienie podwórza.

— Jeszcze nigdy nie widziałem panią tak...

— Piękną? — zapytała, rozchylając usta.

— O, nie! — zadygotał — tego nie wolno nazywać tak banalnie! Cóż znaczy piękność wobec pani!

— Gdybym umiał znaleźć słowa — wybuchnął — jakimi można panią opisać, stałbym się autorem najwspanialszych... erotyków, jakie zna poezja świata!

Przechodzili przez ciemną sieni i Alicja zatrzymała się przed schodami:

— To znaczy — pochyliła się ku niemu, — że działałam panu na zmysły?...

Z pod długich rzęs opłynęło go gorąco, jak lawa spojrzenie, rozchylone wargi zdawały się oddawać się pocałunkom.

Młody człowiek zachwiał się, zbladł i chwycił się poręczy. Niezdolny był wydobyć z siebie ani słowa i rozszerzonymi źrenicami patrzył za nią, gdy lekko wchodziła na schody.

Idąc długim korytarzem, nie ominęła żadnego mężczyzny, by nie wypróbować na nim swej siły. Chciwie łowiła ich spojrzenia i rozdzielała swoje hojnie, rozrzutnie. Wprost czuła fale swoich bioder, drganie swoich piersi pod dotykiem tych oczu, wprost odczuwała sprężystość swego ciała, ogarnianego pożądanym wzrokiem mężczyzn.

Przez pootwierane okna płynęło powietrze wiosny, wiosny, którą miała w sobie.

— Ach — pomyślała — można tak różnie interpretować wszystko: czy jestem samica podczas rui, czy Fryne, z woli bogów składająca dar swej pięk-

ności oczom śmiertelnych, by wzbudzić w nich podświadome pragnienie nadbudowania swego życia życiem nowem?... Czy to zresztą nie jest tosamo?..

To zestawienie nasunęło jej inną myśl:

— Zabawne: ilekroć chcemy wyrazić coś, co nam, ludziom dwudziestego wieku, wydaje się brzydota i brudem, zapożyczamy porównań ze świata antycznego, gdzie tosamo było pięknem, lecz za żadne skarby nie odważymy się powiedzieć publicznie, że w gruncie rzeczy jesteśmy mali, zakłamani i śmieszni z tym bagażem moralności, zmajstrowanej nie z nakazów, lecz z zakazów, zakazów skierowanych przeciw temu, co jest naszą naturą...

— Dzieńdobry pani — zatrzymał ją prezes Turczyński — czy można wiedzieć, jakie myśli, jak te orły ważą się pod sklepieniem pani czoła?

— Nie orły, panie prezesie — zaśmiała się — zwykle wróble.

— Oooo!

— Zwykle wiosenne, rozświergotane wróble.

— Nie wierzę — powiedział z tą żartobliwą powagą, a raczej z poważną żartobliwością, jaka zawsze dźwięczała w ich rozmowach.

— Czyż nie wyglądam wiosennie? — przechyliła zalotnie głowę.

— Niech pani raczej spyta, czy wiosna wygląda tak, jak pani. Wówczas powiem: prawie! I będzie to komplementem.

— Dla mnie?

— Dla wiosny.

Zaśmiała się i, zamieniwszy jeszcze kilka zdań z Turczyńskim, poszła do swego gabinetu.

Do pracy zabrała się z zapalem. Umysł jej pracował ze zdwojoną sprawnością, co dziwiło ją samą. Przecie w ostatnich czasach czuła się tak zmęczona, tak roztrzęsiona nerwowo, tak wyczerpana. Zamierzała nawet prosić o urlop zdrowotny... O, wiedziała, że potrafi wydobyć z siebie największy wysiłek. Nie wie-

działa tylko, że tyle będzie kosztował, bo czyż mogła przypuszczać, że bliska będzie omdlenia w chwili, gdy jej plan, obmyślany z żelazną logiką zawisnie na pajęczynie problematycznej inteligencji adwokata. A jeżeli ten nie połapie się w sytuacji, jeżeli nie chwyci się podsuniętego mu środka ratunku, jeżeli nie zażąda oddania do analizy rzekomej morfiny?...

Przeżyła wówczas straszny moment wyczekiwania. Widziała każde drgnienie mięśni na twarzy obrońcy, widziała nagły błysk w jego oczach i wreszcie rozmowę z oskarżonym, a później... już wszystko dobrze. Gdyby nie to, pozostałaby bezsilna. Nie mogła przecie sama postawić wniosku o ekspertyzę, równałoby się to skierowaniu podejrzeń na siebie, równałoby się zakwestjonowaniu uczciwego przechowania depozytu i podwójnej kłesce.

Ach, jakże chętnie uściskałaby tego naiwnego adwokata za jego minę zwycięzcy! I ten wyrok: oskarżony Jan Winkler jest wolny od winy i kary...

Jan Winkler...

Odłożyła teraz pióro i przymknęła powieki.

A gdyby wiedziała, kim jest oskarżony Jan Winkler?! Gdyby wiedziała, że człowiek ten, którego ma w swej mocy, jest winowajcą jej hańby, jest sprawcą krzywdy, którą życie zamieniło w jej piersi w gorzką truciznę nienawiści?... Gdyby z liter, składających się na nazwisko i imię oskarżonego Jana Winklera, umiała odczytać słowo „zemsta“, gdyby olśnienie odkryło jej, że stoi przed nią Bohdan Drucki, który dał jej poznać pierwszą rozkosz ciała i długie piekło zdeptanego życia, że ma przed sobą tego, za którego inni jej płacą długimi latami cierpień w ciemnych więziennych celach....

Gdyby!?!...

Nie, wołała o tem nie myśleć. Popełniłaby rzecz straszną, bezpowrotną... Nie... nie... Przecież wiedziała, że był niewinien!... O... czyż to mogłoby powstrzymać cios, którym i siebie ponownieby zabiła?...

— Nie! Nie chce w sobie szukać odpowiedzi na to pytanie!

Przetarła końcami palców skronie i pochyliła się nad aktami... „Aniela Kurkowska widziała swą macochę, wychodzącą z piwnicy około godziny jedenastej...” Tak, to jasne, musiała tam ukryć tymczasowo owe srebra...

A gdyby nie przyszedł?...

Widocznie nie mogło być inaczej, widocznie jest jednak jakieś przeznaczenie, które gra nami w szachy... Dlaczego nie mogła go wymazać z pamięci?... Przecie nie dlatego, że wyciągają się doń ręce wszystkich innych samic, przeciwnie, właśnie to ją odpychało od niego... A z morfiną... nie miała żadnej wątpliwości, że wchodzi tu w grę kobieta! A jednak.. jednak żyćby bez niego już nie umiała...

Gdy w zmroku wówczas otwarły się jej oczy, gdy ujrzała nad sobą te same złoćące się źrenice... I zaczóż miała go nienawidzić? Przecie to nie on, tylko zbrodnicze, przerażające bezmiarem obłudnej głupoty kanony moralności społecznej, zdruzgotaly jej życie... Nie, część jej życia, przeszłość... Gdyby nie te kanony, gdyby nie te haki paragrafów, któremi ludzkość szarpie swoje żywe ciało, cóż stałoby na przeszkodzie, by już wówczas zostali ze sobą?

Och, jakże nienawidziła społeczeństwa! Jakże pogardzała tym bożkiem, któremu służyła z więziennejmi kluczami w ręku, tym bałwanem ulepionym z ekskrementów pokoleń i ze śliny wyplutej przez nieśmiertelną obłudę tradycji.

Stała w pierwszym szeregu kapłanów, bijących czołem przed tem bożyszczem i pierwsza rzuciłaby weń kamieniem, gdyby nie wiedziała, że szczerba natychmiast zostanie naprawiona skwapliwymi rękami wiernych, a świętokradczyni zginie ukamienowana.

Alicja Horn, doktor praw, podprokurator Sądu Okręgowego, wiedziała, że walka z bałwanem prawa, porządku społecznego i moralności publicznej, że wal-

ka z tym kolosem jest beznadziejna. Nawet wówczas, gdy potwór zostanie rozbity, niczem garnek gliniany na drobne czerepy przez zbuntowanych wyznawców, ci natychmiast rzucą się do lepienia drugiego, równie pustego i równie napełnionego jedynie ich jęklwym niewolniczym skowytem.

W tysiącach rewolucyj od początku świata zdruzgotano tysiące bałwanów, by lepić nowe, coraz groźniejsze, coraz zawziętsze, coraz mściwsze, coraz mocniej przygniatające swemi potwornymi cielskami życie człowieka, coraz więcej zasłaniające mu słońce i gwiazdy...

W jakimś potępieńczym obłędzie ludzkość wciąż ciaśniej zaciska pętlę zakazów na swojej szyi, coraz niżej bije łbem Molochowi, wymyślonemu przez siebie na własną udrękę...

Tak myślała Alicja Horn, pilny stróż kultu, nieublagany inkwizytor, składający codziennie całopalne ofiary na ołtarzu wszechpotężnej Fikcji, na której mściła się w sobie, jak nad pamięcią męża, obłąkanego fanatyka, który sam skoczył w paszczę Molocha,

Jakże wielkiem zadośćuczynieniem było teraz dla niej odzyskanie Bohdana, jakimż triumfem nad znieawidzoną bestją!

Rozzarzy go w wielkie ognisko, we wspaniały stos, na którym przetapiać będzie łańcuch swoich kajdan w złote krople niezliczonych dni miłości...

Złoty, jak jego źrenice...

Zdobyła go sobie i teraz nie mieściło się w jej wyobraźni, by mogła istnieć tak wielka potęga, któraby zdołała wyrwać go z jej ramion.

Och, wiedziała, że i on w nich znajdzie szczęście stokroć większe, niż dać mu mogą jakiegokolwiek ramiona na ziemi.

Nie zastanawiała się nad tem, jak ułoży się ich życie. Znała jego treść, nie obchodziła ją forma. Nie wątpiła, że i w tej chwili, kiedy ona siedzi tu nad aktami Bohdan myśli o niej. Boh...

Złożyła papiery, wzięła dwie teczki i poszła do Martynowicza.

Stary prokurator, przejrzawszy akty, zapytał:

— Cóż to pani dziś taka wesola?

— Z czego pan wnioskuje, że jestem wesola? — zaśmiała się Alicja.

— No tak... hm, może źle się wyraziłem, nie wesola, tylko hm... język ludzki jest częstokroć bezsilny, brak w nim wielu określeń. Prawda?

— Zgadzam się z panem w zupełności.

— A widzi pani. Jestem byстрыm djagnostą, ale kiepskim majstrem w definjowaniu tych różnych faramuszek... W każdym razie przyznaje pani, że jest pani dziś w jakimś szczególnym nastroju?

— Jest pan dobrym psychologiem — przyznała z uśmiechem.

Martynowicz zdjął szkła i zatarł ręce:

— Che... che... che... Jakby tu powiedzieć. A pani nie pogniewa się?

— Za co?

— Ot, za żart.

— Nigdy w świecie.

— Widzi pani, ja jestem z Wileńszczyzny, a u nas tam to taki nastrój określają, hm... tylko, jak pani pogniewa się...

— Śmiało, panie prokuratorze!

— Sama pani chciała. Więc mówią tak: — wiosna idzi, kochać chce si, a kochadło tak daleko!

Alicja wybuchnęła śmiechem, a Martynowicz kontent z dowcipu klepał się po kolanach.

— Jednego nie rozumiem — powiedziała Alicja — dlaczego „kochadło“ ma być daleko? Może jest właśnie bliżej, znacznie bliżej, niż pan przypuszcza...

Rzuciła mu przytem powłóczyście spojrzenie i z trudem hamowała się, by nie parsknąć śmiechem na widok nagłego zażenowania tego starszego pana, pośpiesznie nakładającego okulary i bez potrzeby, przekładającego papiery.

Na pożegnanie pocałował ją w rękę, czego nigdy nie robił.

Było jeszcze wcześniej, lecz Alicja chciała załatwić kilka sprawunków i dlatego wyszła z biura. O trzeciej była już w domu.

Spotkała ją rozszczebiotana i roześmiana Julka.

— Co za uczta Sardanapala! — wołała radośnie, rozpakowując paczki — czy ten pan Winkler jest takim smakoszem?

— Przypuszczam, że takim właśnie, jak twój Sardanapal — odpowiedziała Alicja wesolo. — No, cóż tam w szkole?

Nastąpiła cała serja relacyj, jak zawsze szczegółowych, o lekcjach, o nauczycielkach, o kolegach. Nakrywały przytem do stołu.

— Tak dawno nie miałyśmy nikogo na obiedzie. Bardzo się cieszę — mówiła Julka — a ty, Alu, dziś cudownie wyglądasz! Cudownie! Czy przebieżesz się?

— Naturalnie. Nałóż i ty swoją kremową sukienkę.

Julce udzielił się nastrój Alicji. Czowała, że ten gość to jest więcej, niż zwykły znajomy i była niezmiernie ciekawa, aż z tego powodu dostała wypieków.

Były zupełnie gotowe już na dziesięć minut przed czwartą i Julka ciągle wyglądała oknem. Alicja miała wielką ochotę zrobić to samo, lecz powstrzymywała się.

Z wybiciem zegara zadźwięczał krótki dzwonek w przedpokoju.

— Punktualność jest zaletą ministrów — z aprobatą powiedziała Julka.

Alicja wyszła do przedpokoju i ze względu na obecność Józefowej tylko podała mu rękę. Ucałował jej dłoń w milczeniu, lecz sporzenie, którem ją obrzucił miało w sobie tyle zachwyty, że oblało ją gorącą falą.

Prędko cofnęła się do jadalni:

— Pan będzie łaskaw... Pan pozwoli — moja kuzynka, Julka, pan Winkler.

— Nie wiedziałam, że pan jest monarchą — wy-
pała Julka, a widząc, że gość nie orientuje się w
intencji jej pretensji do Alicji, dodała — no, bo zo-
stałam przedstawiona panu, a tylko monarchom
przedstawia się kobiety.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Czy to ładnie tak z miejsca stawiać Bogu du-
cha winnego człowieka w kłopotliwej sytuacji?

— Nie doceniasz, kochanie, przewagi swej mło-
dości — zaśmiała się Alicja, ubawiona czupurnością
Julki.

— Ani siwizny moich włosów — zrobił dostojną
minę Drucki.

Julka rzuciła wzrokiem na jego siwiejące skro-
nie, spotkała uśmiechnięte spojrzenie i nieco się zde-
tonowała:

— No, na patriarchę pan nie wygląda.

— Siadajmy do stołu — przerwała Alicja —
zadzwoń, Julko.

— To wybornie, bo jestem piekielnie głodny.

— I ja też — dorzuciła Alicja, siadając.

— Niechże pan siada — powiedziała Alicja.

— Nie mogę, proszę pani. Tylko monarchowie
pozwalają sobie na zajęcie miejsca przed damami.

Julka zaśmiała się i usiadła.

Drucki zaczął mówić o etykietce i wogóle o for-
mach towarzyskich, przyjętych w różnych egzotycz-
nych krajach. Z humorem opowiadał o sensacji, ja-
ką wywołał kiedyś w Nikaragui, całując damy w rę-
kę. Moda ta przyjęła się tam natychmiast i zyskała
ogólne uznanie.

Mówił swobodnie i wesoło, odpowiadając dow-
cipnie na zrzadka rzucane pytania Alicji.

Julka przyglądała się mu z rosnącym zaintere-

sowaniem. Nie był piękny, nie był nawet ładny, ale miał w sobie coś dziwnie imponującego. Julka nie wiedziała dlaczego, ale tak właśnie wyobrażała sobie Allain Gerbault'a. Niski, głęboki jego głos miał w sobie coś fascynującego. Spojrzała na Alicję — o! jej napewno się ten pan Winkler podoba również. Musiał wiele podróżować...

Widocznie myśli ich jednemi szły torami, gdyż Alicja powiedziała:

—Ależ pan zna cały świat!

— No, nie cały — zaśmiał się — naprzykład nigdy nie byłem w Turcji, nigdy na Syberji, a Szwecję i Norwegję znam tylko z portów.

— Ach, więc pan jest marynarzem! — zawołała Julka.

— Owszem przeważnie marynarzem.

— Ach, — westchnęła Julka — gdybym była mężczyzną, napewno zostałabym marynarzem. Ja wprost kocham morze.

— Jest to — zażartowała Alicja — najidealniejsza miłość.

— Dlaczego? — zapytał Drucki.

— No, bo nigdy morza nie widziałam. Ale w tym roku pojedziemy z Alą na Hel i będziemy robiły dalekie wycieczki na pełne morze. Szkoda, że pana z nami nie będzie.

— O, to jeszcze nie jest powiedziane — zastrzegł się Drucki — możliwe, że i ja wybiorę się na Hel.

Po obiedzie Julka oświadczyła, że idzie do koleżanki odrabiać lekcje.

— Przejdźmy do mego pokoju — zaproponowała Alicja.

Józefowa przyniosła kawę i brzęcząc nakryciem zaczęła sprzątać ze stołu.

Gdy zostali sami Drucki objął Alicję i przyciągnął do siebie.

— Nie, nie — powstrzymała go — Julka przyj-

dzie pożegnać się.

Musnęła ustami jego wargi i dodała:

— Proszę mi teraz powiedzieć, co Boh robił dziś rano?

— Plany.

— Jakie?

— Mieszkałem dotychczas w hotelu. Teraz znalazłem ładne i zaciszne mieszkanie przy alei Szucha. Jutro rano przeprowadzam się. Zobaczysz moja Al, że nie przesadziłem w pochwałach.

— O, ja zobaczę? — udała zdziwienie.

Stropił się:

— Przecież... przecież jedynie poto je wynająłem.

Alicja zaśmiała się i chciała coś odpowiedzieć, lecz właśnie weszła Julka.

— Dowidzenia państwu — dygnęła kokieterycznie — Alu, bądź tak dobra, jeżeli zadzwoni Janka, powiedz jej, że jestem u Zośki. Dobrze?

— Dobrze, kochanie, tylko wróć przed dziewiątą.

— Wróć. Dowidzenia!

Po kilku minutach wyszła i Józefowa.

Zostali sami.

W ciszy popołudnia i nadchodzącego zmierzchu, gdy dwoje ust znajdzie się tak blisko, umieją one zapomnieć o istnieniu słów i odnaleźć znacznie pełniejsze, dużo wymowniejsze wyrazy.

Biła ósma na zegarze w jadalni, gdy się rozstali.

Alicja zaczęła naprawdę swoje życie od nowa.

R O Z D Z I A Ł 15.

Profesor Karol Brunicki położył słuchawkę i powiedział:

— Będzie tu za kilka minut.

Doktor Kunoki mruknął coś w odpowiedzi, nie odrywając oczu od czytanej książki.

— Czy temperatura w siódmym pokoju nie spadła?

— Trzydzieści osiem i sześć.

— Więc jednak. Mam wrażenie, że zastrzyk był zbyt silny.

Doktor Kunoki odłożył książkę i spojrział z uśmiechem na Brunickiego.

— Pan dziś jest zdenerwowany — powiedział łagodnie.

— Może.

— Pan lubi bardzo pana Winklera?

Ponieważ profesor nie odpowiedział, Japończyk dodał:

— Nie dziwię się. W tym człowieku jest wprost imponująca siła witalna.

— Myli się doktor — ja go nie lubię. Ja.. nie potrzebuję jego emanacji witalnych. Zresztą, to jest zbyt skomplikowane.

Kunoki dyskretnie zamilkł. Lecz Brunicki sam odezwał się po chwili:

— Powinienby już być.

— Czy tylko — zmienił kierunek rozmowy Kunoki — czy tylko tak w kilka dni po jego procesie bezpieczne jest powierzanie mu tej sprawy? Mogą go śledzić.

— Wątpię — wzruszył ramionami Brunicki — zresztą on sam zadecyduje.

Wyjrzał przez okno właśnie w chwili, gdy przed bramą zajeżdżała taksówka. Wysiadł z niej Drucki.

Po chwili był już w hallu i mocno potrząsając ręką profesora śmiał się:

— Widzisz, Karolu, djabli mnie w żaden sposób nie chcą wziąć! Witam doktora. Jakże tam pańskie... króliki?

— Wszystko w porządku.

— A ta mała, za którą będę wysłany do piekła?

— Może pan być o nią spokojny. Polubiła powieści o murzynach.

— Dlaczego, do pioruna o murzynach? — zdziwił się Drucki.

Kunoki spojrział pytająco na Brunickiego i potwierdził:

— Jeżeli się nie mylimy ma ona zamiar urodzić małego murzynka, lub w najgorszym wypadku mulata.

— Przecież ten jej amant nie był murzynem!?

— Właśnie, ale to tem lepiej. Robimy pierwszy eksperyment na pigmentację. Za to więc gwarantować nie możemy. Pewne jest tylko, że będzie to syn, według wszelkiego prawdopodobieństwa zdrowy i niezwykle silny, który z wiekiem dojdzie do olbrzymiego wzrostu i odznaczać się będzie talentem muzycznym.

Drucki patrzył nań podejrzliwie:

— Kpi doktor ze mnie? — zwrócił się do profesora.

— Nie — zaprzeczył Brunicki — doktor jest optymistą.

— No więc jakim sposobem? Na jakiej zasadzie można to przepowiedzieć?

— O, to niema nic wspólnego z prorocstwami — uśmiechnął się Japończyk — poprostu chodzi o osiągnięcie zamierzonego efektu przez odpowiednie oddziaływanie na organizm i na psychikę matki...

Profesor przerwał:

— Dajmy temu spokój. Nie lubię mówić o rozpoczętych badaniach.

— Obawa pecha?

— Nie. Obawa niepoważnego potraktowania ze strony...

— Laika? — odpowiedział Drucki.

— Laika, czy specjalisty, to wszystko jedno. Zapewniam cię że z Kolumba, odpływającego na Zachód, celem odszukania bliższej drogi na Wschód,

śmieli się zarówno laicy, jak fachowi marynarze. Zosł doktor Kunoki taki jest znużony mojem wyłącznie towarzystwem, że zapomina o przysłowiowej japońskiej powściągliwości.

— To odziedziczyłem po matce—zaśmiał się Kunoki i spojrział na zegarek. — Już chyba czas zdjąć bandaż?

— Chyba — potwierdził profesor, rzuciwszy okiem na własny — niech pan tylko nie zapomina o masażu.

— Czy to tę moją nieboraczkę tak maltretujecie?

— Nie — zaprzeczył Japończyk — pańska ma gruczoł tarczycowy wybornie rozwinięty w przednim płacie, a tu właśnie...

— To gaduła! — ze zgrozą zawołał Brunicki i doktor rozłożywszy komicznym gestem ręce wyszedł nie dokończywszy zdania.

— No?... — zapytał Drucki po chwili milczenia.

— Telefonowałem do ciebie z dwóch powodów — zaczął profesor — popierwsze chciałem ci powinszować szczęśliwego wybrnięcia z procesu.

— Musiałem wybrnąć, bo byłem niewinny.

— Jeżeli chodzi o morfinę, tak.

— A o cóż jeszcze chodzi?

Profesor bębnił palcami po poręczy fotelu i przyglądał się Druckiemu uważnie:

— Chodzi — wycedził — o deflorację, popełnioną przez Bohdana Druckiego na osobie pensjonarki Marji Alicji Żerańskiej.

Drucki zaczerwienił się. Przyszło mu na myśl, że przecież Brunicki nie może wiedzieć! Wzruszył więc ramionami:

— Mój Karolu, nikt mnie nie mógł poznać, od tego czasu tyle lat minęło.

— Owszem — nie spuszczał zeń oczu Brunicki — nikt. Nikt z wyjątkiem Marji Alicji z Żerańskich, obecnej prokuratorce Alicji Horn.

Pewien był kolosalnego efektu i nie zawiódł się.

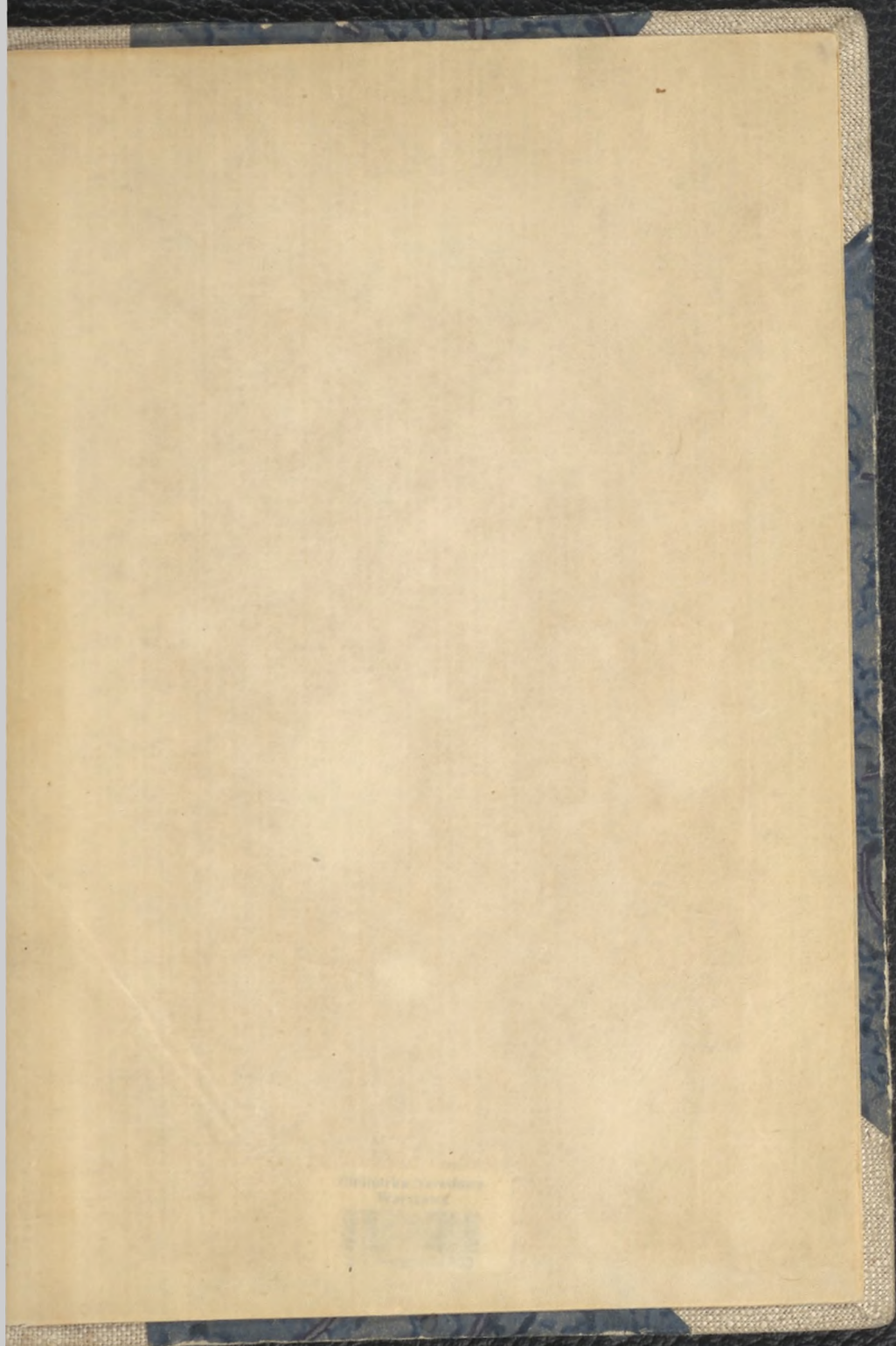
Drucki zbladł. Skąd, jaką drogą profesor mógł dojść do tego odkrycia? Jakże z niego zechce wyciągnąć konsekwencje? Wpił wzrok w nieruchome oczy Brunickiego.

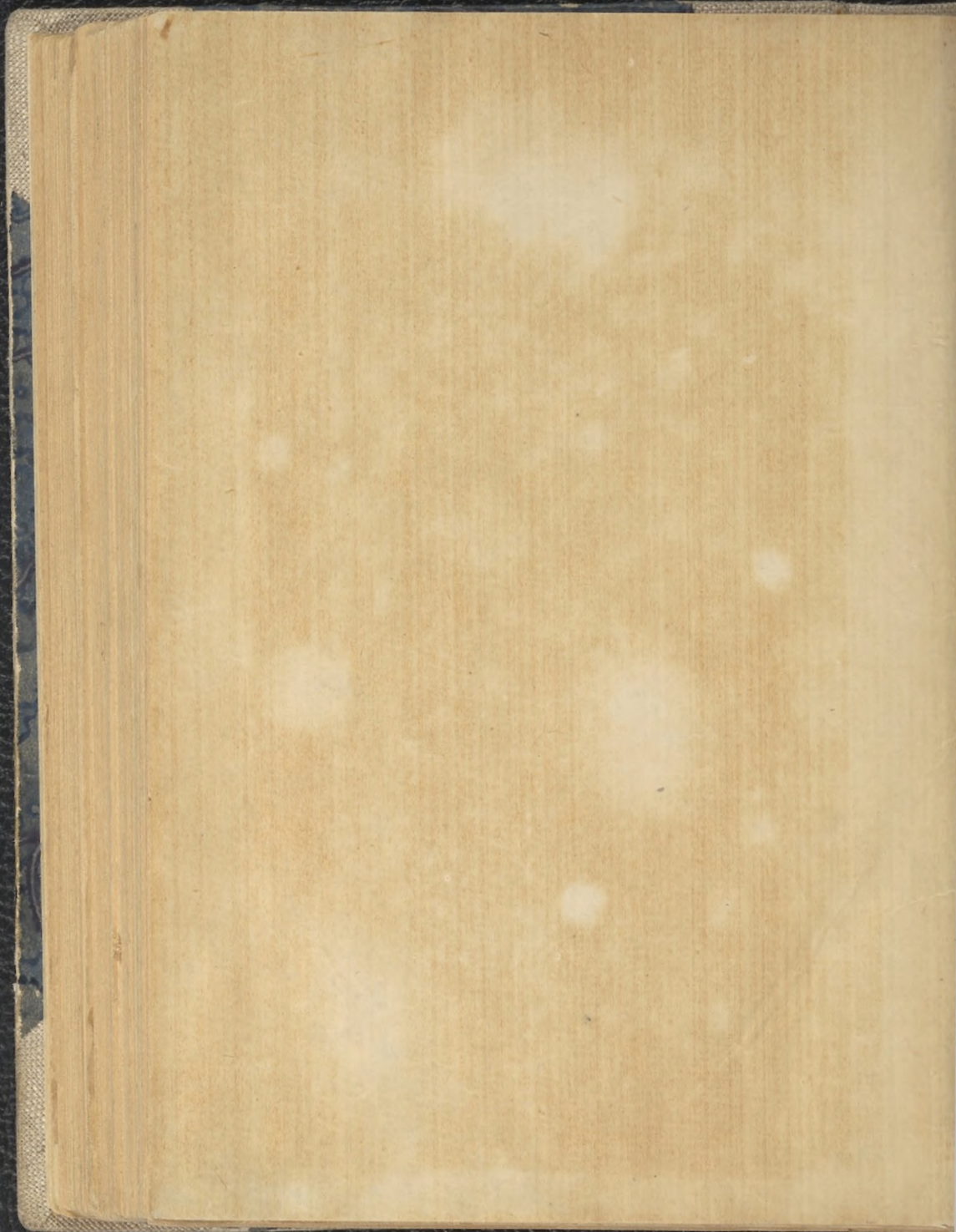
Zaległo milczenie.

Koniec tomu pierwszego.



SP.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001025632703



BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

381360

T.1